

**PROSTO Z
MOSTU**



**ROJ
NOWA
SERJA**

STANISŁAW
PIASECKI

Stanisław Piasecki

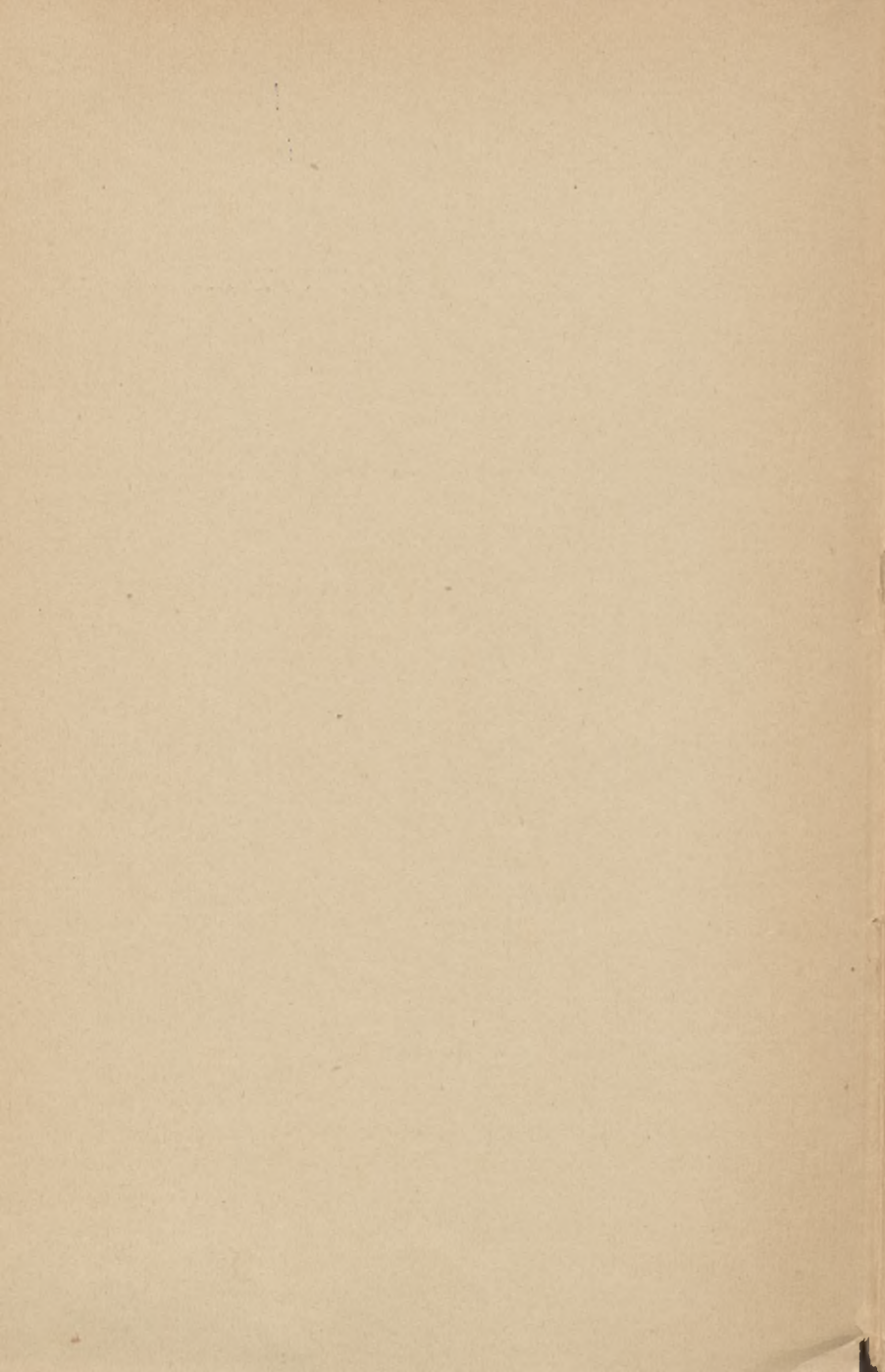
PROSTO Z MOSTU

Zbiór esejów wybitnego krytyka, który w swej działalności publicystycznej odznacza się bezkompromisowością i odwagą w stawianiu każdej sprawy, wywoła niewątpliwie żywe zainteresowanie w szerokich kołach czytelniczych.

Książka Piaseckiego — to rzut oka na dzisiejszość literacką w Polsce, to walka o nowy styl i nową treść piśmiennictwa. Rzec napisana „prosto z mostu“, bez obwijania w bawełnę, ostra w ocenie wielu zjawisk dzisiejszego życia i jeszcze ostrzejsza w ataku na pozycje dotąd nietykalne. Temperament psarski autora, jasność myśli i dosadność słowa sprawiają, że książkę jego przeczyta z niesłabnącem zaciekawieniem każdy, komu nieobca jest troska o przyszłość polskiej kultury.

półka

PROSTO Z MOSTU



STANISŁAW PIASECKI

Prosto z mostu

WARSZAWA — 1934

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“



84-4

100083

OD AUTORA.

Książka ta składa się z artykułów literackich, drukowanych w latach 1929 — 1933, przeważnie na łamach dziennika „ABC”. Układ ich nie jest jednak chronologiczny; zgrupowane zostały w pewne całości.

Podawanie dat przy poszczególnych artykułach uważałem za zbędne; nawet te szkice, które ściśle były związane z pewnymi aktualnościami życia literackiego, znalazły się w niniejszym zbiorze tylko o tyle, o ile, jak mi się zdawało, zawierają uwagi trwalszego znaczenia; dlatego powinny się tłumaczyć same, bez daty.

Zmiany i korektury przeprowadziłem bardzo nieznaczne. Stąd pewne powtórzenia w treści. Zostawiłem je; lepiej wrażą się w pamięć. Utrzymanie doraźnego charakteru na gorąco kreślonych uwag ma swój cel: chodziło mi o zachowanie bezpośredniości reakcji. Książka ta bowiem jest czemś w rodzaju notatnika literackiego.

St. P.

DZISIEJSZOŚĆ LITERACKA

NARODZINY NOWEGO STYLU.

Typ to już w dzisiejszych czasach niemal archiwalny, niemal muzealny, nam, współczesnym, znany raczej z dawnych roczników pism ilustrowanych, niż z rzeczywistości.

Taki pan z bujną grzywą rozwichrzonych włosów, w nieładzie okalających twarz bardzo bladą i bardzo upozowaną na wzniosłość. Do tego poetyczny fontaż u niekoniecznie czystego kołnierzyka, kurtka koniecznie aksamitna, spodnie koniecznie wymięte i od lat nieprasowane, fałdzista peleryna i cudaczny kapelusz o szerokich kresach. Wyniosłe spojrzenie na zwykłych śmiertelników, tych tam jakichś przyziemnych zjadaczy chleba, stały stolik w knajpce, pasowanej na Parnas, no i legendarny absynt, trunek piekielny, pijany coprawda bardziej w teorji, niż w praktyce, ale niemniej przeto ku wzbudzaniu dreszczu grozy wśród burżujów. Wszystko, aby się odciąć od nędznego świata ludzi zwykłych, szarych, codziennych, wszystko, aby zamanifestować najrozsławniej swą odrębność — odrębność artysty.

Sztuka pisana przez wielkie „S“, oczekiwanie na

chwile natchnienia, także przez wielkie „N“ pisanego, powoływanie się w twórczości na hasło Jana z Czarnolasu: — „Sobie a muzom“. Zaczem wygodna furka ku niezrozumiałstwu treści, podniesionem do godności najwyższego objawienia, zaczem niechlujstwo formy i bezmiar pogardy dla tego, co w sztuce jest rzemiosłem. Ciągłe odwoływanie się do skonstruowanego naprędce ideału t. zw. sztuki czystej, przezywanie wszystkiego, co chciało służyć nie tylko abstrakcji, ale i życiu — upośledzającym mianem sztuki stosowanej, której istnienie ledwie się tolerowało, która była czemś drugorzędnem i uwłaczającym prawdziwemu artyście.

Oto, co charakteryzowało psychikę świata artystycznego u schyłku minionej epoki sztuki, u schyłku, który był zarazem jej dekadencją i musiał wywołać zdrową reakcję dni dzisiejszych, dni narodzin epoki nowej.

Sztuka wieku XIX-go, niesiona na skrzydłach romantyzmu, poszybowała wysoko. Tak wysoko, że choć zrazu chciała przewodzić życiu, torować mu nowe drogi, prowadzić za sobą — zwolna, rozmiłowana sama w sobie, zaczęła się od życia odbijać, aż stworzyła świat własny, zamknięty dla profanów na siedem pieczęci. Z górnych hańsł przerabiania zjadaczy chleba na aniołów został tylko osad pogardy dla śmiertelnych i dumne poczucie nieśmiertelności artysty. Świat twórczości piękna zasklepił się w sobie, stawał się z każdym dniem bardziej wyłączny, dostępny już tylko dla elity. Pogłębiała się przepaść między sztuką, a życiem codziennem.

Powstawały wspaniałe dzieła poezji i prozy, które coraz rzadziej zdolne były zabłądzić pod strzechy. Styl pisarski stawał się coraz to bardziej wyrafinowany, coraz ozdobniejszy w wymyślne metafory, coraz skompliko-

wańszy w składni, coraz dalszy od języka, którym wspólnie mówiono w kraju. Taka „Duma o hetmanie“, czy niektóre karty „Wiatru od morza“ Żeromskiego mogły być już tylko rozkoszą dla smakoszków. Nadomiar, barokowy język literatury zbyt odbił się od języka codziennego, aby mógł go uszlachetniać. Stawał się czemś równoległym, niemal drugim językiem polskim.

Literatura wzbita ponad codzienność życia, nie szukająca z niem zbliżenia, które uznawano za równoznaczne ze znizaniem się, oddawała tem samem codzienność na pastwę żargonu dziennikarskich notatek, na żer brukowych powieściel kryminalnych, na zalew wulgarnej piosenki kabaretowej.

Plastyka zamknęła się w muzeach i salach wystawowych, kurcząc się niemal całkowicie do jednej swej gałęzi — malarstwa stalugowego, które odpowiadało najbardziej ideałowi sztuki czystej, nie oglądającej się na wartość użytkową. Niedostępność sztuki dla szerokich mas musiała za sobą pociągnąć obniżenie smaku w społeczeństwie, musiała przynieść ze sobą epokę obwieszania ścian mieszkań okropnymi oleodrukami, fabrykowanymi hurtem przez przedsiębiorczych analfabetów sztuki.

Ale nawet i w tych mieszkaniach, gdzie na ścianach wisiały wspaniałe „oryginały“ Chełmońskich, Wyczółkowskich, czy Malczewskich — wytworzyła się sytuacja paradoksalna. Już ramy, w które oprawiano arcydzieła sztuki, były tworem przygodnego stolarza, wołającym najczęściej o pomstę do nieba. Cóż dopiero mówić o tapecie, której wzór (dzieło jakiegoś technika fabrycznego) przyprawić mógł o ból zębów, coż mówić o bezstyłowych, żałośnie brzydkich meblach, produkowanych według szablonu, zaprojektowanego w fabryce przez jakie-

gość wykolejeńca powołania artystycznego, bo przecież do niedawna, t. zw. prawdziwy artysta meblarstwo uważałby sobie za ujmę i hańbę. Dlatego właśnie epoka minioną nie wytworzyła stylu. Toć przecie, na dobrą sprawę, ostatnim stylem w meblarstwie był poczciwy Biedermayer!

Nieinaczej miały się rzeczy w dziedzinie architektury. I tu zapanowała wszechmocna bezstylowość, z tego samego źródła, bo z rozbratu między sztuką a życiem płynąca.

Architektura jest dziedziną sztuki już w swej istocie związaną z użytkowością. Ale ogólny prąd sztuki czystej i na niej musiał odcisnąć swe piętno. Architekci zaczęli coraz mniej zwracać uwagę na plan budowli, a coraz bardziej na efekty zewnętrzne, na t. zw. upiększanie fasad gmachów gzymsikami, gipsaturami i innymi ozdóbkami, które, nie wypływając z konieczności konstrukcyjnej, nacechowane były przypadkowością, równającą się bezsensowności. Stąd zaś do szpetoty budowlanej minionej epoki był tylko jeden krok. I w tej dziedzinie doszło do absurdu hasło sztuki czystej, obróconej plecami do życia.

Odwróciła się również plecami od codzienności życia muzyka. Jak malarstwo w muzeach i salach wystawowych, tak muzyka zasklepiła się w gmachach Oper i Filharmonij. Wobec umuzykalnionej elity wielcy artyści wykonywali utwory wielkich kompozytorów — a równocześnie szerokim masom porykiwał podawnemu w kościele zachrypnięty organista, rzępoliła na ulicach orkiestra wojskowa, wdzierająca się coraz bardziej w smak publiczności muzyka oficyn sztuki, mieszczących się w kabaretach i *music-hall*'ach.

Przeciwko oderwaniu sztuki od życia musiała przyjść reakcja, nie tylko dlatego, że wreszcie artystom otworzyły się oczy na przepaść dzielącą ich od społeczeństwa, ale i dlatego, że coraz trudniej było znaleźć sprawdzian wartości artystycznej w samym świecie sztuki, pozbawionym twardego gruntu rzeczywistości i zawieszonym w obłokach. Co jest dziełem szczerzej twórczości, a co pozą, maskującą pustkę wewnętrzną i nieuctwo? — na to pytanie, z biegiem czasu, odpowiedź stawała się coraz trudniejsza.

Więc zaczęło się od wysunięcia postulatu rzetelności w sztuce. Pogardzane rzemiosło odzyskało swój walor. Więc np. wśród naszych młodych malarzy zrodził się prąd nawiązujący otwarcie do starych, rzemieślniczych tradycji cechowych i stawiający sobie jedyny cel, leżący poza wszelkimi modami i izmami — porządnie malować, przede wszystkim zgłębić do gruntu rzemiosło malarstwa. Jakże daleko jesteśmy od czasów, gdy każdy pacykarz gotów był się obrazić, za nazwę malarza i nawet na wizytówce wypisywał sobie: „a r t y s t a-malarz“. Więc wśród młodych muzyków umieszczono na indeksie rozwichrzenie dawnych wirtuozów epoki romantycznej i poromantycznej, lekceważących precyzję wykonania na rzecz t. zw. uduchowienia, o którym nigdy niewiadomo, czy jest udane, czy szczerze. Rzeczowy stosunek do sztuki — oto hasło epoki, w którą wchodzimy. Więc także rzeczowość w dziedzinie literatury, odczyszczenie jej stylistyki z nawarstwień przesadnych ozdóbek i zakreślasów, nawrót do prostoty, której drogę tak cudownie wskazał Kasprowicz w „Księdze Ubogich“, a Perzyński w prozie powieściowej i scenicznej.

A zarazem zwiążanie sztuki z życiem, dostosowanie

się do potrzeb życia i uszlachetnienie ich. Chesterton, tworząc wysoce artystyczne powieści sensacyjne, zrobił więcej dla podniesienia poziomu czytelnictwa, niż wszyscy ci, którzy rozdierali szaty nad powodzeniem sensacyjnej literatury brukowej. Sztuka, chcąc opanować życie, chcąc mu przewodzić, musi wejść w codzienność, a nie odgradzać się od niej murem chińskim.

Sztuka nowoczesna posiada pełną świadomość tych właśnie swoich zadań. W twórczości muzycznej widać coraz większy rozwój zaniedbanej latami muzyki kościelnej. I słyszy się, zamiast utyskiwań pięknoduchów na inwazję *jazzband*'u próby przetapiania muzyki *jazzband*'owej w artystyczną formę. Plastyka wyszła już na dobre z błędnego koła malarstwa stalugowego, rozwinęła się wspaniale grafika, dostępniejsza dla ogółu, kwitnie kilimiarstwo, artyści wzięli się do projektowania mebli i wewnątrz mieszkalnych.

Ale największy bodaj przewrót dokonał się w architekturze. Tu już wyraźnie można mówić o nowym stylu. Gzysiki i gipsaturki zewnętrzne skazano na banicję — a zwrócono się do udoskonalania planów budowli, do konstrukcji prostych brył, których piękno wywodzi się z celowości. To zaś jest kryterjum niezawodne i naprawdę twórcze.

Sztuka związana z życiem, sztuka, która wypływa z potrzeb współczesnych, sztuka, która ma ambicję odcisnąć swe piętno na każdym drobiazgu użytkowym, sztuka, której sprawdzianem jest celowość — musi stworzyć styl.

Czasy, w których żyjemy, są czasami narodzin nowego stylu. To i owo w sztuce dzisiejszej może się nam wydać zbyt surowe i zbyt suche — ale przecież i rene-

sans miał w początkach swój okres surowości. Nie miałby z czego styl się doskonalić i rozwijać, gdyby tak nie było.

W I E L K A K R Z Y W D A.

W wspomnieniach pośmiertnych, poświęconych zmarłemu nagle Włodzimierzowi Perzyńskiemu pisać się będzie, że jego pracy pisarskiej towarzyszyło uznanie współczesnych, że zaliczano go do cenionych i wybitnych, że nazwisko jego było głośne, że nie zaznał goryczy przemilczania swej twórczości, że powieści jego cieszyły się wielką poczytnością, a sztuki teatralne szły zawsze przy wypełnionych widowniach. I tak było w istocie.

A mimo to działa się Perzyńskiemu za życia wielka krzywda. Nie zdążono jej naprawić przed śmiercią, która przyszła niespodzianie, gromem z jasnego nieba. I ta sama krzywda stałaby się doczesnym udziałem niejednego z pisarzy, któryby równie tragicznie, jak Perzyński, bo w pełni sił twórczych, odszedł od nas w dzisiejszej chwili.

Zarodki tej krzywdy tkwią w kryzysie współczesnej krytyki literackiej w Polsce. Krytyki, która operuje wprawdzie ogromnie udoskonalonym aparatem badawczym i precyzyjną metodą analityczną, ale której właśnie dlatego zeszedł z oczu istotny cel wszelkich poczynań krytycznych — synteza. Metodą najwyższą dziś cenioną

i jedyną, jakiej nie odmawia się wśród naszych polonistów miana naukowej — jest krytyka tekstu. Teksty pisarskie poddaje się drobiazgowym dociekaniom z tysiąca i jednego punktu widzenia, z oszałamiającą erudycją wykazuje się wady i zalety różnych szczegółów i szczegółików i nagromadza się tak wielką ilość faktów i faktików krytycznych z różnych dziedzin, że potem nie sposób ich sprowadzić do wspólnego mianownika dla podsumowania rachunku.

To też w wyciąganiu wniosków ogólniejszych, krytyk, posługujący się tego rodzaju metodą, jest bardzo ostrożny. Zawierzyłby sumie, jeśli udałoby mu się ją zrachować, bo to uspokoiłoby jego obawy przed zarzutem nienaukowości. Swoim subiektywnym odczuciom, choćby wszystko w nim krzyczało, że ten, którego wziął pod lancet krytyczny, jest pisarzem wielkim, nie da wyrazu. Woli ograniczyć się do podania elementów rachunku, który zostawi otwartym.

Gdy się czyta recenzje któregośkolwiek z krytyków „nowej szkoły“ o dwóch powieściach autorów, między którymi jest przepaść w różnicy poziomów — różnicy tej nie podobna dostrzec. Jest szereg zarzutów i pochwał bardzo trafnych, zwłaszcza cennych dla samego autora jako wskazówka — ale nie czuje się ani ciężaru gatunkowego omawianego dzieła, ani się nie dostrzega sylwety jego twórcy.

I tu dochodzimy do największego zła, jakie wytworzyła dzisiejsza krytyka. Uczyniła z naszej literatury szarą, bez wyniosłości równinę, nie potrafiła unaocznić ogłowi hierarchji współczesnych pisarzy. Ci dawni krytycy z minionych pokoleń, nie rozporządzający tak wydoskonalnym aparatem badawczym, jak dzisiejsi,

mieli śmiałość swoich odczuć, wiedzieli, że krytyka literacka jest nie tylko nauką, ale także — sztuką. Gdy im odczucie mówiło, że oto objawił się w piśmiennictwie wielki, porywający talent, nie wahali się tego obwieścić. Mylili się czasem, ale częściej — utrafiali w sedno. Tworzyli na gorąco hierarchję pisarzy, a tem samem spełniali swe najistotniejsze zadanie — przewodników dla mas w dziedzinie literatury. Dlatego to w okresie pozytywizmu wiedział każdy, że na szczycie piramidy powieściopisarstwa polskiego stoją Prus i Sienkiewicz. Dlatego to w następnym okresie (niesłusznie coprawda nazwanym mianem fikcji, jaką była t. zw. Młoda Polska), wiedzieliśmy, że najjaśniej płonące pochodnie polskiej beletrystyki — to Reymont i Żeromski.

Dzisiejsza krytyka umie conajwyżej wskazać na kilka dziesiątków wybitnych pisarzy. Nie próbuje nawet z pośród nich wyłowić najwybitniejszych. Że zaś świadomość hierarchji, choćby w najogólniejszych zarysach pojętej, jest wprost koniecznością, odczuwaną przez wszystkich, hierarchja ta zaczyna się tworzyć poza prawdziwą krytyką literacką, w sposób najniezdrowszy i zabójczy dla naszej kultury. Z chwilą gdy krytyka zrezygnowała z swego najistotniejszego zadania — zostało otwarte pole dla formowania hierarchji sztucznej przez zorganizowane grupy wzajemnego popierania się, wypychające forsownie na świecznik podwórkowe wielkości. Można by się spokojnie przyglądać temu widowisku, wiedząc, że i tak historia obali pomniki w ten sposób ustawione, gdyby nie fakt, że fałszerstwo hierarchji pisarskiej tragicznym piętnem odciska się na współczesności. Czytelnik, dorwawszy się książki pisarza wyreklamowanego n. p. na następcę Żeromskiego, i stwierdziwszy, że jest to tylko

średnia sobie bazgrota, zraża się nie tylko do danego autora, ale do literatury współczesnej wogóle, zwątpiwszy o wartości tych, którzy uchodzą za jej luminary.

To wielka krzywda, jaka się dzieje literaturze. Łączy się z nią niemniej bolesna krzywda, wyrządzana naprawdę czołowym pisarzom, którzy toną w masie kilkudziesięciu wybitnych.

Do tych czołowych zaliczał się właśnie Perzyński. Nie należał do żadnej klikki, czy kliczki, nie było komu go reklamować, więc był tylko — wybitny. Nie oddano mu tego, co mu się należało, nie pisano wszędzie, na każdym kroku tego, co mogło być jedynie sprawiedliwą oceną — że był jednym z najwybitniejszych, że zajmował miejsce wśród najjaśniejszych gwiazd współczesnej literatury polskiej.

Na swoim odcinku pracy pisarskiej — był wogóle jedyny. On przecież stworzył i sam jeden uprawiał godnie — powojenną polską powieść obyczajową. Jego „Raz w życiu“, „Nie było nas był las“ czy „Klejnoty“ — pozostaną po wsze czasy bezcennym dokumentem obyczajowości Warszawy z czasów inflacji. Próbowali w szranki powieści obyczajowej wstępować i inni, więc n. p. Kaden-Bandrowski chciał dać malowidło Krakowa w latach wojny w „Łuku“ i Warszawy z pierwszych lat niepodległości w „Generale Barczu“. Dał klisze, na których była tylko jedna barwa — czarna, dał przekrój tylko tego, co brudne. Przez takie już spogląda na świat okulary.

Objektywizm obyczajowy — na to stać było w naszym współczesnym piśmiennictwie tylko Perzyńskiego. Beznamiętnie, choć nie jak obserwator stojący z boku, ale jak ten, co tkwi w środku życia, rzucał na karty swych

powieści niesłychane bogactwo spostrzeżeń codziennych, dotyczących zwykłych, szarych ludzi, których umiał podpatrywać z niezawodną wnikliwością. Budował z tego materiału szeroki obraz, ale zawsze zwarty w konstrukcji, mimo obfitości szczegółów, nierozproszony. Tak samo postępował w swych sztukach teatralnych („Szczęście Frania“, „Uśmiech Iosu“, „Lekarz miłości“, „Dziękuję za służbę“), choć tu już czasem podporządkowywał wartości artystyczne efektowi scenicznemu przerysowania figur.

Jak był sam jeden w dziedzinie współczesnej powieści obyczajowej — tak również jako stylistą był Perzyński zjawiskiem zupełnie odrębnym, jednak — nawskroś nowoczesnym. Bardziej nowoczesnym od tych, którzy uzurpują sobie monopol modernizmu, a w gruncie rzeczy są w sprawach stylistyki zdekadentyzowanymi epigonami Młodej Polski. Barok metafory, królujący wszechwładnie u Kadena-Bandrowskiego, czy do absurdu doprowadzony u Brunona Jasieńskiego („Palę Paryż“) był Perzyńskiemu całkowicie obcy.

Pomimo, że tkwił korzeniami w tamtej epoce — zaczął przecież Perzyński pracę pisarską przed laty trzydziestu — poszedł odrazu własną drogą prostoty językowej, pisania słowami zwykłymi, codziennymi, używanymi w życiu. Na tem w znacznej mierze opierała się prawda jego sztuk teatralnych. Ludzie Perzyńskiego mówili zawsze tak, jak współcześnie mówią ludzie w życiu i nie grzmieli napuszonemi frazesami literackich przenośni i zakrętasów.

Tę prostotę językową stosował Perzyński nietylko w dialogu, ale i w opisie powieściowym. Tu jaśniał dopiero w całej krasie jego mistrzowski kunszt słowa. Mimo, że używał wyrażeń zwykłych, najzwyklejszych i jak

ognia unikał wszelkiej t. zw. literackości — styl jego nie był szary, ale przeciwnie żywy i piękny. Dowiódł Perzyński, że fałszem jest dzielenie mowy naszej na literacką i potoczną, zniósł przepaść dotychczas je dzielącą, a tem samem zbliżył literaturę do życia. To zaś jest istotą nowoczesnej sztuki.

Gdy się rozważa obiektywizm obyczajowy Perzyńskiego i jego zaciekłość w odczyszczaniu zachwaszczonej stylistyki z pustych ozdóbek, rodzi się myśl, że był on w naszej literaturze twórcą tego, co w modernizmie malarskim nazywa się nową rzeczowością. To zaś już samo, gdy pominąć nawet osobną i chlubną kartę dorobku Perzyńskiego w dziedzinie satyry i feljetonu, co wymagałoby odrębnego studjum — wykreśla sylwetkę pisarza w właściwej proporcji, jako jednego z najwybitniejszych w współczesnem piśmiennictwie polskiem, jako chorążego nowoczesności.

I trzeba, żeby o tem wołać głośno, szeroko, jaknajszerszej, by choć dziś, nad trumną, wynagrodzić krzywdę schematycznej oceny, jaka się działa Perzyńskiemu za życia. Nie odznaczono go przecież nawet żadną nagrodą literacką!

„T A K S I Ę M Ó W I,
A L E T A K S I Ę N I E P I S Z E“.

Będzie się o nim teraz mówić i pisać coraz częściej, coraz więcej. O Perzyńskim. Im dłuższa przestrzeń czasu dzieli nas od jego śmierci tem wyraźniej rysuje się jego sylweta, tem olbrzymieje jego znaczenie jako pisarza, tem jaśniej znaczą się jego miejsce w piśmiennictwie.

Świeżo „Wiadomości Literackie“ wydały specjalny numer, poświęcony autorowi „Lekkomyślnej siostry“ i „Klejnotów“. Są tu świetne szkice krytyczne Lechonia i Zawodzińskiego, są sercem pisane wspomnienia o Perzu Makuszyńskiego i Nowaczyńskiego, jest znakomity artykuł o Perzyńskim jako publicyście pióra Zdzisława Dębickiego (który po śmierci wielkiego pisarza poświęcił mu w „Kurjerze Warszawskim“ najgłębsze studjum, obok studjum Skiwskiego, drukowanego w „Tygodniku Ilustrowanym“, ze wszystkich, jakie były ogłaszane po zgonie), jest dyskusyjny artykuł Nałkowskiej o „Klejnotach“ jest szereg rzeczy dobrych, no i jak zawsze w takich okazjach, szereg popisów krytycznych różnych mędrków, którzy, czy mają co do powiedzenia, czy nie

mają nic, nie omieszkają schwycić sposobności udzielania nauczek z wyżyn swego ciemnogłowia i mętnogłowia.

Więc Emil Breiter, który pisząc o „Klejnotach“ i cudownym, rasowo-polskim umiarze realistycznym Perzyńskiego, martwi się, że „wstydlivość, melancholja i wewnętrzna przekora (?) nie pozwalały Perzyńskiemu żadnej sytuacji, z wyjątkiem chyba sceny morderstwa, doprowadzić do epickiego (?) i realistycznego wydzwięku“. Rzecz oczywista. Breiterowi będą się zawsze bardziej podobać „wydzwięki“ na ten przykład Kadena-Bandrowskiego.

Ale to tylko nawiasem. Istotne jest co innego. Oto, że Perzyńskiemu, dopiero po śmierci, dopiero, gdy zamknął oczy na zawsze, zaczyna się przyznawać właściwe stanowisko w pochodzie polskiego piśmiennictwa. W tychże samych „Wiadomościach Literackich“, które jeszcze piórem Słonimskiego ubolewają, że Perzyński żył „w atmosferze dziennikarstwa endeckiego“, już się temu endekowi nieszkodliwemu, bo leżącemu w grobie oddaje na co zasłużył: pozycję czołowego pisarza polskiej nowoczesności, nie tej wymodnionej, reklamarskiej, pizerskiej, ale prawdziwej, twórczej i szczerzej.

W doskonałym szkicu K. W. Zawodzińskiego p. t. „Perzyński — powieściopisarz na tle swojej epoki“, przedstawiającym zmierzch Młodej Polski i narodziny nowej epoki naszego piśmiennictwa, padły w tym względzie ważne słowa:

„Na tem tle powieść Perzyńskiego zjawia się w doskonałej harmonji z tendencjami epoki jako manifestacja nowej rzeczowości i klasycyzmu, jako nowe narzędzie bezpośredniego reagowania literatury na codzienność“.

W ten sam ton uderza Lechoń, kreśląc przepięknie

i niestychanie prawdziwie, bo ze spokojnym obiektywizmem, sylwetkę pisarską Perzyńskiego:

„Był on przede wszystkim zjawiskiem w naszej prozie, jeżeli chodzi o to, co jest podstawą prozy — o styl. Stworzył sobie styl idealnie zgodny z charakterem swej twórczości, styl zupełnie zwykły, ale przez to właśnie niezwykły, styl niby mowy potocznej, ale przez wzorową konstrukcję, przez czystość słów dającą wrażenie wypracowanej harmonji i sztuki; ten styl, niezrównanie naturalny w realistycznym opisie, bez natężenia łamał się w dialog, dyskretnie rozbłyskiwał ironją, potrafił też lekko falować wzruszeniem, którego parę akcentów o niezwyklej subtelności położył Perzyński na stronicach swoich ostatnich powieści. To też urodzenie się nowego realizmu w naszej literaturze, które niewątpliwie nastąpi, odbudowa stylu — będą miały Perzyńskiego za jednego z eswych patronów, obok kilku jeszcze pisarzy współczesnych, celujących w jasności, prostocie i czystości języka, obok Weysenhoffa, Boya-Zeleńskiego, Choynowskiego i Parandowskiego“.

Zacytowałem z rozmysłu te właśnie fragmenty ze szkiców Lechonia i Zawodzińskiego, bo dotyczą one zagadnienia szczególniej wartego rozpatrzenia. Pisałem już raz o tem, zaraz po śmierci Perzyńskiego, charakteryzując styl Perzyńskiego i twórczą nowoczesność jego stylu, który podobnie, jak Lechoniowi i Zawodzińskiemu, nasyłał mi na myśl termin nowej rzeczowości.

Jak dalece jednak te rzeczy są w opinji zagmatwane, jak dalece żyje się u nas jeszcze przeżytkami pojęć minionej epoki, tego jest dowodem zamieszczony w tymże samym numerze „Wiadomości Literackich“ artykuł Ireny Krzywickiej, która właśnie z tego, co było głównym walorem prozy Perzyńskiego, czyni mu zarzut:

„Pisze językiem prostym i jasnym, ale ta jego prostota graniczy z gazeciarskiem niedbalstwem, cięży na niej niedopuszczalna w druku potoczność“.

I dalej:

„Pisarz musi się zdobywać na nieustanny wysilek szukania nowych, niestartych jeszcze wyrażań, na które świeżo reagowałaby nasza wrażliwość. Lenistwo i pośpiech codziennego życia nie pozwala nam zastanawiać się nad słowem, stosujemy pierwszy lepszy epitet w różnych, często sprzecznych wypadkach. Mówimy np. często „niesłychany“. Ale to „niesłychany“ nic właściwie nie wyraża, i kiedy je spotykamy w powieści, jak np. w „Klejnotach“, doznajemy przykrego zdziwienia, jakby zamiast tego słowa był pusty papier. Pisarzowi nie wolno jest używać często określeń „niesłychany“, „cudowny“, „wspaniały“, „szalenie“ — od tego wieje pospolitością. T a k s i ę m ó w i a l e t a k s i ę n i e p i s z e. Powtarzają się te same słowa na małej przestrzeni, zdania budowane są niedbale, wymysły, jak „idjota“, „bydlę“, „cham“, są u niego na porządku dziennym“.

P. Krzywicka uważa zatem, że bohaterom powieści nie przystoi wymyślać się tak nieskomplikowanymi wyzwiskami. Biedny autor musi szukać dla nich „nowych, niestartych jeszcze wyrażań“.

Bo proszę państwa — „t a k s i ę m ó w i, a l e t a k s i ę n i e p i s z e“.

Jest to maksyma klasyczna, godna uwiecznienia, jako arcytwór bezsensu. Ile tego rodzaju podbijanie bębena pisarzom narobiło szkody w piśmiennictwie, ile na tem tle powstawało straszliwych nieporozumień uznawania napsuzoności i sztuczności stylistycznej za arcydzieła literackie — to kiedyś, w przyszłości, obliczy historyk literatury. Czasy, gdy każdy człowiek uważający się za kulturalnego, musiał nieszczerze zachwycać się stylem „Dumy o hetmanie“, której nie mógł doczytać do końca, choć ją czytał w siódmych potach — należą do bezprowotnej przeszłości. I nie powrócą. A w każdym razie — nieprędko.

Ich dziedzictwem, które współczesnemu pokoleniu pi-

sarży wypadnie odrobić, jest przepaść wykopana między językiem literackim, a językiem potocznym, stworzenie niemal dwóch języków polskich. Bo język literacki, w ustawicznym poszukiwaniu „nowych i niestartych wyrażień“, tak się odbił od życia, że go już w życiu, bez oczywistej śmieszności, stosować niesposób. Tem samym rzekł się swej wielkiej roli wychowawczej — uszlachetniania języka potocznego. Stał się zbyt dalekim, zbyt innym, by mógł wywierać wpływ na słownictwo dnia powszedniego.

Zasada „tak się mówi, ale tak się nie pisze“, w której *implicite* tkwi pogarda dla języka potocznego, odcisnęła się krzywdą i poza literaturą. Paraliżowała rękę każdemu, kto ujął pióro, aby skreślić kilka słów listu, podania, czy referatu naukowego. Styl potoczny został wykluczony, styl literacki raziłby i na tym terenie śmiesznością, więc powstawały dalsze style, rodziło się dalsze rozszczepianie języka polskiego na język listowych uprzejmości, których się nigdy nie mówi, na język urzędowych „zapotrzebowań“, „wydatkowań“ i innych kwiatków, których sensu trzeba się mozolnie uczyć, na język naukowych łamigłówek, których się nie rozumie.

I niewiadomo do czego by to wszystko doszło, gdyby pewnego pięknego poranka, wraz z ożywczym prądem nowej rzeczowości, który ogarnął współczesną sztukę, nie znaleźli się byli ludzie pióra, którzy kryterjum rzeczowości zastosowali do stylu, gdyby nie stuknęli się w głowy i zapytali samych siebie: Dlaczego właściwie nie ma się pisać tak, jak się mówi?

W Polsce pierwszym z nich — był Perzyński. Miał odwagę potoczny, codzienny język wprowadzić do literatury, nietylko każąc bohaterom swych powieści i ko-

medyj mówić tak, jak mówią normalni ludzie, co było nowością, ale co dla pisarza realistycznego jest poprostu wymaganiem zdrowego sensu, ale co więcej: stosując ten potoczny, codzienny język w prozie opisowej. P. Krzywicka powie, że to lenistwo, niechlujstwo i niechęć zadania sobie trudu wyszukania „nowych, niestartych wyrażeń“. A właśnie — o ile więcej trudu i talentu wymaga proza, oparta na potocznej mowie! Jej piękna nie można stworzyć blagą efektownej metafory, czy mozolnem wygrzebaniem z słownika Lindego jakiegoś migotliwego słóweczka. Dać sugestywny obraz prostemi wyrażeniami, tak je ustawić, aby grały konstrukcją zdania i okresu, bez pustych ozdóbek, doklejonych dla zasłonięcia dziury w budowie — to jest to samo, czego w dziedzinie architektury dokonał Le Corbusier, odczyszczając budownictwo z gzymsików i sztukaterij, przywracając znaczenie prostocie konstrukcji.

Rzeczowość stylistyczna kładzie również tamę prostotowi formy nad treścią. P. Krzywicka martwi się wielce, że u Perzyńskiego „powtarzają się te same słowa na małej przestrzeni“. Dla mnie jest to wielką zasługą Perzyńskiego, że zerwał z przesądem stylistycznym, który, dla jakiejś urojonej formułki, każe pisarzowi kłaść inny wyraz, niż ten, który oddaje ściśle treść jego myśli — żeby „nie powtarzać na małej przestrzeni“. Synonimów język polski tak wiele nie liczy. Zasada ta prowadzi więc albo do zachwaszczenia języka zbędną cudzoziemczyzną, albo do rozwlekłości opisu, gdzie można rzecz załatwić jednym słowem, albo, co najgorsze, do podporządkowania wymaganiom stylistycznym treści, przez konieczność użycia wyrażenia pokrewnego, nie oddającego ściśle tego, co się chce powiedzieć.

Nonsensem również jest obawa przed słówkami takimi, jak „niesłychany“, „cudowny“, „wspaniały“, które p. Krzywicka umieszcza na indeksie stylistycznym. Wyrażają one, właściwie i w porę użyte, więcej, niż różne modne w wyższej stylistyce słowa, dlatego zapewne faworyzowane, że ich pojemność treściową można bez obawy przed czytelnikiem dowolnie rozszerzać. Czytelnik ich w mowie potocznej nie używa. Używa natomiast słowa „wspaniały“, czy „niesłychany“ i w lot uchwyci, gdy go pisarz użyje nie tam, gdzie trzeba.

Ale najważniejsze — to zbliżenie literatury do życia, które płynie z wprowadzenia mowy potocznej do piśmiennictwa, przywrócenie jedności polskiego języka. Potoczny język, uszlachetniony w literaturze, ma szanse wpływu na codzienność mowy. Wykrętasów i wywijasów pełen język literacki minionej epoki żył własnym życiem poza życiem narodu.

Przepiękna i bardzo dziwna książka. Nosi tytuł: „Rok 1863“ i zdaje się być powieścią, więc się ją zaczyna czytać jak powieść historyczną, mając na oku te kryteria, które się zazwyczaj do powieści historycznej stosuje. Brnie się przez kilka rozdziałów z chaosem w głowie, przy każdej nowej stronicy spostrzegając, że te zwykłe, tradycyjne kryteria tu nie wystarczają, że powieść Wołoszynowskiego jest jakąś formą zupełnie nową, inną od wszystkich znanych.

W powieści historycznej nawykliśmy szukać albo mocnych konfliktów politycznych, albo obyczajowości epoki, albo intrygi romansowej, rzuconej na tło polityczno-obyczajowe. Nawykliśmy szukać ostro zarysowanych sylwetek psychologicznych ludzi ówczesnych i mechanizmu zdarzeń, w dwojaki zazwyczaj sposób przedstawionych: albo z myślą, że historia jest mistrzynią życia, więc uwypuklać w niej trzeba to, co zdaje się być aktualne, albo z przekonaniem, że historię rozumieć można tylko przez terażniejszość, więc konstruować ją trzeba materiałem dzisiejszych spostrzeżeń i typów, przeniesio-

nych wyobraźnią twórczą w pewne historyczne warunki. Tej drugiej metody, bardziej przekonywującej, bo na pewnym gruncie stojącej, jest wybitnym przedstawicielem Stanisław Szpotański, o którego powieściach wypadnie napisać szkic osobny.

Powieść Wołoszynowskiego nie mieści się w tym podziale, bo napisana została z zupełnie innym celem artystycznym i kto w niej tego celu nie dostrzegł, połamie sobie na niej zęby, co się zresztą przydarzyło wielu jej recenzentom. Nie sili się Wołoszynowski rozkręcać mechanizmu politycznego powstania, ani kreślić dziejów dni jego chwały i klęski, ani malować szeroko tła obyczajowego, ani rzeźbić charakterów ludzi. Jeśli te wszystkie elementy, jakby przez mgłę widziane, traktowane szkicowo, znalazły się jednak w powieści, to nie poto, aby grać solowe partje, ale aby dopełnić brzmienia, dać jego całkowitość symfoniczną. Bo im dalej wczytywać się w przepiękną powieść Wołoszynowskiego, tem jaśniej-
szem się staje, jaki jest jej cel artystyczny: w y d o b y ć
n a s t r ó j r o k u 1 8 6 3 - g o.

Pamiętacie pierwsze karty jedenastej księgi „Pana Tadeusza“? „O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju!“ To, co Mickiewicz zawarł w kilkudziesięciu wierszach o roku 1812-ym — daje w swej powieści Wołoszynowski o roku 1863-cim. Nastrój roku i wszystko, co się nań składało.

Mickiewicz, dzieckiem będąc, sam przeżył na Litwie wiosnę napoleońską, nosił jej nastrój w sobie. Widział, jak zwiastowała wielkie wydarzenia kometa, jak bocian przyleciał do rodzinnej sosny, jak się gromadziły nad wodami jaskółki, jak w ciemnej głębi nieba jęczały żórawie, jak płynęli na północ dniem i nocą: konie, ludzie,



armaty i orły, słyszał jak pewni zwycięstwa wołali ze łzami: „Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami“...

Wołoszynowski pisząc powieść o roku 63-cim nie mógł się oprzeć na własnych przeżyciach, musiał ich poszukać w szufladkach biedermayerowskiego sekretarzyka wśród żółkłych listów, zaproszonych notatników, starych, nadgryzionych przez myszy bruljonów.

I bodaj, że podstawę dały mu zapiski p. Telesfora Gilewicza, administratora Czarnej Wsi, na rok 1863-ci w kalendarzyku czynione. Tego pana Telesfora, który w styczniu tego roku zanotował:

„Od 19 do 31. Deszcz i ślota z wiatrem południowym.

NB. 22. Pobór rekrutów i rewolucja.

22. Orali i gnój przyorywano. Ostatnie dni bardzo ciepłe i pogodne oczywista rzecz, że Pan Bóg sprzyja sprawie.“

A potem — tak sobie przynajmniej to wyobrażam — zaczął Wołoszynowski gromadzić dalsze materiały, z których coraz wyraźniej ukazywało się oblicze roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego. Przy odczytywaniu dokumentów-relikwii musiał w wrażliwej, rasowo-polskiej psychice pisarza zrodzić się pietyzm dla nich i lęk, aby nic nie uronić z prawdy nastroju przy powieściowej przeróbce.

Sądzę, że podświadomie, z tych właśnie motywów, dokonał się w Wołoszynowskim wybór metody pisarskiej, którą krytyk może czytelnikowi wyjaśnić tylko przez analogję do metody heurystycznej w nowoczesnej pedagogice. Dać uczniowi jaknajwięcej dokumentów, relacyj i rycin współczesnych, ograniczyć się do roli przewodnika wśród nich — a pogląd na historję niech sam sobie wyrobi. Podobnie postąpił Wołoszynowski w swej powieści. Gęsto rozsiał na jej kartach cytaty i wyminki do

kumentów, wtopił je organicznie w powieść, która cała oddycha ich nastrojem.

Nasza krytyka literacka, która ma dziwne zamiłowanie do naklejania taniutkich etykietek, dopatruje się w powieści Wołoszynowskiego nastrojów grottgerowskich. Jakże musiał się zdziwić autor, który przecież nie bez powodu zadał sobie trud dobrania współczesnych rycin do swej książki, aby nie kłóciły się z jej duchem! Bo już rysunki Grottgera wprowadzają nas w świat inny, nierzeczywisty, przetworzony w wizje artysty, spoglądającego na powstanie z Galicji i z dalekiego Wiednia...

Wołoszynowski wziął sobie za cel odtworzyć nastrój powstańczego roku jaknajautentyczniej, posługując się materiałem z pierwszej ręki. Czy mu się to udało? Nie czuję się przygotowanym, aby wypowiedzieć zdanie co do trafności wyboru materiału. Ale że do tego materiału dokumentarnego, jaki jest w książce, umiał Wołoszynowski cudownie dostroić swe pióro, stylizując poetycką prozę w ten sam rytm — to pewne. Poeta pisał tę powieść, bo tylko poeta może tak wczuć się w nastroje i tak je tworzyć na nowo. Są w powieści Wołoszynowskiego obrazy poetyckie, oplecione wokół kilku słów jakiegoś dokumentu, czy piosenki, które nazawsze pozostaną ozdobą naszej literatury. To manifest powstania spleciony z wizją szopki jasełkowej, to piosenka ludowa „Z tamtej strony jeziora“ przetkana bajecznym opisem uciechy powstańczej w karczmie na popasie, to liturgia Mszy św. w katedrze warszawskiej whaftowana w widzenie obywatelki Grudnickiej.

Heurystyczną metodę stosuje również Wołoszynowski przy kreśleniu sylwetek psychologicznych swych bohaterów. Nie zaniedba nam nawet podać wyjątków z ich

lektury. Na stoliku hrabiny Lipowskiej w Paryżu leży książka Darwina „O biologji kwiatów storczyków“, Jan Worobijowski wczytuje się w szekspirowskiego Hamleta: „Być, albo nie być“... Tu bodaj zawodzi Wołoszynowskiego intuicja historyczna, zawierzywszy Wyspiańskiemu, który powstaniom naszym hamletowski dawał podkład, jakiego w nich nigdy nie było. I sprzeniewierza się Wołoszynowski istocie swej książki, gdy w usta Wielopolskiego wkłada bardzo dzisiejsze kwestje, owe roztrząsania o dyktaturze.

Ale choć takich pęknięć i rys dopatrzeć możnaby się więcej, giną one w ogólnym rzucie całości, przeprowadzonej niesłuchanie konsekwentnie i przekonywująco.

Z kart powieści wylania się w odczuwalności czytelnika szeroki, nastrojowy obraz roku powstania. Nie Jan Worobijowski jest bohaterem powieści, choć on jest główną osobą akcji — ale rok 1863-ci. Wszystko: przyroda, gospodarskie sprawy, powstańcze marsze, postoje i bitwy, szeptki konspiracyjne w Warszawie, mieszczańskie rozmówki w barze śniadannym, kraty więzienne i Sybir, Litwa, Ruś i Korona, Paryż Napoleona III-go i cesarzowej Eugenji, sylwetki wodzów powstania: Langiewicza i Traugutta, krwawe nazwiska Murawjewa i Berga. Akcja powieści przecina wszystkie warstwy społeczne: od Józka, parobka z Czarnej Wsi, który poszedł do powstania, poprzez aptekarza Czeremchowskiego, do Jana Worobijowskiego z Podola, tragicznej rodziny Serbów z Korony i niemniej tragicznej rodziny Grudnickich z Litwy, aż do hrabiny Lipowskiej i księcia Bielitisa.

Liryką, najczystszą liryką tętni cała powieść, jako że nastrój roku powstańczego ma nam wskrzesić. Ale liryka ta wypełnia ramy, na epicką miarę zakrojone. Musiał

więc Wołoszynowski znaleźć formę, któraby rozwiązała największą trudność, istniejącą w takim związku: wytyczenie drogowskazów w szerokim, a z założeń zamglonym obrazie. Jak ułatwić czytelnikowi orientację w mnogości ludzi, miejscowości i zdarzeń?

Ludzi oznaczył wagnerowskimi leitmotywami, a może raczej tak, jak ich oznaczał Homer, przez wrażliwe się w pamięć przydomki: szybkonogi Achilles, wolooka Hera. Tu także: hrabina Lipowska będzie zawsze pojawiać się jako białoramienna i jasnowłosa, Marja Grudnicka — o oczach piwnych, dziwnych i popiołowych warkoczach. Miejscowości i zdarzenia przypominają nam Wołoszynowski nawrotami, w skrótach, coraz wyraźniej zazębiając je o siebie, aż w jednym z ostatnich rozdziałów da skrót całej powieści. To stopniowanie powtórzeń stanowi może jeden z największych uroków literackich powieści.

Nieodrazu uświadomił sobie Wołoszynowski formę, która mu sama wyłoniła się w powieści. W pierwszych kilku rozdziałach pląta się jeszcze w gąszczu i nie wie jak rzecz skomponować, ale im dalej, tem większe osiąga zdobycze, tem bardziej krystalizuje pomysł, aby wreszcie na kartach końcowych doprowadzić go do doskonałości.

Przepiękna i bardzo dziwna książka. Gdy się ją czyta, ma się wrażenie oddychania powietrzem 1863-go roku. Słowo poetyckie nie zna przeszkód — zniweczyć potrafi nawet niecofnięty czas.

TERAŹNIEJSZOŚĆ W HISTORJI

W powieści Szpotańskiego „Wróżka“, jako jedna z postaci epizodycznych, występuje pisarz Chomentowski. Kilka zdań i orientujemy się odrazu, że pod cudzem nazwiskiem opisał Szpotański samego siebie.

Owóż o tym Chomentowskim powiada jeden z bohaterów powieści:

„Wie pan, jaką on ma metodę? Według tego, co widzi, pisze o tem, co było. Czyta wszystko. Niema dzieła, którego by nie znał. Ale o tem, co było, pisze według tego, co widzi. Dajmy nato, odkryje w panu podobieństwo do Archimedes, albo sobie powie: taki musiał być Archimedes, albo nawet — wszystko jedno, jakim był Archimedes, a ja według niego zrobię Archimedes. Przyczepi się wtedy do pana tak, że będzie go pan miał wciąż przy sobie. Wypyta pana, wybada, wymaca, wystudjuje i kropnie studjum o Archimedesie, które będzie właściwie studjum o panu“.

Trzeba to oczywiście odbarwić z powieściowego przejawskrawienia, ale znowu nie tak bardzo, jakby się zdawało. Metoda pisarska Szpotańskiego, w powieściach historycznych, jest istotnie prawie taka. Wyływa ona zresztą ściśle z poglądów Szpotańskiego na historję, którym świeżo dał on wyraz w polemice z Izą Moszczeńską. Szło o to, czy historja jest, czy nie jest mistrzynią życia.

„Z tym stosunkiem historii do życia i życia do historii jest zupełnie inaczej, niż ogólnie się pojmuje. Historia mniej pozwala nam rozumieć terażniejszość, niż terażniejszość historię; więcej przez terażniejszość rozumiemy historię, niż przez historię terażniejszość... Terażniejszość jest komentarzem historii, nie odwrotnie. Każda nowa epoka rozwija nam zapyłone rulony epok minionych“.

Znając te poglądy Szpotańskiego, rozumie się dopiero, na czym polega zupełnie inna od dotychczasowej beletrystyki historycznej atmosfera jego powieści. Wypadki stają się przejrzyste, ludzie zrozumieli. Niema u Szpotańskiego szablonowych rycerzy bez skazy, ani stuprocentowych zdrajców, napiętnowanych na wieczność. Są ludzie prawdziwi, skomplikowani, ludzcy. Szpotański m o d e l u j e ich z t e r a ż n i e j s z o ś c i w tem przekonaniu, że człowiek się nie zmienia w historii, zmieniają się tylko warunki otaczające go. Jeśli zaś te warunki dobrze się zna, łatwo już odtworzyć na ich tle człowieka. Nie trzeba go tworzyć intuicyjnie, co może być zawodne. Wystarczy sobie wyobrazić, jak taki a taki znany typ człowieka postępowałby w pewnych określonych warunkach historycznych. Metoda to znacznie pewniejsza.

Może sobie na nią pozwolić tylko pisarz, otrząskany z tem, co nazywamy historją i wolny od laickiego onieśmienia wobec każdego poźółkłego dokumentu. Pisarz, który wie, że ścisłość historyczna jest fikcją, i że sylwetki ludzi, wyzierające z kronik, pamiętników, czy listów, choćby się miało bardzo obszerny materiał porównawczy, mogą być djabło dalekie od prawdy i obalone lada nowym dokumencikiem. Nie należy się martwą literą piśma zbytnio sugestjonować.

Szpotański, zanim wszedł w szranki literackie, był historykiem. Pod tym względem jest bodaj wyjątkiem

wśród naszych powieściopisarzy historycznych. I nie jest przypadkiem, że właśnie on, który mógłby sobie pozwolić na maksimum t. zw. ścisłości historycznej, czyli zgody ze znanymi materiałami, najbardziej zrewolucjonizował polską powieść historyczną. Studja w Uniwersytecie Jagiellońskim, współpraca w Akademii Umiejętności, szperanie po archiwach Drezna, Berlina, Rapperswilu, Paryża — zrobiły swoje. Autor szeregu rozpraw, monografii o Mochnackim i monografii o Mickiewiczu, właśnie przez wgryzienie się w historję, nabrał od niej niezależności. Nauczył się, że bardziej można historję rozumieć przez teraźniejszość, niż przez ślepe zawierzenie archiwom.

Możeby tak szybko do tego nie doszedł, gdyby nie to, że nietylko studjował historję, ale ją i robił w czasach naszych, biorąc czynny udział w życiu politycznym. Zamłodu przeszedł przez robotę bojową w P. P. S. Tam nauczył się rozumieć rewolucję i przekonał się, jak bardzo inaczej wygląda jej rzeczywistość legendy. Stąd jego opisy rewolucji paryskiej w „Prometeuszach“, czy chłopskiej rewolty Szeli w „Bez ziemi i bez nieba“, aż tętnią prawdą.

W czasie wojny był Szpotański współpracownikiem Komitetu Narodowego w Paryżu i tu znów miał bliski wgląd w mechanizm wielkiej dyplomacji, a zarazem sprawdzian, co z tego zostanie dla potomnych w dokumentach. Wreszcie jako kierownik biura propagandy ambasady polskiej w Paryżu, często gęsto wpadający do kraju, zbliżona i z perspektywy paryskiej przyglądał się pierwocinom odbudowywania państwa polskiego.

Te wszystkie elementy, które złożyły się na przygotowanie Szpotańskiego i ukształtowały jego psychikę pisarską, objawiły się odrazu w pierwszej jego powieści

historycznej „Bez słońca“. Pod względem opanowania formy powieściowej jest to jeszcze rzecz surowa, niewolna nawet od sienkiewiczowskich reminiscencyj, chromająca w konstrukcji. Ale jakże pyszna w zilustrowaniu czytelnikowi czem właściwie było powstanie 1831-go roku i w ludzkim pokazaniu sylwetek jego głównych aktorów! Gdyby ta książka szerzej była znana, gdyby w porę przygotowano jej drugie wydanie (pierwsze jest już wy-czerpane), z pewnością inaczej przeszedłby rok, poświęcony stuleciu listopadowego powstania, zostawiłby w duszach polskich jakieś echa. Bo przecież rok 1831-szy widziany przez pryzmat Wyspiańskiego, z nieruchomym Chłopickim w „Warszawiance“, czy nieprawdopodobnym Dembińskim w „Lelewelu“ — jest dla nas dziś zupełnie martwy. Jak ci sami dwaj — Chłopicki i Dembiński — żyją u Szpotańskiego!

W „Bez słońca“ wyładował Szpotański przedewszystkiem swą pasję polityczną. Ciągłe narzucające się analogje między tworzeniem rządu po wybuchu powstania listopadowego, a stosunkami w odbudowanej po wojnie Polsce, dawały mu do tego szerokie pole, bez uszczerbku zresztą dla prawdy historycznej, a przeciwnie, czyniąc ją żywą. Dalsze skolei powieści historyczne: „Synowie klęski“ i „Prometeusz“ — ukazały nam Szpotańskiego-znawcę Mickiewicza i znawcę środowiska paryskiego.

W miarę opanowywania techniki powieściopisarskiej, a raczej tworzenia sobie swojej własnej, odrębnej techniki, pogłosy zainteresowań politycznych i historycznych, nie milknąc w Szpotańskim, przestają być celem, a stają się środkami. Niknie z powieści Szpotańskiego balast, zostaje tylko to, co mieści się w koncepcji powieściowej i da się z nią organicznie stopić. W zdumiewająco szyb-

kiem tempie osiąga niedawny historyk i publicysta dojrzałość w nowej dla siebie dziedzinie.

Owocem tej dojrzałości twórczej są dwie jego najlepsze powieści: „Odloty“ i „Bez ziemi i bez nieba“.

Gdyby istniała u nas rzetelna opinia literacka, niepodzielona na parafje, oddające cześć tylko swoim świętym, ukazanie się każdej z tych książek, stałoby się wydarzeniem literackim, o którym dyskutowanoby długo.

Dramatyczne napięcie historii Artura Zawiszy w „Odlotach“, czy realistyczna sylweta Szeli w „Bez ziemi i bez nieba“ znamionują pisarza wysokiej rangi. Pisarza, który świetnie zna duszę chłopca i szlachcica, pisarza myślącego, umiającego formułować swe myśli i mającego coś do powiedzenia. Szablon intrygi romansowej prawie nie istnieje w powieściach Szpotańskiego. Jego postaci nie są tworzone według znanych recept. Biorą czytelnika oryginalnością, w każdej jest jakieś nowe spojrzenie na świat i ludzi. A jeśli można Szpotańskiemu dużo wytknąć, zwłaszcza w konstrukcji powieściowej i w niedość jeszcze konsekwentnym realizmie formy — to obserwując linię rozwojową jego talentu, wie się, że nie jest to pisarz, który stoi w miejscu, ale ciągle idzie naprzód.

O książce tej w prasie głucho. Ludziska się w niej rozczytują, jej tytuł ciągle słyszy się w rozmowach i dyskusjach, w księgarniach popyt ogromny, w wypożyczalniach zapisywać się trzeba na nią w kolejce. A w prasie ani słóweczka. Panowie krytycy są zakłopotani. Jest to bowiem rzecz, ~ której oceny nie sposób się wyłgać, ani sianem wykręcić. Trzeba jasno i wyraźnie sprecyzować swój stosunek do zagadnień, jakie w niej tkwią.

A książka ta jest poprostu unikatem w naszej współczesności literackiej. Powieść, która nie chowa lękliwie swych idei w historyczną przeszłość, nie ucieka przezornie przed koszmarem polskiej rzeczywistości. Raz narreszcie powieść o tem, co nas dusi i tłamsi, o tem, co jest tematem niesłychanie żywotnym dla współczesnego Polaka, a co dziwnie nikły odblask znajduje w pięknoduchej i oderwanej od życia literaturze. „Karjera Nikodema Dyzmy“ Tadeusza Dołęgi-Mostowicza.

Nie jest z pewnością przypadkiem, że autor „Karjery Dyzmy“ zaczął swą działalność pisarską w publicystyce. Jego feljetony, drukowane przed kilku laty w „Rzeczy-

pospolitej“, wysunęły go na czoło polskich feljtonistów i nie uszły uwagi „nieznanych sprawców“. Rozprawa zbirów z pisarzem w lasku sękocińskim odbiła się głośnym echem w całym kraju. Ostatnio przeszedł Mostowicz do beletrystyki, wnosząc w nią to, co stanowiło siłę jego feljtonow: aktualność tematów, ciętość p.óra i żywiołowy talent pisarski.

Talent ten, na szerokim terenie powieści, miał dopiero możność rozwinąć się bujnie. Dorazne, migawkowe, obrazki feljtonisty, ustąpiły miejsca obrazowi malowanemu soczyście. Zostało żywe poczucie aktualności, ale wzbogacone spojrzeniem w głąb rzeczy.

„Karjera Nikodema Dyzmy“, traktowana na poły satyrycznie, choć rzucona na tło realistyczne, uderza ostrzem w jeden z najtypowszych dla polskiej terażniejszości objawów zbiorowej psychozy. Leży u podłoża tej psychozy coś z zawiedzionych marzeń romantycznych niewoli o rozgwieżdżonej i lazurowej niepodległości. Jest w tem coś z naiwnej wiary, że ni z tego ni z owego będzie Polska na pierwszego. Polska, owszem, wybuchła, ale zupełnie inna od wzji Krasinskiego z „Przedświtu“. Chora na demokratyczne ząbkowanie, trawiona gorączką wolności, w ciężkich zmaganiach zewnętrznych i wewnętrznych odnajdującą swój pion.

Byli tacy, którym za długo było czekać, aż ten pion odnajdzie. Mętne łby, mierzące historję metrem chwili, nie umiejące odróżnić w procesach socjologicznych ziarna od plewy, straciły wiarę w wartość idei, programów, kierunków. Zjawiała się typowa w niewyrobionych społeczeństwach tęsknota do mocnego człowieka. Tęsknota nie do mocnej idei — ale właśnie do mocnego

człowieka, któryby wszystkich wziął za łeb, pokierował i poprowadził.

A kryterja, według których poznaje się ród tych mocnych ludzi? Cóż jest zewnętrzną oznaką siły? A no chyba jakaś kanciastość, rubasność, gburowatość, chamstwo. Tak to sobie przynajmniej uproszczono.

To jest punkt wyjścia satyry Mostowicza, w której jest znacznie więcej realnej prawdy, niżby się to na pozór wydawało.

Eksurzędniczyna z zapadłej dziury prowincjonalnej, grasujący na warszawskim bruku, Nikodem Dyzma, świeżo nieprzyjęty na posadę fordansera, bo za mało miał „sznytu“, znajduje przypadkiem na ulicy zaproszenie na raut z okazji przybycia do stolicy jakiegoś zagranicznego dygnitarza. Głód kiszki skręca, więc Dyzma, niewiele się namyślając, przywdziewa frak i wali do Europejskiego Hotelu. Przedewszystkiem się najeść! Dopchał się do bufetu, i w chwili, gdy trzymał już w ręku talerzyk z smakowitym pasztetem, ktoś go potrącił. Talerz rozstrzaskał się o podłogę. Dyzma stracił panowanie nad sobą. Od jasnych choler zwymyślał nieuważnego. Gdy się opamiętał, ogarnęła go rozpacz. Toż teraz lada chwila go wyrzucą.

Efekt, jaki wywołał, zdumiał jego samego. Nietylko nie wyrzucili, ale przeciwnie, zaimponował zebrany. Po sali poszły pogwarki: „Mocny człowiek, mocny człowiek!“ Osobiści wrogowie zwymyślanego, który okazał się jakąś ważną figurą, odrazu zbliżyli się do Dyzmy. Ani się spostrzegł, kiedy został przyjacielem możnego pułkownika i jakiegoś ministra. W tej chwili zakręcił się koło Dyzmy stary geszefciarz, który mu zaofiarował

świetną posadę, licząc na poparcie u sfer miarodajnych w pewnych niewyraźnych sprawach.

Tak się zaczęła karjera Nikodema Dyzmy. Przesada satyryczna? Nie tak znowu wielka. Nigdy nie zapomnę rozmowy z pewnym profesorem uniwersytetu, który przed paru laty był w delegacji u ministra oświaty, późniejszego premiera, i nie mógł wyjść ze zdumienia spowodu słownika, jakiego używał ów dygnitarz w rozmowie z uczonymi. Minister chciał uchodzić za mocnego człowieka. Marszałkowskie słówka pakował w każde zdanie.

Nikodem Dyzma nie robił swej kariery wśród uczonych. Jego słownik nietylko, że nikogo nie dziwił, ale przeciwnie, torował mu drogę. Sprytu miał dość, żeby się połapać w nowej sytuacji, więc też otoczony sławą mocnego człowieka, szybko wysoko zajechał. Niedoszły fordanser zostaje niebawem prezesem Banku Zbożowego i wielką figurą.

Jest w metodzie pisarskiej Mostowicza dużo brutalności. Nie obwija on niczego w bawełnę, ani się cacka ze spostrzeżeniami, które chce literacko wyrazić. Ponury obraz wyziera z powieści. Tak ponury, że radośnie twórcza cenzura zaszczyciła powieść konfiskatą dwóch odcinków, obecnie w wydaniu książkowym wykropkowanych.

Bo zamiarem Mostowicza było nietylko pokazać, jak Dyzmy robią karierę, ale czem są takie typy, gdy się dorwą do władzy. Scena zamordowania przez nasłanych zbirów pocztmistrza Boczka, który prezesowi Banku Zbożowego miał nieostrożność przypomnieć jego przeszłość, rozprawa z dawną kochanką Dyzmy w komisariacie policji, czy sposoby jakich używa Dyzma do zagarnięcia

majątku Kunickiego — należą do najcięższych kart powieści.

Ale może najgłębsze spostrzeżenie kryje się w scenie, kiedy Dyzma obejmuje fabrykę w Koborowie i zapowiada robotnikom rządu silnej ręki. Po jego wyjściu zrywa się wśród zebranych bunt. Słomiany ogień niedługo się tli. Jedno drugie słówko dwóch przekonanych wymową Dyzmy, a może raczej obiecujących sobie korzyści z usługi oddanej prezesowi — i wszyscy pokornie zginają grzbiety. Strach przed utratą posesy i bierność bierze górę. To jakby przekrój psychologiczny siły Dyzmów, która tkwi nietyle w nich, ile w słabości i głupocie przeciwników.

I w głupocie. Bo kiedy w dobranem kółku, bawiącym na wsi u pana prezesa, rozchodzi się wieść o powołaniu Dyzmy na premiera, jeden tylko człowiek zrywa się, by krzyknąć, że przecież ten wielki człowiek Dyzma, to jest poprostu sprytny łajdak i oszust. A ten jeden, który prawdę powiedział — to warjat...

Główną wartością powieści Mostowicza są te właśnie momenty o społeczno-psychologicznem znaczeniu. Autor tak na nich ześrodkował uwagę, że już intryga romansowa wypadła znacznie słabiej. Psychika bohaterki powieści, Niny, zostającej wprzód kochanką, a potem żoną Dyzmy, nie tłumaczy się dość jasno.

W akcji sporo jest banalizmów, a pewna feljetonowość w traktowaniu jej skrótami, znamionuje jeszcze w Mostowiczu niedawnego dziennikarza, ale sprawia zarazem, że powieść jego, rozwijającą się w ostrem tempie, czyta się jednym tchem. Łatwość techniki pisarskiej jest największem niebezpieczeństwem dla dalszego rozwoju talentu Mostowicza. Oby go nie poniosła na manowce!

Pierwsza jego książka jest doskonałą zapowiedzią. I aktualnie czemś więcej:

Mostowiczowski Dyzma ma bowiem wszystkie dane, aby się stać tem, jako potoczne pojęcie typu, czem stał się ongiś — w innem oczywiście znaczeniu — Podfilipski Weysenhoffa.

I.

Równinna średniość współczesnej literatury polskiej, ubożyzna wynioślejszych talentów i indywidualności pisarskich, a raczej ich niezarysowanie się wyraźne na tle formującego się dopiero nowego okresu naszego piśmiennictwa — wytworzyły w ciągu ostatnich lat atmosferę szczególniejszego rodzaju. Atmosferę tę, panującą zarówno w krytyce, jak i wśród czytającej publiczności, charakteryzuje łatwość wzniecania się entuzjazmu dla lada książki, której udało się wybić choćby nieco z ogólnej szarzyzny, ale zarazem ogromna ostrożność w formułowaniu sądów nieoderwanych, porównawczych, umiejscowiających nowe zjawisko literackie w naszym ogólnym dorobku piśmienniczym. Te i owe pohopne próby pasowania lokalnych wielkości klikowych na następców prawdziwych wielkości minionego okresu literatury skończy się fiaskiem, niejedna książka, wynoszona na gorąco pod niebiosa, już po kilku latach blakła, szarzała

i poprostu szła w niepamięć, toteż z każdym miesiącem ostrożność sądów rosła i rośnie.

„Noce i dnie“ Marji Dąbrowskiej zaznały przyjęcia zarówno entuzjastycznego, jak i ostrożnego. O ile po ukazaniu się pierwszej części epopei, „Bogumiła i Barbary“, mogły jeszcze na tę ostrożność wpływać wątpliwości, czy autorce starczy oddechu na skomponowanie całości, o ile w części drugiej cyklu, w „Wiecznem zmartwieniu“, dostrzegało się tu i ówdzie jakby objawy pewnego znużenia twórczego, o tyle pierwszy tom części trzeciej, zatytułowanej: „Miłość“, swą dojrzałością pisarską, bogactwem i osiągnięciem pełni wyrazu epickiego, stawia cykl Dąbrowskiej pomiędzy najważniejsze wydarzenia literackie naszych dni. Niesposób z odległości kilku kroków ocenić trafnie skalę zjawiska literackiego, jakim są „Noce i dnie“. To jednak pewne, że jest to zjawisko o nieprzemijającym i trwałem znaczeniu dla naszej literatury. Trudno natomiast byłoby mi się zgodzić z K. W. Zawodzińskim, jedynym spośród krytyków, który miał odwagę zająć się ustaleniem historyczno-literackiego znaczenia twórczości Marji Dąbrowskiej (Przegląd Współczesny, 1933, numery 1 i 2), a który „Nocom i dniom“ przypisuje zapoczątkowanie nowej epoki historii literatury polskiej. Epopeja Dąbrowskiej wydaje mi się raczej najwybitniejszym dziełem okresu przejściowego, bo choć prostotą formy i rzeczowością ujęcia odbiega bardzo daleko od utworów tak licznych pogrobowców Młodej Polski, to postawa psychiczna autorki, nie mająca wprawdzie w sobie nic z wczorajszości, jest jednak — t y l k o d z i s i e j s z a. Niema w niej zarodzi na jutro literackie.

Ale wprzód o formie.

Co przedewszystkiem uderza przy czytaniu „Nocy i dni“, to niezwykle skupienie i powaga, z jakimi Dąbrowka przystępuje do wykonania zamierzonego zadania. W panującym u nas naogół niechlujstwie literackim, wytrąsaniu formy z rękawa, braku poczucia odpowiedzialności za skończoność kompozycji, prześlizgiwaniu się przez trudności skokami talentu — konsekwencja kompozycyjna Dąbrowskiej jest prawdziwą rzadkością. W metodzie pisarskiej Dąbrowskiej niema jednak dłubaniny, przemęczania stylu i języka, cyzelatorstwa szczegółów, szlifowania i przeszlifowania. Jest przemyślenie zasad własnej stylistyki i żelazne trzymanie się ich przez cały ciąg powieści, do takich drobiazgów włącznie, jak np. stworzenie własnej, konsekwentnej interpunkcji. Pewne właściwości stylu Dąbrowskiej mogą się nam wydawać nieprzekonywujące, jak np. częste przechodzenie w jednym i tym samym ustępie prozy epickiej z czasu przeszłego w czas teraźniejszy — ale i wtedy nietrudno wykryć stałą zasadę, jaką się autorka kieruje.

Ta przemyślana programowość prozy Dąbrowskiej sprawia, że jej prostota osiągnięta oczyszczeniem języka z barokowej przesady metafory i unaturalnieniem składni, działa pomimo swą pozorną szarżyznę niezwykle sugestywnie. Ani na chwilę nie czyni na czytelniku wrażenia czegoś niedoskonałego i ubogiego, jak np. prostota językowa Perzyńskiego, o której byle Krzywicka gotowa była wyrazić się pogardliwie, że „tak się mówi, ale tak się nie pisze“, dopóki aż u Celine'a nie odkryła, iż jest to właśnie najwyższa zaleta. Prostota językowa Perzyńskiego, tego wyjątkowego pisarza, który wśród orgji późno-młodopolskiego baroku chodził własną ścieżką i był istotnym prekursorem nowoczesnej rzeczowości w pro-

zie — wywodziła się z praktycznych doświadczeń dramaturga, któremu dialog sceniczny uzmysłowił śmieszność t. zw. literackości. Inaczej ma się rzecz u Dąbrowskiej. Tu prostota jest programem, rodzi się z buntu przeciw zakłamanemu stylistycznemu Młodej Polsce, osiągnięta została w walce z nawykami. Toteż w prozie Dąbrowskiej jest jakby podskórny nurt apostołstwa, który właśnie czyni ją tak sugestywną i który nadaje jej przełomowe znaczenie, chociaż nie jest ona wcale tak gwałtownym skokiem, jakim wydawałaby się proza Perzyńskiego, gdyby się w niej czuło bunt, a nie praktyczność.

Prostota prozy Dąbrowskiej odpowiedziała potrzebie epoki, przyszła w momencie, kiedy ta potrzeba była już całkowicie uświadomiona i dlatego wywarła wrażenie szczególnie silne. Ale sukces czytelniczy „Nocy i dni” w stopniu jeszcze większym opiera się na zadośćuczynieniu innemu postulatowi: konieczności związania literatury z współczesnością.

Wygląda to nieco na paradoks, gdy zważyć, że „Noce i dni” to powieść niemal historyczna, i gdy codopiero wymieniało się nazwisko Perzyńskiego, który właśnie jak nikt inny czerpał z najbliższej sobie współczesności. Czerpał tak na świeżo i tak bezpośrednio, że jego najlepsze powieści, obrazujące Warszawę w krótkim epizodzie inflacji, wydają się nam dziś dokumentami historycznymi. Przeciwnie zaś, historyczna powieść Dąbrowskiej jest nawkróś współczesna przez to, że daje czytelnikowi dzisiejsze spojrzenie na lata popowstaniowe.

Bohater „Nocy i dni”, Bogumił Niechcic, jest powstańcem z 63-go roku. Wystarczy uprzytomnić sobie, jaką nieznośną piłą musiałyby dla dzisiejszego czytelnika

stać się ta postać, gdyby powieść Dąbrowskiej była skomponowana według zasad obowiązującego jeszcze do wczoraj dydaktyzmu patryjotycznego. Co dziesiąta strona jakieś opowiadanko powstaniowe, naszpikowane wielkimi słowami, snucie wspomnień przy kominku, odtwarzanie grottgerowskich nastrojów. Ku porzuceniu i rozbudzeniu serc. Na Dąbrowskiej już ten obowiązek nie ciąży. Mamy własne państwo i wraz z tem zmienił się typ naszego patryjotyzmu, który nie potrzebuje sztucznych odzywek, nie trawi ich nawet. Powstaniec w powieści nie musi już być sztandarem, może być człowiekiem.

Bogumił Niechcic potraktowany został przez Dąbrowską po kiplingowsku. Wspomnienia powstańcze są w nim albo zbyt święte, albo zbyt bolesne, aby je miał na pokaz i na wynos. Wychowana w atmosferze romantyzmu Barbara ma nawet żal do męża, że nigdy jej nic na ten temat nie powiedział, żal tem większy, że raz słyszała, jak Bogumił, po pijanemu, o swych przygodach powstańczych dysputował na jakimś wieczorku z oficerem rosyjskim, z Moskałem... Ten fragmencik żołnierskich zwierzeń wobec żołnierza, choćby wroga, tak psychologicznie prawdziwy, najdobitniej może charakteryzuje dzisiejszość spojrzenia Dąbrowskiej, odrzucenie precz patosu i koturnów, niekępowany dydaktyzmem realizm powieści.

Ten realizm uwidocznia się przedewszystkiem w proporcjach spraw życia codziennego, zwykłych, szarych trosk i kłopotów, do spraw ogólniejszego znaczenia, słabem echem zaledwie przenikających w życie głuchej prowincji, na której rozgrywa się akcja powieści. Tytuł „Noc i dzień“ ma głębokie uzasadnienie kompozycyjne. Powieść Dąbrowskiej nie składa się z efektownego wyboru zdarzeń niezwykłych i frapujących. To powieść

o codzienności. Ale Dąbrowska umie przedstawić każdą zwykłą sprawę z takim mistrzostwem artyzmu, że nie nuży czytelnika, przeciwnie, bardziej go to pochłania, niż najwymyślniejsze perypetje powieści fabularnej.

Z drobnych, szarych faktów, dziejących się w rodzinie Niechciców i rodzinie Ostrzeńskich, wyłania się bowiem niespodzianie szeroki obraz historyczny epoki pozytywizmu. To, co w Warszawie działo się wśród głośnych haseł, na prowincji stawało się samo jako proces popowstaniowego deklasowania się ziemiaństwa. Praca organiczna była koniecznością materialną, koniecznością utrzymania się na powierzchni. Niechcic administrujący na cudzym majątku, Julian Ostrzeński budujący w Rosji koleje, pani Michalina Ostrzeńska zakładająca sklep, Kocięł rzucający się w wir interesów i ci wszyscy inni, wysadzeni z starego siodła, i dosiadający nowych — to obraz ruchu, który być może znacznie mniej wywodził się z pozytywistycznego teoretyzowania, a bardziej z twardej konieczności.

II.

Zarzuca się Dąbrowskiej zbytnią drobiazgowość opisu, przeciążanie powieści mnóstwem zbędnych szczegółów. Zarzut byłby słuszny, gdyby w tych szczegółach gubił się rzut całości. Jeśli jednak z kompozycji drobiazgów wyłania się obraz epoki, a więc znacznie więcej, niż w zamierzeniu autorki, bo „Noce i dnie“ są pomyślane jako epopeja rodzinna — to celowość artystyczna takiej kompozycji nie podlega już dyskusji.

Taka zaś właśnie, a nie inna kompozycja, musiała się

narzucić Dąbrowskiej z samego tematu. W życiu rodziny drobiazgi znaczą często więcej, niż wydarzenia zewnętrznie ważne. Tradycja rodzinna najtroskliwiej przechowuje pamięć okoliczności, choćby te okoliczności były dość luźno z samą sprawą związane. Dąbrowska ma pod tym względem wyczucie niezawodne.

Weźmy np. w tomie pierwszym opis śmierci małego Piotrusia. Szczegółowo, nie pomijając żadnego drobiazgu, opowiada Dąbrowska o ostatnim spacerze malca z rodzicami do lasu. Notuje każde odezwanie się chłopca, jego przestraszony głos, gdy rodzice schowali się dla żartu za krzakami. Potem, nagłe zachorowanie Piotrusia po powrocie do domu, opisane jest już skrótami. Jeszcze jeden moment wraża się w pamięć czytelnika, gdy chory chłopiec prosi ojca o zagranie na skrzypcach. Sama śmierć w jednym zdaniu: „Nad ranem Piotruś skonał“.

Opis t. zw. literacki byłby w proporcjach zupełnie inny. Spacer w jednym zdaniu, choroba obszernie z stopniowaniem napięcia do kulminacyjnego momentu śmierci. I patos opisu śmierci: mgłą zachodzące oczy, wyprężone ciało dziecinne, groza. Opis Dąbrowskiej uzmysłowia natomiast to, co o śmierci Piotrusia musiało zostać w tradycji rodziny Niechciców. Nie sama śmierć, kiedy już rodzice byli półprzytomni z rozpacz, ale właśnie wszystkie najdrobniejsze szczegóły poprzedzające tę śmierć. Ileż to razy pani Barbara musiała odtwarzać sobie w pamięci i opowiadać właśnie ten swój ostatni spacer z synkiem! Toteż takie, jak u Dąbrowskiej zbudowanie opisu, wprowadza nas najprawdziej w atmosferę rodziny.

Drobiazgowość Dąbrowskiej, wynikająca z samego założenia powieści rodzinnej, ochrzczono tu i ówdzie

w krytyce jako kobiecego sposobu pisania. Nie wydaje mi się to trafne. „Nocy i dni“ nie sposób określić mianem t. zw. powieści kobiecej. W rozrodzonej ostatnio bujnie, nawet za bujnie, literaturze niewieściej, Dąbrowska, wolna zarówno od sentymentalizmu i czułościowości, jak i od natrętnego feminizmu maszerujących apostołek płci, stanowi prawdziwy wyjątek. Na niezależność psychiczną Dąbrowskiej od demagogii feministycznej zwrócił już niedawno uwagę Grzymała-Siedlecki. W „Nocach i dniach“ niema ani cienia modnego od czasów Zapolskiej dochodzenia krzywd kobiecych na mężczyznę. Przeciwnie. Jeśli kto jest skrzywdzony, jeśli kto budzi współczucie, to prawy, z jednej bryły wykuty Bogumił Niechcic, któremu małżeństwo z Barbarą nie dało takiego szczęścia, na jakie zasłużył. Natomiast wieczne zmartwienie pani Barbary zawinione jest raczej przez nią samą, przez jej usposobienie, niż przez krzywdy życia, czy upośledzenie społeczne.

Że „Noce i dni“ wyszły z pod pióra kobiety, to wyczuwa się w powieści nie w autorskiej postawie, ani w rodzaju spostrzeżeń, ale tylko w punkcie obserwacyjnym, z jakiego te spostrzeżenia są robione. Rodzinę Niechciców i Ostrzeńskich widzimy cały czas w „Nocach i dniach“ z tej strony, z jakiej jest najłatwiej dostrzegalna oczom kobiety. Nie znaczy to, aby Dąbrowska tylko kobiece postacie swej powieści pogłębiała, a postacie męskie traktowała raczej zewnątrz. Subtelna intuicja pozwala jej kreślić sylwetki psychiczne mężczyzn z równą, jeśli nie większą prawdą i siłą wyrazu, jak sylwetki psychiczne kobiet. Kobiecego punktu widzenia zaznacza się właśnie w tem, co składa się na zewnętrzną, opisaną, epicką scenerję powieści.

Życie rodziny Niechciców, to w powieści Dąbrowskiej niemal wyłącznie sprawy domu i dzieci. Pracy Bogumiła Niechcica prawie się nie widzi. Wiemy o niej tylko tyle, co echem dochodzi do domu. W dotychczasowych trzech tomach powieści nie ma ani jednego na szerszą skalę, zakrojonego obrazu Bogumiła na tle jego zajęć gospodarskich. Nie widzimy go dozorującego orki, dopilnowującego wydawania koniom obroku, rachującego fury zwożonego siana, o tem, że zaharowuje się, aby wzięty w administrację Serbinów wyprowadzić z ruiny, dowiadujemy się tylko z jego rozmów z żoną. Jeśli słyszemy na własne uszy jakieś polecenie, wydawane przez Bogumiła, to jest to polecenie zaprzęgania koni, aby odwiozły do miasta panią Barbarę, lub pojechały po doktora. Bogumił jako mąż i ojciec rysuje się w powieści niezmiernie plastycznie. Jako gospodarz niemal nie istnieje. Musimy przyjmować na wiarę, że jest gospodarzem znakomitym, że doprowadził Serbinów do kwitnącego stanu, że potroił dochody z majątku. Wszystko to się dzieje poza marginesami powieści, bez możliwości uczestniczenia w tem czytelnika. Bliżej wtajemniczyć możemy się tylko w to, co ze spraw gospodarskich opiera się o dom, więc w sprawy personalne: kłopotów z ekonomem Kattelbą, odnawiania kontraktów z plenipotentem właścicielki majątku Dalenieckim, intryg na tem tle i niepokojów.

Pewne osłabienie nurtu powieściowego, które zjawia się pod koniec tomu pierwszego i przechodzi w tom drugi, polega na tem, że najistotniejsza w danym okresie sprawa w rodzinie Niechciców, walka Bogumiła z ziemią, odbywa się jakby we mgle, przesłonięta przez drobiazgi domowe. Osłabienie to ustępuje zupełnie w tomie trze-

ciem, kiedy już Bogumił doprowadził Serbinów do porządku, kiedy jego praca gospodarska staje się powszednia i nieinteresująca, kiedy pozostają już tylko inwestycje, przebudowa czworaków, czy dreny, kiedy moment walki minął i w okresie równowagi istotnie na plan pierwszy wybić się mogą sprawy domowe i sprawy wychowania dzieci.

Tu Dąbrowska czuje się pewnie na swoim terenie, a że powieść w ten sposób jest skomponowana, iż dochodzi tu właśnie do najszerzej rozpiętości, tom trzeci „Nocy i dni“, bogactwem i pełnią obrazu działa na czytelnika niezwykle sugestywnie. O ile w pierwszym tomie Bogumił i Barbara byli postaciami pierwszoplanowymi, na których ześrodkowywała się uwaga czytelnika, a inne postaci należały raczej do tła, o ile w tomie drugim epopeja rodzinna narastała coraz wyraziściej, to już w tomie trzecim wieloplanowość obrazu jest na tyle przygotowana, że czytelnik ogarnia ją bez trudu.

Bogumił i Barbara zbliżają się do jesieni życia. Barbara w rezygnacji, coraz już mniej spodziewająca się dla siebie, coraz apatyczniejsza uczuciowo i wyzbywająca się dawnych, dziewczęcych, nigdy niespełnionych aspiracji. Bogumił zaś, równy i trzymający się dotąd w garści, w ostatnich błyskach słońca zaczyna się rozklejać nieoczekiwanie dla samego siebie.

Równocześnie podrastają dzieci Niechciców. Najstarsza, Agnisia, uczenica pensji pani Wenordenowej w Kalińcu, staje się obok Bogumiła i Barbary trzecią główną postacią powieści. Pośrodku, między starzejącymi się już Bogumiłem i Barbarą, a ich podrastającymi dziećmi, na dalszym planie, wchodzące w życie młode pokolenie Kociellów i Ostrzeńskich.

Punkt ciężkości przenosi się jednak wyraźnie na dzieci Niechciców. Psychologję dzieci umie Dąbrowska obserwować arcywnikliwie. Tego dowodziły już ostatnie karty drugiego tomu, jakież dalekie od szablonu idealizowania, i jakież prawdziwe w swym realizmie. Dąbrowska nie omija wstydliwie spraw przykrych i bolesnych, o których wie każdy, kto miał z dziećmi do czynienia, a które wypływają najczęściej nie z jakichś wrodzonych złych skłonności dzieci, ale z niewykształcenia hamulców psychicznych. Historia małego Tomaszka, który ukradł ojcu ze stolika sakiewkę z pieniędzmi, jest historją częściej zdarzającą się w najprzystwoitszych rodzinach, niżby się to zdawało. Dąbrowska miała odwagę wprowadzić ją bez obłonek do naszej literatury.

Tom trzeci obrazuje przedewszystkiem życie Agnisi na pensji i środowisko żeńskiej szkoły. Rozwija się przed naszymi oczyma malowidło niezmiernie subtelnie traktowane, nic nie ukrywające, a wolne całkowicie od przesady „Przedpiekla“ Zapolskiej. I w sposób mistrzowski kreśli Dąbrowska proces dojrzewania dziewczyny. Opis momentu przełomowego jest wręcz arcydziełem. Arcydziełem umiaru pisarskiego i siły wyrazu zarazem. Wystarczy opis ten porównać np. z opisem porodu w „Dziejach grzechu“ Żeromskiego, by zrozumieć, na czym polega różnica między realizmem Dąbrowskiej, a realizmem młodopolskim, wywodzącym się z brutalizmu naturalistycznego Zoli. Opis Żeromskiego jest jakby opowiedzianą po literacku kartką z podręcznika ginekologii. W opisie Dąbrowskiej, tematycznie trudniejszym i drażliwszym, strona fizjologiczna jest ledwo wyczuwalna, i to o tyle tylko, o ile funkcją jej stają się pewne stany psychiczne.

Przesuwanie każdego zagadnienia ku psychice jest

zasadniczą cechą twórczości Dąbrowskiej, zasadniczą cechą jej metody realistycznej. Nie dematerializuje to bynajmniej opisu, przeciwnie, czyni go pełniejszym, po ludzku prawdziwszym i artystycznie uczciwszym. Dąbrowska ma w najwyższym stopniu rozwinięte poczucie odpowiedzialności moralnej za swoją twórczość. Wszelki ekshibicjonizm jest jej obcy. Autorka „Nocy i dni“ nie ucieka się nigdy do chwytania czytelnika przez apelowanie do — powiedzmy po shawowsku — niższych ośrodków.

Jest w „Nocach i dniach“ pion etyczny. Pion około którego krystalizuje się twórczość Dąbrowskiej i który tkwi w bohaterach powieści. Powieść ta oddycha atmosferą surowości moralnej. Użyłem z rozmysłu określenia: surowość, bo zarówno w psychice samej Dąbrowskiej, jak w cząstkach tej psychiki, któremi obdarzyła swych bohaterów jest masa oschłości, nierozegrzanej ciepłem wiary. Ta wspaniała epopeja cierpi na niedokrewność. Czegoś jej brak. Jest wieś, dwór, czworaki, miasteczko, przyroda, a nigdy nie widać kościoła. Być może, że w życiu tego środowiska, które opisuje Dąbrowska, kościół nie odgrywał żadnej roli. Ale jeśli tak, to nawet jak na środowisko, wychowane na pozytywizmie, byłby to wypadek dosyć szczególny. Ludzie Dąbrowskiej nie modlą się, nie spowiadają się ze swych trosk Bogu, polegają w swych walkach tylko na własnych siłach. Jakby się zupełnie wyrzekli najpotężniejszej dźwigni w życiu — wiary.

Tkwią tak mocno w tradycji, w związku z ziemią i przyrodą, że starcza im sił na utrzymanie pionu etycznego. Ale czy starczy ich potomkom, rozegnanym po świecie?

Przez tę właśnie nawskroś pozytywistyczną postawę Dąbrowskiej, „Noce i dnie“ wydają mi się powieścią tylko dzisiejszą i nie niosącą zadatków na jutro. Rzetelność autorki, która nie potrafi nic udawać i nieszczerze dorabiać, napawa czytelnika szacunkiem dla niej. My jeszcze doskonale potrafimy zrozumieć zarówno ubogość, jak i uczciwość jej stanowiska. Ale dla młodego pokolenia, tej narastającej nowej inteligencji polskiej, której lata akademickie nie upływają w modzie ateizmu, ale w okresie renesansu religijności — powieść Marji Dąbrowskiej będzie kaleka i obca.

Panuje u nas poprostu głód wybitnej książki, głód utworu, któryby wybijał się ponad przeciętność współczesnej literatury polskiej. Głód ten jest tak silny, że niekiedy przewyciężyć nawet potrafi ostrożność krytyki. Ni stąd, ni zowąd buchają zachwyty, a pisarz doświadcza atmosfery życzliwości, o jakiej wielu niedocenionych marzyć nawet nie może. Ta atmosfera życzliwości otacza ukazanie się powieści Michała Choromańskiego: „Zazdrość i medycyna“.

Ma to swoje dobre strony, bo pobudza pisarza do pracy, daje mu poczucie, że jest zrozumiany i potrzebny, ale równocześnie kryje w sobie niebezpieczeństwo zaczadzenia pisarza i skrzywienia jego linii rozwojowej. Tyle obserwowaliśmy już w ostatnich latach przykładów załamywania się twórczości po ciełych zachwytach publiczności i krytyki nad pierwszemi książkami!

Toteż ton niemal panegiryczny, jaki zabrzmiał w większości recenzyj z „Zazdrości i medycyny“ nie zdaje się dowodzić ani poczucia odpowiedzialności, ani rzetelnego przegryzienia się krytycznego przez książkę.

Książka jest istotnie niepospolita, ale obok kart wspaniałych pisarsko, są w niej partje słabe, jest dużo błędów kompozycyjnych, fałszywych chwytów i niedociągnięć.

Lapidarnie możnaby określić, że decyduje o niezwykłości tej powieści — porywająco odczuta *m e d y c y n a*, raczej banalna i wąta artystycznie jest *z a z d r o ś ć*, a całość traci przez monotonię psychologiczną i sztuczną konstrukcję.

Swą rangę artystyczną, niezaprzeczenie generalską, zdobyła „Zazdrość i medycyna“ przez arcydzielny, zgodnie najwyższymi pochwałami powitany, opis operacji Rebeci Widmarowej, stanowiący centralny moment powieści. Zewnętrzne jego walory, podkreślane w krytykach wielokrotnie, nie wyczerpują jednak sprawy. O sile tego opisu nie decyduje bowiem ani jego plastyka i epickość, ani wyczucie i sugestywne oddanie mechanizmu, jaki tworzy załoga operacyjna, ani nawet dramatyczne napięcie, owa ósma minuta, w której wszyscy obecni przy operacji poczuli, że coś się stało niezwykłego, co rozstraja cały aparat, a chirurg, przygotowany na operację ślepej kiszki, przejść musiał olrazu na operację ciąży pozamacicznej. Z opisu operacji umiał Choromański wydobyć coś znacznie więcej, niż opisowość: *p a t o s z a w o d u l e k a r s k i e g o*.

W każdym, najbardziej szarym i zwyczajnym zawodzie jest taki patos. Trzeba go tylko umieć dostrzec tak, jak Choromański dostrzegł go w pracy zawodowej chirurga Tamtena. Ten patos zawodowy towarzyszy Tamtenowi przez całą powieść, ilekroć tylko chirurg w białym hałacie lekarskim zjawia się choćby na korytarzu swego szpitala. Czujemy to jeszcze bodaj silniej i jeszcze sugestywniej, niż podczas opisu operacji Widma-

rowej w opisie pechowego dnia, kiedy chirurg Tamten miał wykonać jednaście operacyj i przy każdej z nich coś się działo niedobrego, aż wreszcie ostatnia, operowana na robień opłucnej kobieta, umarła pod nożem...

Jako chirurg jest doktor Tamten w powieści cały czas interesujący, chwilami porywający. Natomiast znacznie mniej ciekawy, żeby nie powiedzieć: nieciekawym, jest jako kochanek pani Widmarowej. Choromański, od siebie, stara się nadać stosunkowi Tamtena do Rebeki Widmarowej jakiś charakter żywiołowości niemal kosmicznej. Ale czytelnika nie bierze to zupełnie. Widzi się tylko zwykłą, ot taką sobie miłostkę, jaką zapewne chirurg Tamten miał już niejedną i będzie miał niejedną. Zazdrość Widmara, choć stylistycznymi chwytami Choromańskiego, wyposażona jest w cechy koszarne, także nie przekonuje czytelnika. Pod ustrojonemi w niezwykłość zdaniai powieści czai się tu poprostu banalizm, podobnie, jak w postaci Rebeki Widmarowej, która ma być czemś w rodzaju wcielenia prachuci Przybyszewskiego, a jest tylko puszczającą się damulką, oszukującą swego męża, oszukującą chirurga i oszukującą każdego, z kim miała, czy będzie miała okoliczność.

Wątlizna i płaskość spraw miłosnych w powieści, sama w sobie nieciekawa, nabiera jednak w scenerji Choromańskiego odcienia niesamowitości przez połączenie akcji ludzi z akcją przyrody. Wciągu kilku dni, podczas których wszystko w powieści się dzieje, szaleje wichura. Zrazu te harce wichru, raz po raz wplatanie w akcję, pomnażają jeszcze w odczuciu czytelnika sztuczność powieściową, dopóki się nie zrobi odkrycia, że to chodzi o wiatr halny, wściekle dudzący od Tatr, duszny, gorący, wprawiający nerwy ludzkie w stan osobliwego

drżenia, przenikający na wskroś do ostatniej komórki psychiki ludzkiej. Kto choć raz przeżył te nastroje podniecenia nerwowego w Zakopanem, dla tego powieść Choromańskiego stanie się szczególnie bliska. Ale też ogarnie go wściekłość na autora, że lokalny koloryt zakopiański, bez którego powieść staje się niezrozumiała, tak ściśle konspiruje, jakby jakiś dolski wiaterek, świszczący po polach, mógł usprawiedliwiać niesamowitość nastroju, jaką książka oddycha! Nie wiem, czy w tej ucieczce od zakopiańskości jest spekulacja na t. zw. międzynarodowość powieści, ale że książka odarta została w ten sposób z najistotniejszego sensu nastrojowego, to pewne.

Ucieczka od skonkretyzowania miejsca zaznacza się także w dziwaczności brzmienia nazwisk (Widmar, Tamten) i w pozbawieniu bohaterów powieści jakichkolwiek cech narodowych z jednym, tembardziej rażącym, wyjątkiem: żydowskiego krawca Golda. Ale jest jeszcze sprawa poważniejsza. Ludzie Choromańskiego nie tylko nie są różniczkowani narodowo, ale i psychicznie. Tamten, Widmar, Widmarowa, nawet krawiec Gold, mają taki sam sposób myślenia, takimi samymi, bez różnicy społecznej i zawodowej, operują pojęciami, ba, nieledwie takim samym mówią językiem, takich samych używają słów. To nie są różni ludzie, ale ciągle jeden i ten sam Choromański, wcielony mechanicznie w osoby różne tylko zewnątrznie.

Gdy dodać do tego technikę Choromańskiego, pokrewną kontrapunktycznej technice pisarskiej Huxleya, a więc ciągle przerzucanie się od jednej osoby do drugiej dla wydobywania pełni i jedności akcji, to brak różnicowania psychicznego ludzi z „Zazdrości i Medycyny“

staje się szczególnie nużący. Przerzucanie akcji w tych warunkach nie uwypukla jej, ale właśnie gubi, czyni monotonna. Świetna metoda huxleyowska zastosowana jest tu czysto mechanicznie.

Psuje to również wspaniały opis operacji. Choromański częściowo podaje przebieg operacji od siebie, po epicku, częściowo zaś składa go z zeznań świadków operacji: medyka Rubińskiego, sanitariusza Pawła i siostry przełożonej. Podział ten grzeszy zresztą niekonsekwencją: nie wiadomo dlaczego autor raz czuje się w prawie mówić od siebie, a w chwilę potem wyręcza się kim innym. Ale najgorsze jest, że autor, medyk, sanitariusz i siostra używają takiego samego języka, tak samo pięknie budują okresy i używają równie wyszukanych porównań. To nie jest przenoszenie melodji z jednego instrumentu, na drugi inny — ale niewiadomo pogo zastosowane przenoszenie melodji z jednego instrumentu, na drugi taki sam, choć nazwany przez autora inaczej.

Jednopłaszczyznowość językowa i pojęciowa Choromańskiego doprowadza już do zupełnego absurdu tam, gdzie autor wprowadza obok narracji powieściowej formę pamiętnika. Wplecione w akcję fragmenty pamiętnika Zofji Dobilanki swą gładkością i sztucznością wydały się samemu nawet Choromańskiemu tak nieprawdopodobne, że uznał za konieczne opatrzyć je uwagą, iż brzmiały one tak „po pewnej przeróbce literackiej“ (Str. 158). Po czyjej przeróbce literackiej? Autora powieści? Czyż może autor wystawić sobie bardziej upokarzające świadectwo, jak taką uwagą właśnie?

Co jednak najbardziej razi w powieści Choromańskiego i obniża jej klasę, to nawet nie owa niezdolność różnicowania charakterów ludzkich i języka, ale

sztuczna konstrukcja całości, używanie trzeciorzędnych *truc'ów* pisarskich dla wywołania zaciekawienia.

Choromański, nie wiadomo czemu nie ufając walorom artystycznym swego utworu, stara się skokietować i zaciekawić czytelnika tajemniczością, buduje powieść niemal po wallace'owsku, zostawiając do ostatnich kart niepewność, czy Widmarowa jest kochanką Tamtena i ukrywając zawiązek porozumienia Widmara z krawcem Goldem, z którego wynika cała tropicielska rola Golda w powieści. To nie jest *fair*. Conan Doyle nigdyby sobie na taką łatwiznę nie pozwolił. Tajemnicą w powieści może być tylko to, co jest istotnie nieznanie bohaterom powieści, w których myślenie autor nas wtajemnicza. Choromański kilkakrotnie przedstawia rozmyślania Tamtena o Rebecce, a ukrywa przed czytelnikiem to, co w nich musiało być: że Widmarowa jest jego kochanką. Podobnie zataja pewne fakty, które ma obowiązek powiedzieć co do Golda i Widmara. Te zatajenia mszczą się zresztą na powieści fatalnie. Nie wywołują zaciekawienia, ale przeciwnie, nużą czytelnika, czyniąc akcję mętną i mglistą. Dochodzi do tego, że tę powieść, zbudowaną na wzór powieści detektywistycznych, czyta się ze znacznie większym zainteresowaniem drugi raz, niż pierwszy.

Jeśli książka, która ma tyle i tak ciężkich błędów wywarła jednak na czytelnikach silne wrażenie i zdobyła ogromny rozgłos — to jest to miara żywiołowego talentu Choromańskiego, fascynującego pomimo wszystkie braki i niedociągnięcia powieści. Ale właśnie dlatego, że w Choromańskim siedzi talent tak wielki, mamy prawo wymagać od niego wiele. Przedewszystkiem — unikania łatwizn.

I K K O S I S O T I O N .

Działo się w roku 476-tym przed narodzeniem Chrystusa. Na tłumnej, wspaniałej Olimpjadzie, pierwszej po wojnach perskich, a siedemdziesiątej szóstej od chwili ustanowienia, spotkali się ci dwaj: Ikkos i Sotion.

Jeszcze stadjon w Olimpji był raczej skromnem boiskiem, niż tem, co dziś rozumiemy pod mianem stadjonu, jeszcze widzom za marmurowy amfiteatr starczały szkarpy ziemne i nagi stok Kronionu, jeszcze w gaju świętym więcej było drzew, niż posągów, jeszcze nie królowała nad igrzyskami swą wspaniałością świątynia Dzeusa o dwustu stopach długości, kryjąca we wnętrzu arcydzieło Fidjasza. Jeszcze atmosfera olimpijska bliższa była igrzyskom nad mogiłą Patrokła z Iljady, niż rzymskiemu cyrkowi.

Ale w niebywałym rozkwicie igrzysk olimpijskich, jeszcze zdrowych i czystych, opromienionych świeżem zwycięstwem maleńkiej Grecji nad perską potęgą, będących symbolem tężyzny fizycznej i duchowej, która pozwoliła Hellenom oprzeć się nawale barbarzyńców, już zjawiać się poczęły pierwsze sygnały zmian, mających

przynieść Olimpijdom i Grecji upadek. Już zaczynał się ten proces, który od greckich palestr i gimnazjów doprowadzi do słynnej szkoły gladiatorów w Aleksandrii.

Ten moment przełomowy wziął Parandowski za temat swej przepięknej opowieści, noszącej tytuł: „Dysk olimpijski“, symbolami dwóch poglądów na sport, które właśnie wówczas zaczęły się ścierać, czyniąc Ikkosa i Sotiona. A raczej, nie uczynił, ale wskrzesił ich z historii, bo Ikkos i Sotion nie są tworam i wyobraźni autorskiej. Żyli naprawdę dwa i pół tysiąca lat temu, brali udział w siedemdziesiątej szóstej olimpiadzie, i, z tych strzępków wiadomości, jakie pozostały o nich, wnosić można, że byli właśnie takimi, jakimi przedstawia ich Parandowski.

Tylko, oczywiście, z głębokiego tragiczmu starcia tych dwóch typów psychicznych i z konsekwencji, jakie ono w sobie niesie, nie mogli sobie zdawać sprawy ani współcześni Ikkosowi i Sotionowi, ani nawet nie rozumieli go dokładnie potomni. Parandowski napisał swą książkę w momencie, gdy koło historii obróciło się od owych czasów o 360 stopni i obraca się dalej, ale już w tempie nowocześnie zwielokrotnionem. Ten sam proces, który dokonywał się w Grecji na przestrzeni wieków, dokonuje się w świecie współczesnym na przestrzeni dziesiątek lat. Łatwiej go już uchwycić i zrozumieć. Współczesność pozwoliła Parandowskiemu na podniesienie historii Sotiona i Ikkosa do znaczenia symbolu — odwzorowanie zaś tej historii w współczesności, narzucające się ciągle czytelnikowi, nadaje jej głęboki patos tragiczny.

Cóż bowiem jest istotą starcia Sotiona z Ikkosem? W dzisiejszem słownictwie określilibyśmy, że Sotion to rzecznik ginącego sportu amatorskiego, Ikkos

zaś to wschodząca gwiazda sportu zawodowego. Allain Gerbault, żeglujący po morzach szerokich dla rozkoszy, jaką daje ujarzmienie przeciwności sprawnością fizyczną — i Paavo Nurmi, ujmujący swe życie w twarde, niewolnicze karby treningu, byle osiągnąć jako cel: najlepszy wynik na bieżni. Sport jako środek i sport jako cel sam w sobie.

W sprawie Sotiona i Ikkosa różnica widoczna jest bardziej bezpośrednio, niż w tej dalekiej analogji Gerbault'a i Nurmięgo. Obaj są na tym samym terenie igrzysk, obaj walczą przed tłumem o zwycięstwo, tylko że dla Sotiona będzie ono sprawdzianem sprawności, dla Ikkosa zaś celem zawodowym. Analogji zupełnej odnalezc już w współczesności nie można; jesteśmy dalej niż Grecja w czasach siedemdziesiątej szóstej olimpiady; po naszych bieżniach biegają już sami Ikkosi... Moment przesunięcia punktu ciężkości sportu z środka na cel przeszedł niedostrzeżalnie. Parandowski uchwycił ten moment w historii sportu greckiego. Nietylko uchwycił. Pokazał dlaczego musiał on przyjść nieuchronnie, dlaczego musiał wreszcie znaleźć się Ikkos z Tarentu, który powiedział sobie: jeśli zwycięzca olimpijski odbiera za życia cześć niemal boską, jeśli skarb wypłaca mu pięćset drachm, jeśli przysługuje mu prawo dożywotnie stołowania się na koszt państwa w prytanejonie, to dla lauru olimpijskiego warto poświęcić cały swój czas, usystematyzować trening, traktować ćwiczenia ciała nie jako rozrywkę i przyjemność, ale jako zawodową pracę.

I choć Sotion, grecki efeb, może sobie pokpiwać z Ikkosa, że reprezentuje on nowy rodzaj tchórzostwa, lęk o każdy ruch nierozważny, że pilnuje swęgo ciała jak pełnej amfory, by nie rozlać ani kropli i donieść ją

nienaruszoną do samej Olimpij, choć oburza się, że pośród tego wyrachowania i rozsądku niema poprostu czasu, aby żyć — Ikkos ma na to swoje racje: on żyje ze swoich mięśni.

Z chwilą, gdy to zostało sformułowane, już takich, jak Ikkos, będzie więcej, coraz więcej. Będą metody treningu udoskonalać i ulepszać. Dojdą do sztukmistrzostwa. Nikt mierzyć się z nimi nie będzie w stanie. Ćwiczenia cielesne, nietraktowane jako zawód, już nie wystarczą do zwycięstwa w Olimpij. Więc zwolna i ćwiczenia w szerokich rzeszach zanikną, a będą się powiększa tłumy widzów, podziwiających sztukmistrzów. Aż na miejscu greckich atletów zjawią się rzymscy gladjatorzy, którym już publika każe się potykać na arenie krwawo...

W książce Parandowskiego tkwi więc problem niesłychanie doniosły i nawskroś aktualny. Ale choć Parandowski sięgnął w rzecz tak głęboko, jak żaden z naszych literatów, bałamujących się t. zw. tematami sportowymi i umiejących conajwyżej opiewać Nurmiego, choć „Dysk olimpijski“ jest książką pisarza, myślącego kategorjami obywatelskimi, nie kazi jej ani w jednym szczegółu — tendencyjność. Wszystkie sympatje osobiste i ideowe Parandowskiego są po stronie Sotiona, realizującego poprzez igrzyska ideał *kalokagathii*. Ale trudno — zwycięstwo w Olimpij należy do Ikkosa... I to stwierdzenie faktu (zresztą historycznie prawdziwego), bynajmniej nie osłabia ideowego napięcia opowieści, przeciwnie, wzmacnia je artystycznie węzłem tragizmu.

Ale też bo poprzedzone zostało dysputą Sotiona z Ikkosem, w której piękno duchowe efeba greckiego jaśnieje takim blaskiem nad przyziemnością argumentów Ikkosa, przedstawionych zresztą z całą uczciwością i bez-

stronnością artystyczną, że nie zazdrościmy później Ikkosowi zwycięstwa nad Sotionem. Ta dysputa (Rozdział VIII: Nad granicą życia), która jest wręcz arcydziełem pisarskiem, powinna być czytana przez dzisiejszych sportowców, jak ewangelja.

„Dysk olimpijski“ Parandowskiego jest książką wyjątkową nie tylko przez pogłębienie tematu, zbywanego dotąd w literaturze płyciznami, ale i przez wspaniałe jego przedstawienie na powierzchni. Choć bowiem słowa: Olimpiada i olimpijski — należą dziś do najpopularniejszych na świecie, choć byle skryba dziennikarski, pisujący w rubryce „Sport“ gotów jest przy każdej okazji prawić o greckich tradycjach, plecie się o tych greckich tradycjach sportu nieprawdopodobne bzdury. Do opanowania tematu fachowym sportowcom brak wykształcenia hellenistycznego, a fachowym hellenistom — znajomości sportu. Literatura naukowa zdobyła się dotąd na jedno dzieło, którego autor umiał połączyć szczęśliwie obie strony. To Anglika Normana Gardinera „*Greek athletic sports and festivals*“. „Dysk olimpijski“ Parandowskiego jest odpowiednikiem książki Gardinera w beletrystyce.

Wystarczy porównać opowieść Parandowskiego z inną polską próbą upowieściowienia igrzysk olimpijskich, Lucjana Rydla „Ferenike i Peisidoros“ (1909), rojącą się od absurdów sportowych i irytującą naciąganiem chronologii, aby ocenić, jaką olbrzymią zdobyczą polskiej literatury jest „Dysk olimpijski“. Mam zaś wrażenie, że i w światowej literaturze beletrystycznej jest to pozycja zupełnie niezwykła.

Jako rodzaj literacki sprawi „Dysk olimpijski“ szufladkowiczom nielada kłopot. Powieść nie powieść, studjum nie studjum. Jak na powieść za mało akcji i —

horrendum! — zupełne wyrzeczenie się intrygi erotycznej. Jak na studjum znów za dużo literackości. Co robić z takim fantem?

Ja tam martwić się nie mam zamiaru. Że nie warczy w „Dysku“ kołowrotek miłosny, to aż się z ulgą od-dycha. Akcji mi w książce Parandowskiego nie brakuje, i to tej akcji najwyższej rangi: akcji idei. Że zaś Parandowski przystępując do tematu pokaże wrzód z lotu ptaka półwysep peloponeski, że oprowadzi czytelnika po świątyniach, ukaże obozowisko pod Olimpja, i nie będzie się, jak pijany płotu, trzymał ciągłości opowiadania, ale gdzie trzeba wtraci od siebie iedną i drugą uwagę historyczną — to całość obrazu tylko na tem zyskuje. Ani się czytelnik spodzieje, jak mu tyle wiadomości o dawnej Helladzie do głowy niepostrzeżenie weszło, że czuje się na igrzyskach siedemdziesiątej szóstej Olimpjad-y, jak u siebie w domu.

Oczywiście, uczonem gładzeniem nicby żaden hellenista z nami nie wskórał. Ale Parandowski ma taki czar słowa, umie już samą atmosferą stylu wytworzyć takie zbliżenie do Hellady, że masa historycyzmu, jaka jest w „Dysku olimpijskim“, ani na chwilę nie przytłacza czytelnika.

Jeśli gdzie doszukać się można błędu, to w tem, co zewnątrznie trzyma się najbardziej krzepko i zwarcie: w konstrukcji powieści. „Dysk olimpijski“ dzieli się na dwie, logicznie uzasadnione części. Pierwsza część obrazuje przygotowanie zawodników do Olimpjadi w gimnazjonie, druga — samą Olimpjadę.

Opis przygotowywania się zawodników do igrzysk przygotowuje zarazem czytelnika do rozumienia greckiego sportu, zapoznaje go z bohaterami właściwej epopei,

która rozegra się na stadionie olimpijskim, co więcej, zaczyna wytwarzać napięcie dramatyczne. Obserwując jak z wielkiej masy wybijają się asy, z tem większą zachłannością oczekujemy na wynik spotkań w Olimpij. Ale tu Parandowski nie obliczył dobrze stopniowania napięcia. W pierwszej części wyrzucił na karty książki tyle atutów, że mu ich już nie starczyło na część drugą. Opis Olimpijady zaczyna się od bardzo mocnych i sugestywnych obrazów biegu chłopców, zawodów pięściarskich, wyścigów konnych, ale gdy dochodzi do punktu kulminacyjnego, do *pentatlon*'u, w którym Sotion zmierzy się z Ikkosem, jakby słabnie. Parandowski nie może powtarzać wielu takich elementów, które już zużytkował w opisach zaprawy. Centralnym punktem drugiej części, wbrew zamierzeniu kompozycyjnemu, staje się nie *pentatlon*, ale wcześniejszy epizod uboczny, biorący czytelnika świeżością: przybycie do stadionu Temistoklesa.

Powieść zamyka się epilogiem, który jest skrótem dalszej historii igrzysk olimpijskich z sensem moralnym odrzutowanym na dzisiejszość. Gdy czytałem „Dysk olimpijski“ epilog ten wydał mi się zbędny. Zdawało mi się, że powieść dość wyraźnie zawiera ten sens moralny sama w sobie i że stawianie kropki nad i jest zupełnie niepotrzebne. Zmieniłem zdanie, gdy przeczytałem w prasie kilka recenzyj z książki Parandowskiego. W większości recenzyj wogóle nie dostrzeżono, pomimo epilogu, co jest istotą książki. Jeśli więc krytycy... to co dopiero... Ale... Czy czytelnicy nie zorientują się lepiej od znacznej części krytyki?

Tym, którzy dziwili się, czemu Goetel tak zwleka z wydaniem opisu swej podróży do Indyj, odbytej z końcem roku 1930-go i początkiem 1931-go, książka jego, która ukazała się przed paru tygodniami, przynosi całkowitą odpowiedź. Do takiego potraktowania tematu, z jakim się spotykamy w opisie goetlowskim, pewien dystans czasu był konieczny. Mało jest bowiem w literaturze podróżniczej książek tak znakomicie skomponowanych, tak gruntownie przemyślanych, napisanych z równą ekonomją słowa, wytrzebionych z nadmiaru szczegółów, wolnych od balastu popisu historyczno-geograficznego i właśnie dlatego rzeczywiście instruktywnych.

Pierwsza, wydana w r. 1921 książka Goetla, „Przez płonący Wschód“, brała czytelnika bezpośrednio wrażeń, chwytanych na gorąco i śmiałością wyciągania z nich wniosków. „Podróż do Indyj“, choć barwnością i żywością opisu niczem nie ustępuje tamtej książce, a przewyższa ją znacznie celnością i dojrzałością pisarskiego osiągnięcia, przemawia do czytelnika przede wszystkim przez nieustanne kontrolowanie wrażeń refleksją. Sądy

Goetla są tu o wiele ostrożniejsze, zagadnienia, które uchodzący z Rosji bolszewickiej, zdążającemu przez płonący Wschód do zmartwychwstałej Polski, wydawały się przed dziesięciu laty proste, oczom podróżnika polskiego Ferdynanda Goetla (*from Warsaw*), przemierzającego Indje w roku 1930-tym, jawią się w postaci nierównie bardziej skomplikowanej.

Wtedy, przed laty, zdając sprawę z tego, co widział na szlaku swej podróży, zahaczającej także i o Indje, przyniósł nam Goetel pierwszą wiadomość o rodzącym się nacjonalizmie hinduskim. Przyniósł nam wiadomość o żywiołowości ruchu, wywołanego przez Gandhiego, na długo przedtem, nim nazwisko przywódcy młodych Indyj stało się głośne w Europie i kiedy w Polsce było jeszcze prawie nieznanne. Nauczył nas rozumieć wagę przemian, dokonywujących się na Wschodzie. Ale zarazem, będąc pierwszym u nas głosicielem tych bezcennych spostrzeżeń, na które nieraz potem powoływali się najwybitniejsi przedstawiciele polskiej myśli politycznej (np. Dmowski), nie uchronił się od błędu mierzenia Wschodu miarką Zachodu. I choć zastrzegał się, że nie trzeba po europejsku myśleć o Wschodzie, przypuszczał raczej, że gorące słońce podzwrotnikowe sprzyja szybszemu, niż gdzieindziej, dojrzewaniu postulatów narodowych, niż widział trudności ich realizacji w mozaice językowo-wyznaniowej Indyj.

W przypisach do książki „Przez płonący Wschód“ wręcz zaryzykował Goetel twierdzenie, że różnice wyznaniowe, o których tyle pisano, jako o przeszkodzie skonsolidowania się ruchu wolnościowego w Indjach, albo się już wypaliły w ogniu walk wyzwoleniczych, albo szukać ich trzeba na ruinach świątyń, czy w najciemniej-

szych dżunglach. W roku 1930-tym znalazł Goetel tę najciemniejszą dżunglę... na posiedzeniu kongresu Wszechindyjskiego Związku Kobiet w Lahore, gdzie delegatki muzułmańskie siedziały w łóżach oddzielonych od delegatek hinduskich muślinową zasłoną... Zaś pohopne wykipienie w tychże przypisach do „Płonącego Wschodu“ legendy o 100 różnych językach Indyj jako „bzdury“, znajduje w „Podróży do Indyj“ bardzo poważną korekturę po rozmowie jaką odbył Goetel w Lahore z poetą mahometańskim Ikbałem i młodym hinduskim kandydatem na literata, panem Ch.

Ikbał pisze w języku *urdu*, czyli języku mahometan Indyj. Ale język ten w formie literackiej, czystej, właściwie nie istnieje. Rozpada się na wiele różnych narzeczy. Np. w Pendżabie *urdu* miesza się z *pendżabi*, *kaszmiri* i *hindi*. Najbardziej wykształcony literacko jest *bengali*, którym pisuje Tagore, ale znów *bengali* w Pendżabie nie rozumieją. Najbardziej rozpowszechniony w miastach jest *hindi*, ale *hindi* jest jeszcze mniej wykształcony literacko, niż *urdu*. To też gdy w rozmowie z panem Ch., który radził się Goetla, czy warto pracować organizacyjnie w hinduskiej lidze literackiej, pada słuszna opinja goetlowska, że przede wszystkim trzeba pisać, pisać w swoim języku i wykształcać go, aby przez literaturę iść ku wolności narodu, młody hindus jest w zupełnej rozterce. Ci, którzy mówią jego językiem, *pendżabi*, nie są narodem, a naród hinduski nie rozumie znów *pendżabi*...

Legenda o stu językach Indyj okazała się znacznie mniej bzdurą, niż się to zdawało Goetlowi podczas pierwszej bytności w Indjach. Druga podróż pozwoliła mu

bliżej wniknąć w subtelne zawisłości Indyj, zastąpić do-
rażne wrażenie dokładnością badania.

Ghandi z „Płonącego Wschodu“ jest już w „Podróży
do Indyj“ Gandhim. To drobne przesunięcie literki „h“
z drugiego miejsca na przedostatnie w nazwisku przy-
wódcy Indyj, przesunięcie, które dokonało się w piśmien-
nictwie europejskiem w ciągu ostatnich lat, staie się nie-
mal symbolem potrzeby dokładności we wszelkich infor-
macjach o Indiach, choćby dotyczących fonetyki na-
zwisk. Nową książkę Goetla cechuje ta potrzeba na
każdej stronie. Zjawiska na Wschodzie nie są w niej
sprowadzone do pewnych uproszczeń przez analogię do
stosunków europejskich, ale pokazywane w swem całym
skomplikowaniu.

Z „Podróży do Indyj“ bije więc równie silnie, jak
z poprzedniej książki Goetla o „Płonącym Wschodzie“,
żywiwość ruchu nacjonalistycznego, który ogarnął
Indje za sprawą Gandhiego, Motilala Nehru i Mohameda
Alego. Ale zarazem czuje się z każdej jej karty i n n o ś ć
tego wschodniego nacjonalizmu, jego różność od nacio-
nalizmu w europejskiem tego słowa znaczeniu. Tę inność
wschodnią uzmysłowił Goetel najsugestywniej w opisie
niesamowitego kilkudziesięciotysięcznego wiecu w Allha-
badzie, na którym wódz Indyj przemawiał siedząc
w kucki i przędac na kądzieli...

W książce Goetla o Indjach wyczuwa czytelnik nie-
tylko pogłębienie spojrzenia pisarza, ale i coś więcej: pew-
ne przesunięcie w jego postawie psychicznej wobec zja-
wisk na Wschodzie. Innemi oczyma musiał spoglądać na
nie Goetel-uchodźca z Bolszewji, postponowany przez
władze angielskie Indyj niemal tak samo, jak krajowcy,
a już zupełnie inne poczucie miał Goetel-podróżnik

polski, zaopatrzony w listy polecające angielskiego Pen-Clubu, podróżujący przez Indje z własnym boyem, wynajętym w Bombaju, oglądający krajobraz z okien wagonu pierwszej klasy, lub posuwający się ku Kaczindżandze w Himalajach na czele karawany tragarzy.

Więc przedewszystkiem każdy krok Goetla w Indjach nacechowany jest poczuciem konieczności utrzymywania *prestige'u* białego człowieka, sahiba, wśród ludzi kolorowych. To zjawia się samo przez się, instynktem. Tem samym stosunek Goetla do Anglików w Indjach ulega pewnej bardzo istotnej zmianie. Solidarność białej skóry, a raczej solidarność wspólnej cywilizacji zachodniej, czyni Goetla znacznie ostrożniejszym w ferowaniu tak modnych dziś wyroków potępiających na politykę kolonialną Wielkiej Brytanji.

Jakże gorąco występuje Goetel przeciwko tym hindusomanom, którzy usiłują załatwić sprawę dowcipem, że głównym wyrazicielem cywilizacji europejskiej na terenie Indyj jest pijak, żołnierz, czy policjant! O nie! Gdy się mówi o dziele cywilizacji europejskiej w Indjach, to głównym jej symbolem jest *i n ż y n i e r*. Rozmach, z jakim Anglicy w ciągu jednego stulecia pokryli Indje siecią dróg i kolei, nawodnili pustynne obszary, wznieśli miasta nic nie ustępujące europejskim, jest imponujący. Przed pracą zaś białego inżyniera, odbywającą się w zabójczych warunkach życia, trzeba nisko schylić czoło. Takiego właśnie odważnego, dzielnego żołnierza cywilizacji, pokazuje nam Goetel w inżynierze M., którego odwiedził w głębi dżungli, w Rayagadzie, przy budowie kolei.

Z kart książki Goetla przebija również podziw i szacunek dla pracy białych misjonarzy na terenie Indyj.

Misjonarze katoliccy są zresztą w pewnym sensie również inżynierami. Praca misyjna polega równolegle na głoszeniu Słowa Bożego i zakładaniu warsztatów, w których ludzie kolorowi zdobywają fach. W książce swej odtwarza Goetel dwie przepiękne postaci misjonarzy salezjańskich w Indjach, Polaków: ks. Leona Piaseckiego w Gauhati nad Bramaputrą i ks. Władysława Klimczyka w Ranipet na południu Indji. Nie podobna czytać kart, poświęconych życiu tych dalekich rodaków, bez głębokiego wzruszenia.

Poczucie solidarności białej cywilizacji, które tam, w Indjach, mocno skorygowało stosunek Goetla do Imperjum Brytyjskiego, nie sięga jednak tak daleko, aby polski podróżnik nie mógł silnie odczuwać porywów wyzwoleńczych mas hinduskich, ba, nawet wyłamywać się z rygorystycznie przestrzeganych separatystycznych zwyczajów rasy białej, jak np. wówczas w Allahabadzie, kiedy ku zdumieniu policjanta, zatrzymującego dorożkę, wiozącą Goetla zawiadomieniem, że dalej jadą już tylko pojazdy, zmierzające na meeting hinduski, dorożka pojechała dalej. Ale oczywiście Goetel nie popełnia już błędu tak pospolitego w Polsce utożsamiania ruchów wolnościowych na Wschodzie z naszymi dążeniami niepodległościowymi w czasach rozbiorów, co np. ostatnio zaznaczyło się w krytykach z okazji wystawienia w Warszawie sztuki Tretjakowa „Krzyczcie Chiny“. Ruchy narodowe Wschodu, ze względu na specyficzne warunki i powikłania, są o wiele mniej proste do zrozumienia, niżby się to napozór zdawało.

Tem zaś mniej ulega Goetel popularnemu do niedawna w Europie hasłu: *ex oriente lux*. Jako prawy dziedzic czynnej, zdobywczej, męskiej cywilizacji europejskiej, ma

zdecydowaną awersję do tych wszystkich europejczyków, którzy przez komin teozofji zaczadzili się Krisznamutromanją. Uscenizowana w dialog dysputa pomiędzy autorem książki a europejskim wyznawcą Krisznamutrie-
go w Benares, należy do najświetniejszych rozdziałów książki. Widok ogiupiających praktyk ascetycznych yogów, którzy nad brzegami Gangesu w słońcu i brudzie trawią miesiące i lata na nieruchomej kontemplacji, jest Goetlowi wstrętny. Zakorzenioną legendę, że takie roz-
myślania żebracze potęgują w człowieku napięcie sił du-
chowych, obala Goetel jednym psztyczkiem: ależ to
przecie musi zapalać w mózgu gorączkę obłądka!

Czynnej naturze Goetla bierność wschodnia jest obca i daleka. W współczesnej literaturze polskiej nie mamy bodaj drugiego pisarza, któryby w równym jak Goetel stopniu reprezentował typ psychiczny szorstkiej, ale zdrowej brutalności budowniczych cywilizacji europejskiej. (Niemcy, ograniczając zarozumiale tylko do siebie, nazywają to psychiką *Herrenvolk*'u). Ten typ psychiczny — nie obawiamy się zohydzonego słowa — typ b a r b a r z y ń c y, który zbudował potęgę cywilizacji europejskiej, rodzi się z poczucia, że zadaniem człowieka na ziemi jest nie tylko podnosić duchowo samego siebie, ale przekształcać świat według swej najlepszej wiary i wiedzy.

Toteż z pewnym niepokojem obserwowało się, jak Goetel przyłgnał w Warszawie do tej grupy literackiej, w której obowiązującym wyznaniem wiary jest mydelkowaty liberalizm, ckliwy humanitaryzm i dzieciuchowaty pacyfizm. Widok zaś autora „Pątnika Karapeta“, marnującego w Ziemiańskiej czy Ipsie czas na jałowem wysłuchiwanie ploteczek literackich, działał na en-

tuzjastów talentu Goetla tak samo, jak na Goetla po-
działał widok Gandhiego na wiecu w Allahabadzie: jak
widok dorosłego chłopca z kądzielą w ręku. Czy ta atmo-
sfera nie przytępi drapieżnych pazurów pisarza, nie uczyni
z jastrzębia ślepego nietoperza? Czy nie rozkruszy
ostrych kantów krzepkiego, brutalnego talentu? Pewne
rysy i pęknięcia już ostatnio zaczęły się uwidocznić
w twórczości Goetla. Podróż do Indyj, na szczęście,
spowrotem zmontowała jego psychikę. Jeśli w ostatniej
książce znać gdzie ślady kawiarnianego bałamucenia się,
to chyba w rozdziale roztrząsającym hinduską kwestję
kobietą i (a jakże!) regulację urodzin, w którym nie spo-
sób rozpoznać autora opowieści o Kosie na Pamirze i pro-
roczych jej scen organizowania w dalekim zakątku świata
oazy... krzywickiej cywilizacji kobiecej.

Książka, jak się już powiedziało na wstępie, napi-
sana jest świetnie. Rozliczne zagadnienia jakie w niej
autor porusza, nie pilują czytelnika, zjawiają się niemal
niepostrzeżenie z żywych, lapidarnie ujętych spostrzeżeń
i obrazów współczesnych Indyj. Najbujniej bucha tem-
perament pisarski Goetla w opisie wyprawy popod Hi-
malaje. Tu odezwała się w Goetlu stara żyłka taternicka,
a terminologia taternicza, jakiej używa autor w opisie
sprawia, że dalekie Himalaje stają się nam tak bliskie,
jakby droga do nich wiodła przez Halę Gąsienicową.

Język prosty, giętki, sugestywny, niestety tu i ówdzie
upstrzony coraz mocniej zakorzeniającymi się w pol-
szczyznę rusycyzmami („gdzie popadnie“, „a“ zamiast
„lecz“ lub „ale“ i t. d.). Ale to już szczegół. W goetlow-
skiej „Podróży do Indyj“ zyskuje polska literatura pod-
różnicza jedną z najlepszych książek.

POWRÓT DO RZECZYWISTOŚCI

Odbywa się to powoli, nieefektownie, krok za krokiem, ale ciągle. Nie przez rewolucję, ale ewolucyjnie. Jeszcze pogrobowcy Młodej Polski grzęzną w trzęsawiskach t. zw. literackości, jeszcze wysilają się na wysztuczanie języka i stylu, jeszcze uniemożliwiają czytanie wywijasami spotworniałej metafory (Kaden-Bandrowski), jeszcze tkwią po uszy w literackich szablonach typów, zdarzeń i stosunków, aktualizowanych czysto zewnętrznie (cały Z.A.D. w komplecie) — ale równocześnie i równolegle dokonywa się na innym odcinku naszej literatury twórcza praca odczyszczania języka i stylu z śmieszności literackiej przesady, dokopywanie się materiałów w dzisiejszym życiu codziennym. Powrót do rzeczywistości. Cichy, bez manifestów, bez ciskania gromów na przeszłość, bez ogłaszania rewolucyjnych haseł. Dlatego prawie niedostrzegalny. A przecież ten właśnie powrót do rzeczywistości jest najistotniejszą cechą przekształcania się naszej literatury, jej wielką i najważniejszą zdobyczą w latach ostatnich.

Wprzód trzeba było przysposobić do nowej ten-

dencji naszego piśmiennictwa instrument pisarski: język. To już jest zrobione i poszczycić się może nielada osiągnięciami przede wszystkim w prostej, celowej prozie Marji Dąbrowskiej. Rzecz przytem ciekawa: wynalazek prostoty językowej, od długiego już czasu zrobiony w dziedzinie publicystyki literackiej i feljetonu (Boy pod tym względem będzie miał zasługę trwałą), musiał być nanowo zrobiony w dziedzinie t. zw. literatury czystej. Mechanicznie przenieść się go nie dało. Nie brak jeszcze do dziś pisarzy, którzy doskonale radzą sobie z prostotą językową w artykule, a gdy tylko przechodzą do powieści, noweli, czy poezji, wpadają odrazu w stare literackie szablony. Wystarczy porównać jakikolwiek niedzielnny artykuł Kadena z jakąkolwiek kartą „Mateusza Bigdy“, lub feljeton Słonimskiego z koturnowym patosem jego wierszy, czy recenzję teatralną Wierzyńskiego z wymęczoną stylizacją jego „Granic świata“.

Po zdobyczach unowocześnienia instrumentu pisarskiego: języka, musiała przyjść kolej na nowy dobór materiału. Znaczna część naszej literatury lat ostatnich uprawiała właściwie zabawę w przedstawianie starych klocków, conajwyżej nanowo oklejonych. Z takich starych klocków buduje swe sztuki teatralne Kiedrzyński, a swe powieści Kossowski. Przykłady innych nazwisk możnaby zresztą mnożyć. Na to musiała przyjść reakcja. Jest już nią potroszę powieść Marji Dąbrowskiej „Noce i dnie“. Ale że jest to powieść o charakterze epicko-historycznym, cofnięta tematem o kilkadziesiąt lat wstecz, przeto nowość materiału nie rzuca się tu tak w oczy, jak w dwóch książkach również kobiecego pióra: Heleny Boguszewskiej „Tych ludziach“ i Poli (Apolonji?) Gojawiczyńskiej „Powszednim dniu“.

Obie te książki, które ukazały się z druku w ciągu ostatnich miesięcy, mogą się poszczycić — i słusznie — dużym rozgłosem. Czytelnik znudzony szablonowością przeciętnej polskiej powieści powojennej, przy lekturze Boguszewskiej i Gojawiczyńskiej może nareszcie odetchnąć. To już nie mniej lub bardziej zręcznie ustawione klocki — ale prawda dzisiejszości. Boguszevska opowiada o codziennem życiu szarych ludzi na krańcach Warszawy, gdzieś pod Grochowem. Gojawiczyńska daje cykl opowiadań o takimż życiu w miastach i miasteczkach Górnego Śląska. Jakże inni, a o ile prawdziwsi i bardziej rzeczywiści są ci poprostu opisani ludzie Gojawiczyńskiej i Boguszewskiej od stylizowanych robotników powieści Kadena! Jakiż wielki krok w powrocie do rzeczywistości robi nasza literatura w tych dwóch skromnych książkach!

Ale — i to trzeba powiedzieć bardzo wyraźnie i dobitnie — te dwie książki są raczej wytyczeniem kierunku, niż osiągnięciem, są raczej materiałem literackim, niż literaturą. Stałoby się bardzo źle, gdyby niedoceniono ich wartości, ale jeszcze gorzej, gdyby je przeceniono. Wartość książek Boguszewskiej i Gojawiczyńskiej — to świeżość materiału, czerpanego bezpośrednio z życia. Więcej, niż reportaż, bo reportaż uszlachetniony wysokim kunsztem pisarskim, nie surowy materiał, ale materiał obrobiony. Z tego materiału jednak możnaby dopiero zbudować dzieło literackie. Książkom Boguszewskiej i Gojawiczyńskiej brak szerokiego oddechu kompozycyjnego, brak tych spiętrzeń dramatycznych, które sugestjonują czytelnika. Te książki nietylko opisują szare życie, ale są same szare. A to jest błąd i niedostatek pisarski.

Przekształcanie się naszej współczesnej literatury,

skoro raz zrezygnowało z rewolucji i odbywa się na drodze ewolucyjnej, musi się już odbywać etapami. Trzeba mieć tylko pełną świadomość poszczególnych etapów, by w połowie drogi nie myśleć, że cel został osiągnięty. Modne ostatnio określenie: literatura faktów, pod które zaciągnąć można zarówno „Tych ludzi“, jak i „Powszedni dzień“ — to tylko określenie etapu. Następnym etapem musi być komponowanie z faktów dzieł o szerszym oddechu. Forsownie tego zrobić się nie da. Wprzód musi sobie literatura przyswoić nowy materiał, a potem dopiero go przetworzy.

Wszystko zdaje się świadczyć, że jesteśmy w przededniu rozkwitu polskiej literatury. Pąki już są. I coraz ich więcej.

Stanisławowski klasycyzm wyrósł z walki, wydanej mętnosłowiu późnego baroku i rokoka. Prostota bajki Krasickiego była reakcją przeciwko zawilym strofom Wacława Potockiego, żeby już nie powiedzieć: przeciw wierszoklecceni księdza Baki. Romantyzm zrodził się w wojnie z kostniejącym klasycyzmem, w bitwach rozwijał się, aby potem wybujać pod niebiosa. Biografia Mickiewicza jest zarazem monografią walki romantyzmu z klasycyzmem. Pozytywizm przyszedł jako przeciwstawienie romantycznemu rozwichrzeniu i postawił tamę romantycznemu znieprawianiu języka, widocznemu już wyrażenie nawet w niektórych utworach Krasińskiego. Pozytywistyczna oschłość myśli i pozytywistyczny spokój słowa zredziły skolei bunt Młodej Polski. Dostojną prozę Prusa i Sienkiewicza złuzowała wybuchowa, rozdrzana uczuciowością proza Żeromskiego i Reymonta.

A dalej?

Owóż właśnie, że dalej już — u nas — historii walk kierunków literackich, tych walk, które są istotą rozwoju każdego piśmienictwa, poprowadzić nie można. Hałaśli-

we, ale płytkie podjazdy futuryzmu były krótkim epizodem i większej roli nie odegrały. Nie mogły zresztą odegrać, bo wbrew pozorom, różnice między futurystami a młodopolakami nie były tak znaczne. Była to raczej — jak dziś widzimy — dalsza i do absurdu doprowadzona konsekwencja młodopolskości, niż przeciwstawienie. Coś podobnego jak rokoko po baroku. Dziś Młoda Polska stała się nieledwie mitem, wspomnieniem zamierzchłych, przedwojennych czasów, a miejsce po niej — oficjalnie — ciągle niezajęte. Przynajmniej niezajęte przy akompaniamencie strzałów i pod rozwiniętymi sztandarami. Pocichu, skromnie, przegrupowanie już nastąpiło. Nowa rzeczowość prozy ogarnia coraz szersze kręgi, staje się dominantą naszej współczesnej literackości.

Ale że nowy styl — na terenie piśmiennictwa — zajmuje pozycje przez powolną infiltrację, a nie frontowym atakiem, przeto jest to sprawa bardzo słabo uświadomiona społeczeństwu, a nawet dość nieuświadomiona samym pisarzom. Czyżby inaczej możliwe było, żeby różne przytykowe wielkości minionego okresu cieszyły się nadal powszechną estymą? Czy możliwym byłoby inaczej branie na serjo różnych żalonych karykatur młodopolskiej przeszłości? Tworzenie z nich właśnie bonzów i Wielkich Nieetykalnych naszej literatury?

Bardzo pod tym względem charakterystyczny był zgiełk, jaki powstał wokoło ustanowienia tej Akademii Literatury. Pisano o niej aż do znudzenia: pompatycznie, uroczyście i dostojnie, albo kpiąco, drwiąco i lekceważąco; z układnie przewidującym pochlebstwem, albo z zajadłością i zaciekłością zawodu; z sanacyjnie bacznociową aprobata, albo z furją opozycyjną i antykadenowską. Moty-

wy poszczególnych wystąpień, niemal bez wyjątku, zamykały się w kole doraźnej aktualności.

A tymczasem w skompletowaniu owej sławetnej Akademji, poza widocznymi, wyraźnymi i dla nikogo nietajnymi aktualnostkami polityczno-osobistych rozgrywek, najgorsze i najbardziej złowrogie jest właśnie to, co — o dziwo! — nie obudziło jakoś sprzeciwów i jakby uznane zostało za bezsporne: najwyższe uhoronowanie paru pisarzy-przeżytków, rachitycznych pogrobowców młodopolszczyzny, którzy zająwszy stanowiska bonzów literackich, najfatalniej zaciężyli nad naszym powojennem piśmiennictwem.

Tak tedy „nieustępliwem życzeniem kolegów“ było ponoć, aby mowę na inauguracyjnym posiedzeniu Akademji wygłosił nie kto inny, jak tylko wielki bonza Wacław Berent. Reżyserski błąd tej decyzji stał się oczywisty. (Berent, jak wiadomo, oratorem nie jest, i z mowy jego dostojne audytorjum nie dosłyszało ani słowa). Ale to, że mowy nikt nie słyszał, było jeszcze najpomyślniejszym obrotem sprawy. Gorzej że została wydrukowana i to pod tytułem: „Mowa miana (!) na otwarciu Akademji Literatury“, gorzej że wydrukowano ją bez wydłubania z tego stylistycznego zakalca nawet takich kamyczków ku połamaniu zębów, jak n. p. *passus* oracji, poświęcony Cyrprjanowi Godebskiemu:

„Podkreślamy: rozum, czucie, serce, co niedba o wyszukane myśli: wczesnego to ptaka pierwsze nutki romantyczne. A wraz już nieufne wdziękom i przekwintom muzy pseudoklasycznej“.

Albo:

„Dzisiejsi mężowie Nauk Pięknych wążą poezję jego na naj-słynniejszych wierszów krasę. Był poetą niedużym, osądzili. Jakież tu przyłożyć gwichty na ich Temidową szalę? — chyba Odrodzin naszych płom'ę i wichr!...“.

I tak przez całą mowę. „Gwichty przykładane na Temidową szalę“, oraz „Odrodzin naszych płomień i wicher“ walczą o gorsze z bezsensownymi metaforami i cudackimi archaizmami w rodzaju: „aż tu fuknie na nich Staszic, kując się przed nimi palcami w czoło“, „tłumem wysadzało wtedy szlachtę polską z siodeł“, „nie dawał się gusłom rojeń senny“, „ocena poezji przez głosowanie musi bywać i chybną“, „upudrowana na bagnie rozkładu kultura stanisławowska“ i t. p., i t. p. Nigdy „groza“ — tylko oczywiście „pogroza“, nigdy „uratowany“ — tylko „zratowany“, zamiast „dzieciska“ — „dzieciarzyska“ (!), zamiast „jakiś“ — zawsze „jakowys“, składnia powykręcona do niemożliwości, niezgrabstwo stylistyczne na każdym kroku, wysztuczniczenie najprostszych wyrażań. Gdyby tak pisał ktokolwiek — zawołanoby: grafomanja! Ale że Berent — to się z powagą drukuje. Bonza. Wielki Nietykalny.

Sprawa ma swoją stronę tragiczną. Boć przecież Berent to b y ł w literaturze polskiej naprawdę ktoś. Zaczął pozytywistyczną, świetnie zbudowaną, jasną i prostą prozą „Fachowca“. Przyłgnąwszy do estetyzującej snobistycznie „Chimery“ miriamowskiej, rozbijał się młodopolsko, ale jeszcze trzymał się w karbach, choć już w „Próchnie“ znaleźć można wszystkie zalążki późniejszego wynaturzenia stylistycznego: przerostu metafory i niewyczutego archaizowania. N. p.:

„A w ślad za nami, ze wszystkich, zda się, komnat, wnek, nyż i korytarzy tych murów niemych wypadła, zda się, nagle dzika sfera faunów: biła kopytami w posadzki, gonila wołaniem, szczuła dzikimi świsty, sowim pohukiem i śmiechem szalonym“. (Tom II, str. 153).

W „Oziminie“ zaczyna to już przechodzić w niebezpieczną manierę:

„Ta natarczywość pomocy i zaciekawień, ta drobnych rąk kocia krzętność, gładkiego oblicza powab, oczu rozbieganie łyskliwe i postaci całej szelestna zwinność, cały ten nerw i dryg kobiecego niestatku, wniesiony w ponurą chwilę niebezpieczeństwa, usposabiał ludzi milcząco i chmurnie. Nina poczuła na sobie spojżenia niechętnie. Dobywwszy wreszcie z czyichś ust opryskliwych, co za goście są w przedpokoju, krzyknęła sprężeniem się postatki całej, by w nagły zwrot (!) poskoczyć ku drzwiom na stopach miękkich. Dopadła oczami do (!) dziurki od klucza“... (Tom I, str. 169—170).

W „Żywych Kamieniach“ maniera dochodzi do absurdu:

„Zgasły zorze. W tem okłębieniu ciemnej grozy na nieboskłonie zamigota raz po raz błyskawicy płomień. I zamruczy powoli grzmot nierychły. Zimna siność ogarnęła świat. Tylko marmury rumowiska sprzeciwiają się zmierzchowej porze: pożółkły ciepło w siności okolnej, snują się po niej błyski jakoweś, pełgają lśnienia; jak gdyby ruina pogaństwa spętała w sobie słonecznych promieni nieziszczalne mocne. To dziwne światło wśród mroków sączy się z kolumn, ściele po głazach: mży i błyska, acz nie jaśnieje“. (Tom II, str. 96).

Wreszcie w „Wywłaszczeniu Muz“ jesteśmy już w dziedzinie czystej humorystyki:

„Ta młodzież drobno-szlachecka z samego jądra swojszczyzny, gdzie wszystko było sercu miłsze i piękniejsze, gubiła się zupełnie w dziko dla niej obcym świecie Południa. I pośledniała dla się, kurczyła się w sobie. Oto, jak każdy wędrowiec, gdy do celu się zbliża, spoglądają mimowoli na przyodziewek własny i otrzepują go odruchem: — czy ochędożny aby“. (Tyg. II, Nr. 7, 1932).

To nie są złośliwie wyrwane cytaty — z każdej stroniczki można takich samych przytoczyć kilka.

Za to właśnie „Wywłaszczenie Muz“ dostał w roku zeszłym Berent nagrodę państwową. Gdy Adolf Nowaczyński pierwszy poważił się przerwać znowę bonzowni-

ków i na łamach „ABC“ rozprawił się z panaberentowym stylem, uznano to za świętokradztwo. W rekompensatę Wielki Nietykalny inaugurował Akademię, a „Pion“ drukuje „mowę mianą“...

Jest w tem bonzownictwie akademickiem jakieś poprostu szaleństwo, czy oczadziałość umysłowa. Pasowanie na wielkość współczesności pisarza, który przeżył swoją wielkość i swoją epokę, który wyniósł z tej epoki wszystko, co było w niej najgorsze i niekontrolowany przez krytykę — siebie samego skarykaturował, pisarza, który będzie kiedyś cytowany jako przykład zepsucia stylu i dziś już powinien być za odstraszący przykład stylistyki stawiany — tego inaczej, niż oczadzeniem wytłumaczyć się nie da.

Otoczono jeszcze w dodatku Berenta legendą. Dla onieśmielenia śmiałków. Jakże stylotwórczość Berenta atakować, kiedy o jego długoletnich studjach nad staropolszczyzną, o rozczytywaniu się w starych szpargałach i książkach, wieść gminna cuda prawi? Nieodstrzeżono tylko takiego drobiazgu, że studja berentowskie do „Żywych Kamieni“ — to były studja nad wywijasami stylistycznymi XVII-go wieku, a studja do „Wywłaszczenia Muz“ — obracały się w epoce degrengolady klasycyzmu stanisławowskiego i że natchnienie do archaizowania języka czerpał Berent z tych właśnie dwóch najfatalniejszych okresów upadku polszczyzny.

A z archaizowaniem trzeba wogóle ostrożnie. Nawet taki wielki mistrz języka, jak Żeromski, nie ustrzegł się w „Dumie o hetmanie“ i w „Wietrze od morza“ sztuczności. Ale Żeromski mógł sobie pozwolić na eksperymentowanie, bo kompas poczucia językowego miał w sobie nieomyślny i zawsze umożliwiający odwrót z złej drogi.

Po „Wietrze od morza“ — przyszło „Przedwiośnie“, a w niem już niemal przedsmak nowoczesnej polskiej prozy. Niezawodne poczucie językowe dozwoliło także Żeromskiemu zwycięsko się uporać młodopolską siecią metafory, w którą już Berent uwikłał się beznadziejnie. I nie tylko sam się uwikłał, pociągnął za sobą i innych.

Dzisiejszy generalny sekretarz Akademii Literatury, Kaden-Bandrowski, to ofiara Berenta największa. Można się z nim politycznie ścinać do upadłego, ale że talent pisarski dużej klasy, to talent. I talent zmarnowany sztucznością językową, pozbawiony przez to wszelkiego rezonansu. Autor książek chorych na *berentis acuta*. Nie trudno byłoby wykazać zależność prozy Kadena od prozy Berenta, zaznaczającą się nietylko w używaniu tych samych ulubionych słówek (np. owe nieszczone: jakowyś, jakowaś, jakoweś), ale i w pewnym paralelizmie książek: metafory „Próchna“ spotworniały i zordynaniały w metafory „Łuku“, — toporny „Mateusz Bigda“ to już najgorsza szkoła „Żywych Kamieni“. W co dopiero przemieni się w kadenowej prozie wzór „Wywłaszczenia Muz“!

Młodsze pokolenie pisarzy (Goetel, Dąbrowska, Wołoszynowski, Parandowski) potrafiło się już wyzwolić spod sugestji berentowskiego cudactwa językowego. Na walkę z bonzą jeszcze się nie zdobyło. Jest biernie podporą bonzownictwa. Wielki Nietykalny trwa.

P O E Z J A M A R K I : S T A F F

Małe, cienkie, kilkudziesięciostronicowe tomiki w okładkach perłowych, lub kolorowych. Dziesiątki z okrągłą winietką wydawnictwa Mortkowicza, setki oznaczone firmą F. Hoesicka, lub bardziej zgodnie z prawdą: nakładem autora. Wiersze, wierszyki, wierszyczki. Liryka. Pówódź liryki. Morze liryki. W nazwiskach poetów, czy też tylko piszących wiersze, przestają się orjentować nawet spece. Tytułów zbiorów nie pamięta nikt. Każdy miesiąc przynosi nowe. Ale nie przynosi nowych czytelników. Ukazanie się tomiku nawet głośnego poety oddawna już przechodzi bez echa. Kilka recenzyj w prasie, kilkudniowy gwar podziękowań za dedykacje przy kawiarnianych stolikach literackich, trochę zdawkowych komplementów — i koniec.

Nasza współczesna poezja staje się w społeczeństwie coraz bardziej niepotrzebnym i kłopotliwym marginesem. O Tuwimie wie się więcej jako o autorze piosenek kabaletowych, niż jako o poecie. Wierzyński? No, naturalnie! Laureat olimpijski! Ale i kropka. Iłakowiczówna, wiadomo, nie przyjęła wyboru do Akademji. Leśmian? Kto to

jest Leśmian? Mówi pan, że naprawdę dużej miary poeta? Możliwe... Nie czytałem... Staff, tak, Staff. Oczywiście, oczywiście. Ale co oczywiście — lepiej nie dopytywać. Dźwięk szacownego nazwiska — i tyle.

A teraz — grzmijcie gromy! Na upadek zainteresowań literackich, na schamienie społeczeństwa, na zdziczenie gustów i jak to tam jeszcze soczyście się wywodzi. Że to winien i sport i bridge i dancing i Wallace z Marczyńskim. Że trzeba machnąć ręką na teraźniejszość, ale zato przyszłość sprawiedliwie oceni i pośmiertnym laurem nagrodzi niedocenionych.

Tylko jakoś widzieć się nie chce, że między tem, co się nazywa współczesną poezją a życiem polskim, żłobi się przepaść coraz głębsza. Że życie toczy się potężnym eposem, spiętrza się w dramaty i tragedję — a poezja wciąż sobie kwili lirycznie o kwiatkach i ptaszkach, o wiośnie i sośnie, o akacjach i wakacjach. Tylko się rozumieć nie chce, że poeci, opiewający s w o j e bóle osobiste i s w o j e osobiste radeści musieli stać się niepotrzebni narodowi, przeżywającemu wielkie dziejowe przemiany. Że tam, gdzie miarowym, rytmicznym krokiem idzie się ku epopei, lirycy musieli stać się maruderami.

* * *

W prozie naszej przełom już się dokonał. Dokonał się nieefektownie i bez manifestów, ale skutecznie. Za dużo byłoby powiedzieć, że już mamy epopeję, ale grunt został przygotowany. Powrót do prostej, rzeczowej narracji jest widoczny. Jeszcze się ci i owi bałamuca wywijasami t. zw. literackości, jeszcze bonzowie stylizacyjnych wy-

sztucznie trwają oficjalnie na starych pozycjach, ale już nowa proza polska tworzy się wbrew nim i poza nimi.

W poezji ciągle jeszcze alfą i omegą jest Leopold Staff, poeta lirycznych roztkliwień minionej epoki. Trwa na pozycji czemś więcej, niż powszechnym u nas lękiem przed obalaniem uznanych bożków, trwa rzeczywistą wiarą i uwielbieniem wyznawców spod poetyckiego znaku Skamandra. Nietylko odbiera hołdy — płyną do niego modlitwy. Wierzyński jedno ma tylko pragnienie, aby jego wiersze tak kiedyś czytano, jak on czytywał w młodości wiersze Staffa („Gorzki urodzaj“, str. 101, wiersz: „Do Leopolda Staffa“). Tuwim, w obronie jego bonzowskiej mości, gotów się zapluć i oburzucić stekiem ulicznikowskich epitetów każdego śmiałka, który poważy się być o Staffie niewysokiego zdania*). A wszyscy skamandryci szczycą się i chlubią: wywodzimy się z Staffa. Oni, którzy mieli ambicję zrewolucjonizować polską poezję i stworzyć jej nowy etap!

* * *

Z czego się wywodzą?

Otwórzmy na chybił-trafił jakiś tomik poezyj staffowskich. Np. zbiorek „Ucho igielne“, str. 92. Wiersz p. t. „Jaskółki“:

Jaskółki górne, w wolnym szybujące locie,
Nad kominami, z których mknie dymów mgła siwa,

*) Miałem sposobność tego doświadczyć w stosunku do siebie w jednym z ostatnich numerów „Wiadomości Literackich“. Jakoś to przeżyję, podobnie, jak nie wbiły mnie w pychę zachwyty, któremi ni w pięć ni w dziesięć zasypał mnie ten zdolny poeta przed dwoma laty podczas przypadkowego zapoznania się na jakiejś premierze w Teatrze Polskim.

Gdy ja w pokoju siedzę jeszcze przy robocie,
A dusza mi się do was przez okno wyrывa!

O, wysokie wietrznice, poczekajcie chwilę.
Nim krąg słońca spopieli się w zachodu zgliszcze,
By odetchnąć głęboko, z okna się wychyłę,
I wolny, jak wy, z wami zagwizdę, poświszczę...

Zostawmy na boku rozważania ornitologiczne, czy jaskółki gwizdzą i świszczą. Nie będziemy się również wdawać w rozbiór stylistyczny wiersza, choć banalizm takich zwrotów, jak n. p. „mgła siwa“, czy „krąg słońca“, albo nieoczekiwane i niezamierzone przez autora asocjacje wywołane w umyśle czytelnika określeniem „wysokie wietrznice“, dostarczyłyby wdzięcznego tematu. Staff, naogół biorąc, jest stylistą tęgim, formę ma klasy wysokiej, i wiersz wyżej zacytowany zalicza się może do słabszych. Niemniej przeto jest dla Staffa charakterystyczny. Charakterystyczny tem, że nic nas nie obchodzi.

— Pietraśiński! Nie chowaj się pod ławkę! Nie wymi-gasz się! Opowiedz mi treść wiersza „Jaskółki“ Leopolda Staffa.

— W wierszu „Jaskółki“, pszę pana profesora, poeta opisuje, jak siedział w pokoju przy pracy i obserwując przez okno jaskółki zazdrościł im wolności. W zwrotce drugiej przychodzi refleksja, że po skończonej pracy, poeta również będzie wolny i będzie mógł razem z jaskółkami pogwizdać...

* * *

Albo weźmy wiersz inny, aforystyczno-filozoficzny.
Tegoż zbioru strona 71. Tytuł: „O radości“.

O, radości, z rzeczy
Najdroższa, bez cen!
Niech cię ma w swej pieczy
Sen!

O, smutku człowieczy,
Dolo naszych łon!
Jeden cię uleczy

Zgon!

Smutna jest dola naszych łon przy czytaniu tych wierszy. Może kiedyś, w czasach, które pamięta ze swej młodości poeta Wierzyński, takie poetyckie aforyzmy wywierały wrażenie. Dziś są nam obce — i, powiedzmy otwarcie, zbędne.

* * *

Nie przeżywałem w swej młodości okresu staffowskiego. Zaliczam się już do następnego pokolenia. Pokolenie to ze zbyt małej odległości spogląda na Staffa, aby mogło sprawiedliwie ocenić jego pozycję w rozwoju naszej literatury. Historia, może już za lat kilkadziesiąt, wypowie swój sąd. Nam pozostaje tylko zaufać starszym od nas o lat dziesięć, że poezja Staffa była dla nich wstrząsem. To wystarczy, aby żywić dla niej historyczny szacunek.

Ale szacunek ten nie może się rozciągać na teraźniejszość. Co innego Staff jako poeta swojej epoki, a co innego wpływ Staffa na naszą poezję współczesną, wpływ dotąd nieprzełamany i zgubny. Od Staffa datuje się owo zliyzowanie naszej poezji, skarlenie jej, zamienienie lasu w zagajnik. Wierszyki i wierszyki. Zadyszka liryczna. Zanik szerszego oddechu, choćby w epickiej narracji, jeśli narazie nie stać nas jeszcze na dramatyczne pogłębienie.

I rozpaczliwe szamotanie się uwiedzionych autorytetem Staffa poetów w ciasnej formie kilkuzwrotkowca, tragiczne marzenia Tuwima „żeby małym wierszykiem świat na nowo zbawić“, eksperymenty „obnażania nerwu polskiej mowy“, błąkania się od tego „co za oknami było i miało polskie imię“ — do manifestu „różnij karabinem w bruk ulicy“. Brak wewnętrznych przeżyć i przemyśleń, które mogłyby rozżarzyć małą formę i nadać jej blask wielkości, sztukowanie tych niedostatków chwytnością się da nowinek — a odcięcie się od wspaniałych możliwości prostego, jasnego — niechby nawet naiwnego — opowiadania poetyckiego.

* * *

Dominujący wpływ liryki Staffa na grupę Skamandra, a pośrednio i na rozrodzonych bujnie naśladowców tej grupy, wywołał nadmiar nużącej standaryzacji typu wiersza lirycznego. Poszczególne wiersze — różnych nawet poetów — podobne są do siebie, jak dwie krople wody. Powstają przeważnie według tej samej, staffowskiej recepty: opis jakiegoś przeżycia, czy wrażenia z otaczającego świata — i w ostatniej zwrotce, a najlepiej w ostatniej linijce ostatniej zwrotki refleksyjna *pointe*, mająca nibyto okupić błahość utworu.

Dla przykładu choćby jeden z niedawnych wierszy A. Słonimskiego, drukowanych w „Wiadomościach Literackich“ (Nr. 437). Tytuł: „Znużenie“:

Całą noc w trzeciej klasie w gorącym zaduchu.
Pociąg dudni, kołysze i z brzękiem się toczy,

Gdy zwolni, szarpnie, nagle ockniesz się w bezruchu,
Otworzysz nieprzytomne i czerwone oczy.

Pięć zwrotek następnych w tym samym stylu i wreszcie zwrotka ostatnia „refleksyjna“:

O, wysiąść mi na cichej nienazwanej stacji,
Wyjść z wagonu ukradkiem, rozplynać się w cieniach.
Piechotę iść aleją kwitnących akacyj
Donikąd się nie spiesząc drogą bez znaczenia.

* * *

Na tej próbce rozważyć nadto można sprawę inną, niemniej ważną. Staff odbił się tu nietylko w konstrukcji wiersza, ale czuje się go w pewnym patosie stylu i języka, obowiązującym w całej poezji postaffowskiej, tym patosie, który zdołał pogrzebać wielkie zdobycze unaturalnienia wiersza, jakie wniósł do współczesnej poezji poprzez piosenkarstwo Boy.

Ten sam Słonimski, który w prozie publicystycznej (nie bez wpływów prozy Nowaczyńskiego i Boya) wytworzył — w swoim aroganckim rodzaju — styl frapujący świeżością, naturalnością i zwięzłością, gdy z ćwiartki papieru, na której pisze kronikę tygodniową lub recenzję teatralną, przeniesienie pióro na papier, przeznaczony na wiersz, staje się odrazu zupełnie kim innym. Seans spirytystyczny z duchem żyjącego Staffa. Styl robi się sztuczny, wymęczony literackością, nieszczerzy, patetyczny. Zjawia się odrazu tępiony w prozie „bezruch“ i inne słówka tego typu, ba, nawet taki poetycki rekwizyt, jak apostroficzne: „O, wysiąść mi na cichej nienazwanej stacji“. (Prawie jak: „O, białoskrzydła mor-

ska pławaczko“... Od Kochanowskiego nie zrobiła pod tym względem poezja ani kroku naprzód).

* * *

Małe, cienkie, kilkudziesięciostronicowe tomiki z wierszami, wierszykami i wierszyczkami marki: Staff—rosną w stopy. Nie brak, owszem, wierszy dobrych, choć więcej jest złych i bardzo złych. A wszystkie sztuczne, odstające od dzisiejszości jak spaczona rama od obrazu, nibyto na nowo poźłocone, a stare. I przedewszystkiem — mało potrzebne, żeby nie powiedzieć: niepotrzebne.

A sztuka tylko wtedy jest prawdziwą sztuką, gdy jest społeczeństwu potrzebna. gdy umie iść z czasem i wczuwa się w jego ducha, a nie wlecze się w ogonie, oglądając się ciągle na pomniki niedalekiej przeszłości.

P I O N

Współczesne życie literackie w Polsce ma tendencję zagęszczania się na dwu różnych krańcach ostateczności. Nie są to nawet ostateczności przeciwstawne; raczej równoległe, co wpływa na tem ostrzejszą karykaturalność obrazu.

Wprzód więc rozpowszechniło się u nas zjawisko, świetnie określone przez Irzykowskiego mianem *t a l e n t y z m u*. Inaczej mówiąc — kult talentu. Talent jako wyłączne kryterjum wartości utworu literackiego i talent jako sprawdzian hierarchji literackiej. Cenzurka: „to jest napisane z talentem“, lub: „on ma talent“ — rozstrzyga wszystko bezapelacyjnie. Stąd jako zjawisko wtórne orgja zarozumiałstwa utalentowanych. Praca? Studja? Przemyslenie zagadnień? Poco! Jeśli np. atakuje się w feljetonie Hitlera, przeczytać choćby jego autobiografię „*Mein Kampf*“? Na diabła! Wystarczy napisać: „pan z wąsikami“, a cały IPS rechotać będzie śmiechem i entuzjazmować się od stolika do stolika: „A to mu dał bobu! Ten ma dowcip! Ten ma talent!“ W atmosferze talentyzmu błyskotliwy, wysadzany dowcipami feljeton stał się naj-

wyżej cenionym towarem literackim. Jako najczęstsza danina talentu. Można ją mieć codziennie, lub najdalej co tydzień. Nie trzeba miesiącami, czy latami, czekać na ukazanie się dzieła. No, a przecież takie drobnostki, jak te, które są istotnymi cechami dzieła: powaga zamierzeń twórczych, głębokość i ciągłość oddechu, coś przemyślanego i ważkiego do powiedzenia — nie wchodzi w rachubę. Decyduje tylko talent. Jeśli rozmienny na drobne — to tem lepiej.

Przeciwko rozdowcipkowanemu feljetonizmowi, przeciwko płyciznie igraszek słownych, przeciwko zastępowaniu argumentów pokazywaniem utalentowanego języka, musiała się zrodzić reakcja. Reakcja, która posługuje się chętnie bendowskim terminem klerkostwa. Klerk wstydzi się łatwych chwytów, unika apodyktycznych chłaśnień piórem, nie rąbie na odlew, ale rozważnie analizuje, dba o dobór i poziom argumentów, głosi konieczność przegryzania się przez zagadnienia intelektem. Cóż, kiedy klerkostwo bardzo szybko zaczęło u nas przechodzić w *i n t e l i g e n c j o n i z m*, w oderwany kult inteligencji pisarza. Równolegle do cenzurki talentowej, zjawiała się cenzurka nowa: „jak to inteligentnie napisane!“, albo: „jaki on inteligentny!“ O czem napisane i kim jest on, jakie jest jego stanowisko i czy wogóle ma jakieś stanowisko i jakiś pion — to już obojętne. Byle było napisane inteligentnie i byle autor zabłysnął intelektem. Zwłaszcza, gdy jakieś misterne dowodzenie np. o czyimś utworze, daje IPSowi sposobność do radosnego skonstataowania: „Ale go wykończy!“.

Galaretowaty talentyzm panuje przedewszystkiem w dziedzinie t. zw. twórczości czystej, bezkręgosłupowy inteligencjonizm zaczyna coraz wyraźniej dominować

w naszej krytyce literackiej. Jest przeto dla współczesności zjawiskiem znacznie groźniejszym: pozbawia nas bu-
soli krytyki.

Bożyszczem inteligencjonizmu stał się u nas J. E. Skiwski. Miał potemu wszelkie dane. Inteligencja rzeczywiście wysokiej klasy, a przytem błyskotliwa. Mało którego krytyka czyta się z równem zainteresowaniem. Analizy jego celują mistrzostwem, argumentacja jest zawsze pełna świeżości, lapidarność określeń wraża się w pamięć. Nie nudzi i nie gędzi, a jednak zawsze wskaże czytelnikowi etapy swego rozumowania, zanim sformułuje sąd. Można go więc łatwo skontrolować i rzadko kiedy udaje się dopatrzeć w logice jego wywodów skazy. Jest jasny i przekonywujący.

Ale przekonywujący jest tylko tak długo, jak długo udaje mu się utrzymać czytelnika sugestją logiki na obranym przez siebie terenie. Niechno tylko czytelnik zdoła przeskoczyć wysokie i tęgo zbudowane mury, ograniczające ten teren, a zrobi odkrycie w pierwszej chwili zdumiewające: poza murami jest pustka. Stadjon harców krytycznych Skiwskiego wisi w próżni. Ściślej: nie jeden stadjon, ale kilka stadjonów, bo Skiwski za każdym niemal razem wybiera sobie inny, i każdy z tych stadjonów tak samo wisi w próżni.

Sądy, określenia i argumenty każdego artykułu Skiwskiego w jakimś miejscu ucinają się, jakby przekrajane nożem. Nie sposób znaleźć drogi, któraby je powiązała z osobowością autora, z jego wyznaniem wiary, z jego — mówiąc po polsku — *standpunktem*. Skiwski jest jakby p o n a d swymi argumentami. To nie są jego argumenty, ale argumenty bezosobowej logiki. On je tylko referuje, jak adwokat w sądzie referuje argumenty w obronie po-

woda, lub oskarża pozwanego, przeciwko któremu wnosi powództwo cywilne.

Jak dobry adwokat, Skiwski potrafi bronić i oskarżać według każdego kodeksu. Trzeba mu tylko trochę czasu na przygotowanie się — i już może stanąć przed kratkami. Pacyfistom wskaże jaskie konsekwencje, jakie wypływają z pacyfizmu. Katolików będzie pouczał cytatai z Ojców Kościoła na czem polega prawdziwy katolicyzm. Nacjonalistom wytoczy proces w imieniu katolicyzmu o nadużycia taktyczne. Co sam myśli? Na jakim gruncie sam stoi? Co do tego farby nie puści. To nikogo nic nie powinno obchodzić. Adwokat także nie spowiada się przed sądem, czy uważa kodeks za mądry, czy za głupi.

Sąd czytelników krytyk literackich tem się jednak różni od sądu koronnego, że nie może mu być obojętna sprawa przekonania i wiary krytyka-adwokata. Gdy tylko pryśnie sugestia inteligencjonizmu i błyskotliwy krytyk objawi się nagle w postaci zwykłego kauzyperdy-kodeksowicza, wszystko co mówi, choćby było ubrane w najświetniejszą formę i skute żelaznemi obręczami logiki, staje się w jednej chwili irytującą paplaniną zawodową. Jedno zdanie, tchnące żarem wiary, może znaczyć więcej od najsumienniejszych i najinteligentniejszych zinterpretowanych cytat kodeksowych, z tego poprostu powodu, że kodeks nigdy nie jest w stanie wyczerpać wszystkich możliwości. Trzeba jego pion mieć w sobie. A wtedy nie tylko pewniej się człowiek czuje na swoim terenie, ale i łatwiej mu odczuć i rozgryźć inne kodeksy.

Nadrzędność intelektu, czy — jeśli użyć nomenklatury Chwistka — wzniesienie się do rzeczywistości wyższego rzędu, skąd ma się rozległy widok na wielość rze-

czywistości, jest fikcją, jeśli nie łączy się z zachowaniem swojej rzeczywistości. Cudzą rzeczywistość można bowiem zobaczyć tylko poprzez swoją rzeczywistość. Wszelkie próby oderwania się od własnego „ja“, czy nawet zatracenia własnego „ja“, aby zdobyć szersze horyzonty, muszą się kończyć fatalnie. Takiemu eksperymentatorowi zdaje się, że wówczas wszystko lepiej widzi i lepiej rozumie, a tymczasem nic nie widzi i nic nie rozumie. Błąka się we mgle.

Skiwski uprawia takie intelektualne błąkanie się programowo. Nie chce mieć żadnej przystani. Poczytuje sobie za chlubę, że jej niema. Holender-tułacz z zamiłowania. Zjawia się to w tym, to w tamtym porcie, by wygłaszać swe widmowo-bezosobowe obrony i oskarżenia. Z wyżyn czystego intelektualizmu.

To też w jego krytykach zaobserwować można całkowitą nieobliczalność. Gdyby był adwokatem, wiedzielibyśmy dlaczego podjął się w danej sprawie obrony, a w innej oskarżenia: kwestja zgłoszenia się tego właśnie, a nie innego klienta do kancelarji. U Skiwskiego-krytyka rzecz pozostawiona jest impulsom i urazom psychicznym. Uraz z wydawnictwa św. Wojciecha wywoła wojnę z „handlarzami wzniesłym towarem“. Przyhołubienie przez „Wiadomości Literackie“ zrobi z niego teoretyka „życia ułatwionego“. Gdy zaś niema jakichś bezpośrednich impulsów, czy urazów — kierunkowość Skiwskiego wydana jest zupełnie na podmuchy chimeryczności. Nie raz, czytając jego krytyki, odnosi się wrażenie, że równie świetnie, równie inteligentnie, równie błyskotliwie mógłby tę samą krytykę napisać z wprost przeciwnego punktu widzenia. Jest w nim pasja gry, ale zarazem obo-

jętność, czy partję rozegra białymi, czy też czarnymi figurami. Szachista z urodzenia.

To wszystko zwłaszcza przychodzi na myśl po przeczytaniu w „Wiadomościach Literackich“ recenzji Skiwskiego z książki Goetla „Podróż do Indyj“. Trudno o bardziej klasyczny przykład skiwuszczyzny. Tym razem występuje Skiwski w szrankach pacyfizmu. Broń Boże nie deklaruje się sam jako pacyfista. Ale tak sobie rozpatruje, czem mogłoby się stać zwycięstwo Gandhiego dla pacyfizmu. Z dobrego serca dla pacyfistów. I trochę z irytacji na Goetla, że w swojej książce opiewa patos podboju technicznego Indyj przez cywilizację europejską. Skiwski przypisuje zresztą z tej racji Goetlowi uwielbienie dla techniki współczesnej. Uproszczenie dosyć pośpieszne, a niesłychanie charakterystyczne dla bardzo istotnej cechy psychiki Skiwskiego: braku wyobraźni. Dla Skiwskiego technika jawi się w jednej tylko postaci: molocha przerostu techniki współczesnej. Rzecz znamienna, że w noweli p. t. „Rok 5584“, drukowanej niedawno w „Tygodniku Ilustrowanym“, Skiwski tak dalece nie umiał wyjść poza współczesność, że kazał technice zatrzymać się na poziomie z połowy XIX-go wieku. Nie mógł sobie wyobrazić takiego przekształcenia techniki, któraby nie przygniatała i nie mechanizowała człowieka, a jednak ciągle udoskonalała się.

Brak wyobraźni Skiwskiego, brak wyczucia perspektyw przyszłości, jest prawdopodobnie główną przyczyną jego indferentyzmu ideowego. Ideowa postawa człowieka rzutuje się zawsze w przyszłość. Kto niema perspektyw przyszłości, ten łatwo wpada w intelektualistyczne samookładanie niezależności stanowiska, czyli bezstanowiskowość. Wtedy zaś, pomimo najbardziej precyzyjnego

myślenia, zacierają się również wszelkie proporcje spraw. Można jednym tchem (w recenzji o Goetlu) wymienić jako charakterystyczne walki współczesności: walkę z moralnością chrześcijańską, walkę o prawa dla... pedarastów, walkę o wskrzeszenie nowego średniowiecza i t. d. To wszystko jest współmierne. No i można nie znaleźć w sobie sygnału, któryby przestrzegł przed ogłaszaniem wywiadu z złodziejem Urkem Nachalnikiem...

Gdy się czyta świetne, ale zawsze zawieszzone w próżni krytyki Skiwskiego, zaczyna się myśleć ze znacznie mniejszym lekceważeniem nawet o krytykach, wychodzących z założeń marksistowskich. Tam przynajmniej jest pion. Zły pion, ale jest.

ZUZIE MASZERUJĄ.

Motto:

„Wszyscy posiadamy, wyrażając się jaknajogólniej, nasze niższe ośrodki i nasze ośrodki wyższe. Nasze ośrodki niższe działają; działają one czasem z siłą tak straszną, że niszczą nas doszczętnie. Ale one nie mówią...

Od czasu wielkiej wojny niższe ośrodki doszły do głosu. A skutek jest taki, jak po trzęsieniu ziemi. Bo one głoszą prawdy, których nigdy dotąd nie wypowiedziano; prawdy, które twórcy naszych instytucyj domowych starali się przeoczyć. A teraz kiedy nasze Zuzie idą naprzód, krzycząc te prawdy na cały głos, nasze instytucje poczynają się chwiać, rysować i walić w gruz. Prawdy te wciskają się wszędzie, pozbawiając nas domu, odbierając nam pewność, praktyczną moralność, niebo, piekło, przykazania i Boga....

Przeważna część nas zda się być bez duszy. A jeśli je posiadamy, to one nie mają się na czem oprzeć. Tymczasem nasze Zuzie maszerują naprzód ze swoim krzykiem.

G. B. Shaw: „Zbyt prawdziwe, aby było dobre“.

Maszerują, aż ziemia dudni. Narazie w „Wiadomościach Literackich“, gdzie im Boy ufundował dwie bite kolumny petitu pod swoim patronatem i pod nazwą: „Życie świadome“. Ale rychło chyba pošlą Zuzie patrona na grzybki. Boy-mędrzec, Boy-prorok prawd niższych ośro-

ków, potrzebny był tylko do obstrzału terenu. Teraz już Zuzie pokażą same na co je stać i co mają do pokazania. Jeszcze tam jakiś *anonimus*, niezorientowany w kursie, pozwala sobie pokpiwać w tychże „Wiadomościach“, z nudyzmu, *vulgo* nagizmu, plotąc tam coś trzy po trzy o erotomanji. Wnet go Zuzie tak obuczają, że nieboraczek zamilknie. Och, bo i wszystko to, czem Boy dotychczas apostołował, to były tylko dziecinne igraszki i niemowlęce kwilenie. Zuzie dopiero pokażą.

W pierwszych oczywiście szeregach marszu wali *madame* Krzywicka z *lorgnon*’em. Goetlowskiego Kosa z Pamiiry w pobliżu nie widać, więc można śmiało zaczynać reformę obyczajową. Nie znajdzie się poskromiciel. Na początek — reforma seksualna więzień. Więźniom dzieje się krzywda! Nałożono na nich przymus czystości. Trzeba to jaknajprędzej naprawić. Jak? „Może bliższe i dłuższe spotkania z kochankami i żonami?“ — kończy filuternie pani Krzywicka swój artykuł.

Tuż pobok autorki „Pierwszej krwi“ kroczy, a raczej, jako nieodrodna amazonka, dosiada wysokiego konia, pani Melcer-Sztekkerowa, budząc postrach samem szampiońskiem brzmieniem drugiej części swego nazwiska. W jej artykule, to już nie krzyk o wolność niższych ośrodków, snąc już wyzwolonych, ale próba zastosowania einsteinowskich zasad do spraw ośrodków wyższych. Wszystko jest względne. „Ustalone kwalifikacje są przejściowe, jak obłoki wiosenne, po których mogą nastąpić burze letnie“. Tylko tyle.

Osoba trzeciej uczestniczki tej awangardy marszu Zuż, przywodzącego na pamięć najzjadliwsze karty weiningerowskich oskarżeń, budzi zdumienie. Zofja Nałkowska? A skąd się ona tu zabłąkała? Ona, której cała twór-

czość oparta jest o wydyscyplinowaną kulturę wyższych ośrodków, której każda książka oddycha atmosferą intelektualizmu. I tu się dopiero okazuje, jak sam intelektualizm, niekontrolowany przez naistotniejszy wyższy ośrodek, łatwo zbacza na bezdroża.

Artykuł Nałkowskiej, jak wszystko, co spod jej pióra wychodzi, oparty jest o chłodną, przenikliwą logikę rozumowania:

„Erotyzm nie jest prywatną sprawą człowieka. Wysyła on swe rozgałęzienia do wszystkich dziedzin i nie da się ani w imię wzdurliwego lekceważenia, ani moralności, ani dyskrecji, ani nawet w imię hierarchii tematów, godnych intelektualisty, od życia społecznego odciąć, nie da się w niem wstydliwie izolować i do swego zakresu ściśle biologicznego ograniczyć“.

Potem przytoczony przykład klasycznej freudowskiej historii.

Oczywiście. Freud przecież dowiódł, że seksualizm wstydliwie chowany i maskowany przez człowieka, odżywa w podświadomości, tworzy groźne kompleksy psychiczne, przeradza się w zbrodnię, szaleństwo i zbroczenie. To jest dowiedzione naukowo, więc kropka i basta. Z tego trzeba wyciągnąć konsekwencje. Że tam może Freud jednostronnie ujął sprawę, dotąd przemilczaną, więc sposobną do krańcowych wniosków, nawet na myśl nie przychodzi. Nauki przyrodnicze — to dla materialistycznego poglądu na świat ewangelja. Można w nic nie wierzyć, ale wierzyć w wszechwładztwo rozumu. Można rozprawić o względności wszystkich pojęć moralnych i metafizycznych, ale nie dopuścić nawet myśli o względności badań przyrodniczych. Freud powiedział i sprawa załatwiona. Że tam może Freud jest Ptolomeuszem, który z niższych ośrodków uczynił jądro wszechrzeczy, jak tamten z ziemi czynił centrum wszechświata, że może

rychło przyjść Kopernik, który znów ten porządek jedną genialną myślą odwróci — to również nie przychodzi do głowy.

Pisze w swoim artykule Nałkowska, że dawniej sprawy seksualizmu organizowało prawodawstwo religijne, okrywając instynkty ludzkie mistyką obrzędów, ale że dziś jest ta organizacja przestarzała, że odstaje od rzeczywistości, jak spaczona rama. I ubolewa świetna pisarka w swoim artykule, że autorytet nauki nie posiada jeszcze dość egzekutywy, aby te skamieniałości dawnych form skontrolować i unormować. Wierzy, że to przyjdzie. „Bądźmyż do tej przemiany jaknajbardziej przygotowani“.

Narazie przygotowanie wygląda tak, że Zuzie coraz butniej maszerują pod sztandarami wyzwolenia niższych ośrodków. Pierwsze dwa punkty programowe żądań Międzynarodowej Ligi Reformy Seksualnej brzmią: „1) Polityczne, gospodarcze i seksualne równouprawnienie kobiety. 2) Uwolnienie małżeństwa, zwłaszcza zaś rozwodów, od ingerencji Kościoła“.

Ingerencja Kościoła w te sprawy wydaje się maszerującym Zuziom najpotworniejsza. „Precz z grubemi łapami przesądu i cynizmu! Hańba!“ Bo nie przyjdzie im przecież na myśl, że jeśli od wiek wieka szukał człowiek w tych właśnie dręczących go zagadkach tajemnicy płci — ucieczki w Bogu, jeśli u najpierwotniejszych nawet ludów sprawy płci okryły się mistyką religijnych obrzędów, to ów związek, owo prawo Kościoła jako organizacji religijnej do normowania stosunków seksualnych, musi mieć jakieś głębokie, z duszy człowieka płynące uzasadnienie.

W dyskusjach z wyznawcami materialistycznego poglądu na świat, użycie słowa „Bóg“, działa jak czerwona płachta na byka. Sami jednak materialiści, choć obywają się bez tego słowa, nie mogą się obyć bez pojęcia. Zastępują je, bo to najwygodniej, słowem: Natura. Owóż ta właśnie — według ich nomenklatury — matka natura, tak jakoś świat urządziła, że jedną z najistotniejszych różnic między człowiekiem, a zwierzęciem, jest unormowanie spraw seksualnych zwierząt do okresu ruji, a pozostawienie ich człowiekowi do swobodnego uznania. Łamanie się duszy ludzkiej z popędami, okiełznywanie ich, podporządkowywanie wyższym ośrodkom, jest istotą człowieczeństwa. Owej walce ze samym sobą, na którą zostaliśmy wydani, nie sposób podolać bez oparcia się o siłę moralną płynącą z wszechmocy Tego, który nas na tę walkę wydał. Słaby, nikły rozumek człowieczy, zdzierający od czasu do czasu jakąś nieskończenie małą cząstkę zasłony, okrywającej Wielką Tajemnicę, niewiele tu poradzi. Często natomiast, oszołomiony jakąś ułamkową zdobyczą, w której ubrdał sobie zgłębienie wszechrzeczy, staje się sojusznikiem marszu Zuż i ich hasła niewypowiedzianego może dotąd z całą otwartością, ale niewątpliwego: prawa do niekrepowanej niczem ruji przez 12 miesięcy w roku.

Świat trwa nie od wczoraj. A historia tych kilkudziesięciu wieków ludzkiego bytowania, które udało się nam naszymi rozumkami odcyfrować, nie uprawnia do twierdzenia, że ponury splot freudowskich kompleksów jest jakąś siłą fatalną, dążącą do samozniszczenia społeczeństw, jeśli się go nie wyzwoli. Przeciwnie. Nietrudno wskazać na okresy dziejów, w których ujarzmianie popędów stwarzało najwyższe z osiągniętych dotąd przez

ludzkość wartości. Rzecz oczywista, że aby je tworzyć, trzeba było się oprzeć o coś silniejszego od głosu płci.

Bezbronność bohatera sztuki Shawa wobec marszu współczesnych Zuż jest jasna i zrozumiała, gdy się przypomni jego słowa: „Przeważna część nas zda się być bez duszy. A jeśli je posiadamy, to one nie mają się na czym oprzeć“. Biedni, którzy nie mają się na czym oprzeć. Ci nieuchronnie stać się muszą niczem więcej, jak mierzwą, tratowaną przez zwycięskie stopy Zuż, mazerujących ku ideałowi dwunastomiesięcznej ruji.

SZPIŁA W ZIELONY BALONIK.

Rozumiem doskonale pewien odcień zażenowania, z jakim Karol Irzykowski wyjaśnia w przedmowie do „Benjaminka“ dlaczego napisał książkę o Boyu-Żeleńskim. Wśród jarmarcznej reklamy, rozpętanej dookoła wydeętego balonika boyowskiej sławy, (nie tej zasłużonej sławy tłumacza, piosenkarza i krytyka — ale właśnie sławy reformatora obyczajowego), można doprawdy nabrać najgłębszej niechęci do zajmowania się choćby negatywnego sprawą t. zw. boyizmu, a jednak rozumieć konieczność wbitcia nareszcie w ten zielony balonik tęgiej szpilki. Niech już raz trzaśnie.

„Z o wiele większą przyjemnością — wyjaśnia w przedmowie Irzykowski — pisałem książkę o St. I. Witkiewiczu („Walka o treść“). Przeciwwstawiając mu się, miało się sposobność wydobyć z siebie coś pozytywnego. Walka z boyizmem obraca się w niższych regionach; trzeba mówić ze wstydem o rzeczach, o których się myślało, że już weszły w krew naszej kultury literackiej. Ale trudno — boyizm stał się nieznośny, jak formalina, która wypłasza cholere, a potem jest gorsza od samej cholery. Dlatego po pisarzu najmniejpopularniejszym, zająłem się pisarzem, który po gładkiej drodze trafił pod strzechy“.

Że właśnie Irzykowski wziął się do tej nieprzyjemnej,

ale koniecznej roboty oczyszczania strzech i podstrzeszy z boyowskiej formaliny — nie jest kwestją przypadku. Trudno w współczesnym naszym piśmiennictwie o większe przeciwieństwa, niż umysłowość Boya i umysłowość Irzykowskiego. Boy, apostoł *życia ułatwionego*, uproszczonego, wolnego od skrępowań — i Irzykowski, noszący w piersiach dumę długich lat historii cywilizacji duchowej, uczącej rozumieć *skomplikowanie życia* i odpowiedzialność za nie! Boy, ze swoją błyskotliwą inteligencją, z hokus-pokusami, sprowadzającymi każdą kwestję — jak to określa Irzykowski — do jakiegoś cudownego: „ot, co poprostu jest“, aby ludzi zwolnić od myślenia — i Irzykowski, jeden z najprecyzyjniejszych umysłów współczesnej Polski, żądający wszędzie głębi, szukający już nie tylko pierwszego, ale drugiego dna każdej sprawy! Nic dziwnego, że właśnie w oczach Irzykowskiego musiało się najostreż zarysować właściwe oblicze boyizmu, jako najazdu nieodpowiedzialności. Nic dziwnego, że rozgłos boyizmu stał się dla Irzykowskiego niemal obelgą. I nic dziwnego, że Irzykowski, chwyciwszy do ręki pióro, aby się rozprawić z tem postępowiczowstwem, rozdrgał każde zdanie swej książki pasją dziedzica cywilizacji, obskoczonej przez dokuczliwe pchły boyowskich dowcipów.

Analiza publicystycznych walk Boya wypada w książce Irzykowskiego druzgocąco. Po kolei bierze Irzykowski pod skalpel różne hasła i kampanje boyowskie, by wykazać ich łatwinę uproszczeń i efekciarską jednostronność. Najwięcej miejsca poświęca boyowskiej walce z obłudą, owym słynnym odkłamywaniem, odbronzowywaniem, demaskowaniem. Wykazuje na przykładzie moljerowskiego „Świętoszka“, który dla Boya stał się punktem

wyjścia, jak bardzo skomplikowana jest sprawa obłudy i jak dalece płytka jest koncepcja moljerowska.

„Dlaczego człowiekowi nowoczesnemu — wyjaśnia Irzykowski — nie może wystarczać moljerowskie ujęcie typu świętoszka? Bo dla nas nie ma już alternatywy: albo ktoś jest łotrem, albo świętym. Bo znamy równoczesność sił „dobrych“ i „złych“ w człowieku“. „Jeśli w obłudzie — powiada — rozróżnimy tylko czyn i słowo, rzeczywistość i pozór: tak robisz, a co innego głosisz — to trafimy tylko w ten rodzaj obłudy, który jest bodaj, że najuczciwszy, a często niezbędny“ — i wskazuje, że przecież w pewnych wypadkach właśnie kokietowanie szczerością może być najwyższym stopniem obłudy. Oto i drugie dno.

Tego drugiego dna szuka Irzykowski wszędzie. Gdy rozprawia się z boyowską pogardą dla zazdrości miłosnej, zwraca uwagę, że przecież zazdrość „jest gwałtownem szukaniem równowagi przy zachwianiu się jaźni, opartej dotąd na cudzem ja i zagrożonej teraz przecuciem nicości; dlatego zazdrość może być tragedją i należy uszanować jej prawa jako tragedji“. Polemizując z Boyem i Słonimskim w sprawie propagandy regulacji urodzin, wskazuje znów na dno metafizyczne miłości. Tamci chcieliby uczynić z stosunków płciowych grę towarzyską. Irzykowski czyni uwagę, że miłość wytrzebiona ze skutków, jest czemś w rodzaju kradzieży. „Rozkosz miłości nie jest rozkoszą konsumpcji, jak przyjemność zjedzenia porcji lodów, ani przyjemnością wydzielniczą, lecz czemś gatunkowo odmiennem, — jej źródłem, jej esencją jesteśmy my sami“. „Dziecko to jest nowy czynnik, który miłość komplikuje, osłabia, lub wzmacnia, czyni na nowo zagadką. Metafizyka? Z pewnością tak samo, jak śmierć“.

Na każdym kroku ukazuje Irzykowski złożoność i skomplikowanie zjawisk, tak dla Boya „łatwych“, by wreszcie przygwoździć Boya jego własnym zdaniem, które wypnęło się Boyowi w artykule o Stendhalu: „Kłamstwo, konwencja, są zwykle uproszczone, logiczne, jasne, szczerłość jest zawsze zagmatwana, wieloplanowa“. Ale i nawet przy użyciu tego morderczego sztychu nie kontentuje się Irzykowski łatwym zwycięstwem. Zastosowawszy krótką formułę Boya do stylu Boya, sam odrazu wykazuje, że jednak i tu sprawa jest bardziej skomplikowana...

Książkę Irzykowskiego o Boyu czyta się cały czas z uczuciem podziwu dla autora, unikającego łatwizn, jak ognia, odkrywającego wszędzie trudności, dające mu rozkosz ich rozwiązywania. Nie zaniedba Irzykowski tego nawet wówczas, gdy czuje, że czytelnik chętnieby mu uwierzył na słowo. Irzykowski nie chce olśniewać, dąży do przekonania czytelnika, a raczej do narzucenia mu zagadnień, które musi samodzielnie przemyśleć, w nim znajdując tylko przewodnika. Nie chcąc olśniewać, tem właśnie olśniewa. I porywa czytelnika stylem, świetnym, sugestywnym w argumentacji, wyiskrzonym dowcipem, a nie ponizającym się do feljetonowanego witzowania. Dowcip Irzykowskiego rozcina kwestję i ukazuje jej głębię, a nie zasłania sobą istoty rzeczy. Jest środkiem, a nie celem.

* * *

„Benjaminiek“ wyszedł spod pióra pisarza, który zalicza się do obozu socjalistycznego. Ten moment chcę tu szczególnie mocno podkreślić i, właśnie dlatego żem en-

dek, nie ukrywać, iż w słowach entuzjastycznych zdają sprawę z książki socjalisty. W kołach boyowskich raz poraz puszcza się głupawe powiedzonka na temat sojuszu endecko-socjalistycznego, a w witrynie sklepiku „Wiadomości Literackich“ wystawia się kukielkę Boya, przeciwnającego sztychem rapiru nieprawe związki „ABC“ z „Robotnikiem“. W ten sposób chce się zadowcipkować głębsze i zgoła dla boyizmu niezabawne zjawisko, że front antyboyowski rozciągnął się szeroko poza opłatki partyjne. Wali w Boya z czasopisma „Zet“ sanator Braun, wali w „Benjaminku“ socjalista Irzykowski, nasze, endeckie fuzje też nie podpierają kątów.

To, że się spotykamy, jak powiada Irzykowski za Kurtem Hillerem, „w omnibusie negacji“, raczej nam taktycznie utrudnia walkę, niż ułatwia. Ale sam fakt spotkania jest dowodem, że wchodzi tu w grę sprawa, w której etykietki partyjne nie mają żadnego znaczenia. Rzecz rozgrywa się w zupełnie innej płaszczyźnie.

Irzykowski nazywa to spojrzeniem na świat literata, a nie polityka. Chwistek nazwałby to wzniesieniem się do rzeczywistości drugiego rzędu. Dla mnie jest to sprawa poczucia wspólności cywilizacyjnej. W obronie tej wspólnej cywilizacji spotykamy się, nie szukając.

Brzmi to trochę patetycznie, gdy mowa o boyizmie. Ale boyizm został tak wydęty i rozreklamowany, że stał się przez to niebezpieczny. Balonik zaczął udawać z powodzeniem słońce. Trzeba było wprzód nazwać go spowrotem balonikiem, a potem przekłuć. Coprawda, szpila Irzykowskiego zanurza się w momencie, gdy już sam balonik bardzo sparcał i ludziom obrzydł.

NOWY, WSPANIAŁY ŚWIAT

Karol Irzykowski, w swej świetnej książce o Boyu („Benjamin”), rozprawiając się z propagatorami t. zw. życia ułatwionego, tak rzecz raz stawia:

„Jeżeli spożywanie miłości będzie tak wygotowane ze skutków, jak owoce z witamin, wówczas nastąpią owe czasy, które przepowiadał stary aforyzm — (słyszałem go na ławie szkolnej):

„Gdyby nie obawa zapłodnienia z jednej strony, a zarażenia z drugiej strony, akt płciowy należałby do najmilszych gier towarzyskich“.

Owe właśnie czasy, upragnione przez apostołów boyizmu i krzywickiego rubinrautyizmu, przedstawia kapitalna satyra Huxleya: „Nowy, wspaniały świat“. Każdy kraj ma swoich reformatorów seksualnych, ma więc swoich Boyów także i Anglja. Sprawa jest aktualna nie tylko u nas. Huxley postanowił pokazać, jakby taki zreformowany świat wyglądał. I rzecz ciekawa: satyryczna wizja huxleyowska zgadza się co do joty z diagnozą Irzykowskiego.

W nowym, wspaniałym świecie nie istnieją żadne choroby, a więc i choroby weneryczne. Medycyna stoi tak wysoko! Nie istnieje również obawa zapłodnienia, z tej bar-

dzo prostej przyczyny, że wszystkie kobiety są sterylizowane, a nieliczne przedstawicielki najwyższej kasty *alfa*, które nie podlegają sterylizacji, posiadają pasy maltuzjańskie, wykluczające wszelki wypadek. Oczywiście skasowane jest zupełnie żyworództwo. Dzieci w specjalnych, alraunicznych laboratorjach, prosto wybutelkowany się, według zapotrzebowania i w kilku zasadniczych typach ludzkich. Żyworództwo, słowa takie jak: matka, ojciec, urodziny — należą do słów najnieprzyzwoitszych. Wielką również nieprzyzwoitością jest, gdy jakaś dziewczyna zbyt długo chodzi z jednym i tym samym chłopcem. Psuje to jej doszczętnie opinię. Jak można tak źle się prowadzić! Przecież hasłem nowego, wspaniałego świata jest: każdy należy do każdego. Zupełna wolność seksualna.

W jednym z pierwszych rozdziałów „Nowego, wspaniałego świata“, gdy dyrektor Ośrodka Wylągu i Przyzwożenia oprowadza studentów po ogrodach zakładu, gdzie standaryzowane dzieci bawią się pod nadzorem wychowawców w różne gry — zatrzymuje się nagle i woła:

„— Jaka śliczna scenka!

Na małej, zielonej polance, pośród wysokich gęstwin wrzosu śródziemnomorskiego, dwoje dzieci, chłopczyk lat około siedmiu i starsza o jakiś rok dziewczynka, zabawiali się w początkową i najprostszą igraszką miłosną, nader uważnie i z całą natężoną uwagą naukowców, pracujących usilnie nad nowym odkryciem.

— Uroczo, uroczo! — powtarzał ze wzruszeniem dyrektor“.

W chwilę potem, w innym punkcie ogrodu, rozlega się ryk jakiegoś chłopca, prowadzonego za rękę przez wychowawczynię. Co się stało? Chłopczyk wzbraniał się należeć do gier erotycznych. Niepokojące! Trzeba go zaraz zaprowadzić do Poradni Psychologicznej. Niech zbadają, czy nie zachodzi jakaś nienormalność...

Oto i sprowadzenie miłości do gier towarzyskich, przepowiadane przez Irzykowskiego na wypadek realizacji idealnego świata życia ułatwicznego...

Nic więc dziwnego, że satyra Huxleya wywołała wśród naszych boyistów silne zaniepokojenie. Tak psuć świetnie prosperujący interes, ośmieszać i wydrw.wać wzniosłych reformatorów — to skandal! I to kto! Ten sam Huxley, którego znakomitą powieść „Ostrze na ostrze“ przyjęło się niedawno entuzjastycznie, i o którym nie sposób teraz powiedzieć, że matoł, kretyń i półgłów.ek. A w dodatku taka jeszcze wsypa, że w „Wiadomościach Literackich“, przed ukazaniem się po polsku „Nowego, wspaniałego świata“, pojawił się o tej książce niemal entuzjastyczny artykuł tłumaczki. Trzeba to nagwałt naprawić. Więc zaraz w tychże „Wiadomościach“ kontrmina. „Nowy, wspaniały świat“? — to „bardzo nieudana książka doskonałego pisarza“. Jego ostrzeżenia co do przyszłości? — „za takie ostrzeżenia można dostać po mordzie“. A wogóle, żeby raz na zawsze odstręczyć od przeczytania książki, bezapelacyjny wyrok, że jest ona „nudna i antypatyczna“.

No i co za poziom! „Niefortunna satyra na rzeczy nieistniejące“. „Prymitywność i jednostronność“. Poprostu bzdura, bo któżby chciał takiego świata, jak maluje go Huxley! Współczesność wcale nie ma takich ideałów!

Kiedy ten atak na satyrę huxleyowską pojawił się w „Wiadomościach Literackich“, do zaścianka, wędzającego się w dymie papierosów IPS'u i żyjącego podziwianiem własnych dowcipów typu szmonces, nie doszła jeszcze śnać wieść o ruchu technokratycznym, jaki od dłuższego czasu coraz silniej rozprzestrzenia się w Stanach Zjednoczonych i innych krajach anglo-saskich i przeciw któremu

przedewszystkiem wymierzona jest świetna książka Huxley'a. Technokracja zaś ma być tem w zreformowaniu społecznem i gospodarczem świata, czem t. zw. życie ułatwione w zreformowaniu obyczajowości seksualnej. Obie sprawy ściśle zresztą zazębiają się u siebie. I tu i tam chodzi o ułatwienie. *Maximum* wygody i przyjemności.

Komitety studjów nad gospodarczo-społecznym mechanizmem Ameryki Północnej, mający swą siedzibę w Uniwersytecie Columbia i składający się z wybitnych uczonych amerykańskich, po dziesięcioletnich żmudnych rachunkach wyliczył, że gdyby w przemyśle zastosować wszystkie najnowsze zdobycze techniki, których nie wprowadza się obecnie w życie, aby nie potęgować bezrobocia — w Stanach Zjednoczonych wystarczyłaby praca przez dwie godziny dziennie ludzi od 25-go do 45-go roku życia, aby zapewnić całej ludności Stanów poziom przewyższający dziesięciokrotnie przeciętny dochód obywatela amerykańskiego w r. 1929. Tylko dwie godziny dziennie pracy, a każdy będzie opływał w dostatki, resztę czasu może poświęcić zabawie, nauce, leżeniu brzuchem do góry! Zniknie bezrobocie, głód, nędza! Rozpocznie się idealne życie dla wszystkich!

Osiągnięcie tego ideału stanie się jednak możliwe tylko wtedy, gdy odda się rząd technokratom, którzy zorganizują świat na nowych podstawach... planowej gospodarki. Rzecz już dalej jasna, że piatiletka technokratyczna musi się w pewnym i to nieodległym punkcie spotkać z piatiletką sowiecką. Technokracja i bolszewizm są w gruncie rzeczy dwoma nazwami tego samego programu. Genjalna satyra Huxleya zaczyna się więc od sprecyzo-

wania haseł nowego, wspaniałego świata: **K o m u n i z a c j a**, **S t a n d a r y z a c j a**, **S t a b i l i z a c j a**.

Komunizacja, — wywodzi się od Lenina, standaryzacja — od Forda, a stabilizacja komunizacji i standaryzacji jest ukoronowaniem dzieła, podstawą, na której opiera się nowy, wspaniały świat. Lata w tym świecie przyszłości stworzonym wyobraźnią Huxleya, liczy się od „Narodzenia Pana Naszego, Forda“. Dlaczego Forda? Cóż za krótkowzroczność, aby tego Forda, który właśnie bankrutuje, czynić symbolem przyszłego świata! — taką słyszy się często krytykę książki Huxleya. Oczywiście, jeśli ma się na myśli Forda, fabrykanta samochodów, zarzuty będą słuszne. Ale idzie tu przecież o Forda — twórcę doktryny racjonalizacji, standaryzacji i organizacji pracy. Temu słusznie przypisuje Huxley oddawanie najwyższych honorów w przyszłym świecie technokracji, bo dopiero fordyzm dostarczył **ś r o d k ó w** dla realizacji pomysłów, zmieniających świat w jedną wielką maszynę.

Wizja huxleyowska przedstawia tę maszynę w stanie szczytowej doskonałości. Aby mogła ona nienagannie funkcjonować, muszą zniknąć wszystkie „przesady“ narodowe, wszystkie granice państwowe. A więc: Stany Zjednoczone Świata, jedno, wspólne kierownictwo, żadnych niepotrzebnych współzawodnictw, jednolity plan produkcji dla zaspokojenia potrzeb całej ludzkości. Wszystko zrationalizowane, wszystko zgóry obmyślane, żadnego chaosu, stan spokoju i ogólnej szczęśliwości.

Racjonalizacja produkcji narzuca postulat racjonalizacji materiału ludzkiego, zatrudnionego w przemyśle i na wszystkich szczeblach organizacyjnych Stanów Zjednoczonych Świata. Nie można bez obawy wstrząsów społecznych jednym kazać przez całe życie przykręcać

śrubki do jakiejś maszyny, a innym oddawać stanowiska kierownicze. W nowym, wspaniałym świecie biologia stoi już tak wysoko, że ludzi można tworzyć w sztucznych wylęgarniach. Oczywiście tworzyć ludzi określonego zgóry typu i w określonych zgóry ilościach dla każdego typu. Według zapotrzebowania.

Standaryzowane grupy wylęgowe są ostoją stabilizacji społeczeństwa przyszłego świata w satyrze Huxleya. Grupa *alfa*, najlepiej rozwiniętych psychicznie i fizycznie, to grupa kierownicza. Następne grupy, *beta*, *gamma*, *delta*, *epsilon* — używane są kolejno do coraz to późniejszych zajęć. W sztucznych wylęgarniach, przez zabieg dokanizacji jajka, zgóry nadaje się mającemu przyjść na świat człowiekowi takie cechy, które go zaliczą do jednej z grup... Aby zaś zapobiec ewentualnym starciom pomiędzy grupami, każdy człowiek od dzieciństwa poddawany jest zabiegom, nazwanym przez Huxleya: hypnopedią. Coś podobnego do dzisiejszych amerykańskich haseł reklamowych (w Polsce: cukier krzepi), w tym zaś wypadku wbijanie w głowy, że jest się szczęśliwym z przynależności do swojej grupy.

Choć nowy, wspaniały świat dba nie tylko o *panem*, ale i o *circensens*, choć w chwilach wolnych od pracy każdy obywatel ma do dyspozycji tysiąc różnych rozrywek i przyjemności, wycieczki samolotowe, filmy „czuciowe“, przeróżne gry, nie mówiąc już o całkowitej swobodzie wszelkich gier erotycznych, choć zwalczono wszystkie choroby i nie istnieje starość, bo nauczono się konserwować młodość ciała aż do chwili szybko i bezboleśnie nadchodzącej śmierci — nawet hypnopedycznie wychowywani ludzie wściekliby się w tym wspaniałym świecie niewoli od urodzenia i gromadnie zapadaliby na

handrę, gdyby nie nadzwyczajny wynalazek: *soma*. *Soma* — to nieszkodliwy (do pewnych granic) narkotyk, który umożliwia przetrzymanie wszystkich zwątpień, buntów wewnętrznych, napadów neurastenji. *Soma* rozdawana w koniecznych dozach wszystkim obywatelom Stanów Zjednoczonych Świata, to może najbardziej istotna podstawa statbilizacji nowego, wspaniałego świata w wizji satyrycznej Huxleya.

W tym wynalazku *somy*, istotnie niezbędnej w takim świecie, najwyraziściej rysuje się genialność satyry Huxleya, i precyzja wyobraźni wielkiego pisarza angielskiego. Oczywiście, i *soma* niewystarcza, aby wszystkich utrzymać w posłuchu. Zdarzają się buntownicy, niespokojne duchy, ludzie lubiący za dużo myśleć samodzielnie. Tych kierownik Generalny Stanów Zjednoczonych Świata, Mustafa Mond, zsyła na wyspy sołowieckie nowego świata, na Islandję. Trzeba chronić szczęśliwość społeczną przed burzycielami...

Huxley, rzucając na karty swej fascynującej książki obraz satyryczny, czem stałby się świat, gdyby zrealizować ideały komunistyczno-technokratyczne i wprowadzić w rzeczywistość hasła życia ułatwionego, bynajmniej nie ma entuzjazmu dla dzisiejszości. Satyrą i to gorzką satyrą na chaos dzisiejszości jest w jego książce opis rezerwatu dzikich, gdzie lęgnie się zbrodnia, zabobon, choroba, nędza. Ale jesteśmy całkowicie po stronie tego dzikusa z rezerwatu, który dostawszy się do nowego wspaniałego świata, przerażony i zgębiony niewolą wygody i komfortu, woła do Mustafy Monda:

— Niechcę wygody! Chcę Boga, poezji, prawdziwego niebezpieczeństwa. Chcę wolności, chcę cnoty. Chcę grzechu. Żądam prawa do nieszczęścia, starości, brzydoty

i niedołęstwa: prawa do syfilisu i raka; do głodu, do tyfusu; do wszy; do życia w ciągłym strachu przed jutrem!

Satyra Huxleya ma oczywiście i swoje słabe strony. Jej piętą achillesową jest to samo, co najbardziej mętne i niewyraźne jest w dzisiejszej doktrynie technokratów. Jak wyglądają środki wymiany i system pieniężny w nowym, wspaniałym świecie — Huxley przemilcza. Proponowany przez technokratów *erg*, (jednostka energetyczna) wydał mu się zapewne zbyt naiwny. A bez sprecyzowania, na czym opiera się gospodarcza struktura nowego ustroju, cały ten nowy świat wisi potroszę w powietrzu.

To też książka Huxleya jest tylko satyrą na ideały społeczno-obyczajowe dzisiejszości. Zagadnienia ekonomiczne prawie w niej nie istnieją.

Treść „Nowego, wspaniałego świata“, porywająca wyobraźnia huxleyowska, mnogość zjawisk, prześwielonych satyrycznie — tak pochłaniają czytelnika, że ledwie można zastanowić się nad formą literacką tej niezwyklej powieści. Nie jest ona tak zwarta i artystycznie skończona, jak „Ostrze na ostrze“, ale jednak reprezentuje wysoką klasę pisarską, polszczyźnie zaś została przyswojona arcydzielnie przekładem Stanisławy Kuszelewskiej. Huxley ma wogóle szczęście do polskich tłumaczeń. Zarówno przekład „Ostrze na ostrze“, dokonany przez Godlewską, jak i przekład „Nowego, wspaniałego świata“ Kuszelewskiej, należą do najlepszych tłumaczeń, jakie mieliśmy ostatnimi czasy.

WIEMY, ŻE NIC NIE WIEMY.

Wiek XIX-ty, wiek wspaniałego rozwoju i rozkwitu nauk przyrodniczych na glebie osiemnastowiecznego racjonalizmu, wyrobił w człowieku dumne przekonanie o nieograniczonych możliwościach ludzkiej wiedzy. Wszystko wydawało się jasne, proste, nieulegające wątpliwości. Główne linje już wytyczone, pozostaje jedynie udoskonalenie metod badawczych, a wszystkie kółeczka mechanizmu wszechświata zostaną zmierzone, zważone i sklasyfikowane. Jakże śmieszni byli ci wszyscy mędracy-filozofowie, którzy tracili napróżno czas na snucie oderwanych, abstrakcyjnych konstrukcyj metafizycznych! Cóż to za głupia manja budowania na sypkim piasku niesprawdzalnych nauk humanistycznych, kiedy mamy do dyspozycji wiedzę ścisłą, nieomylną, operującą faktami, a nie abstraktami, dającą się każdej chwili sprawdzić doświadczeniem. Tylko to jest pewne, co jest uchwytne, co da się zobaczyć, przeświecić i zbadać. Postęp wiedzy zależy tylko od ilości badań. Jeszcze trochę wysiłku, jeszcze trud wynalezienia bardziej precyzyjnych przyrzą-

dów, a będzie można odpowiedzieć na wszystkie najważniejsze pytania.

Przez pierwsze trzy dziesiątki XX-go wieku w pracowniach naukowych na całej kuli ziemskiej wrzała gorączkowa praca. Przeciętny człowiek, zaliczający się do tak zwanej inteligencji, ale nie mający zaszczytu należenia do ścisłego grona naukowców, z czcią spoglądał na wzniesione ku niebu lunety i teleskopy, na pochyłonych nad mikroskopami badaczy drobnoustrojów, na rosnące wciąż w półkach bibliotek długie szeregi dzieł, prac i przyczynków, zapelnionych tajemniczymi hieroglifami matematycznych wzorów, dziwnie brzmiącymi terminami i wyniośle niezrozumiałymi wywodami. Wiedza przyrodnicza osiągnęła wyżyny tak zawrotne, że o wdarciu się na te szczyty laika, profana, dyletanta — nie mogło być mowy. Co śmielsi próbowali się przedrzeć ku górze przy pomocy przewodników, ale i to szło opornie, a szeroki ogół czekał, aż pobudowane zostaną wygodne, nieuciążliwe gościńce. Narazie zaś zawierzyć trzeba było tym, którzy odbyli wysokogórską spinaczkę i chcieli ceprom opowiadać o widokach, roztaczających się ze szczytów. Trzeba było zawierzyć tak zwanym popularyzatorom.

Tych popularyzatorów nauk przyrodniczych nigdy nie mieliśmy w Polsce zbyt wielu. A i ci, co są, niezawsze posiadają dar jasnego wykładu i dar syntetyzowania. Nie każdemu też można było zaufać. Naprawdę coś wie, czy buja? Naprawdę takie wnioski wypływają z coraz i'czniejszych, przewrotowych odkryć naukowych, czy też może inne?

Raz po raz słyszeliśmy, że w cichych pracowniach naukowych dzieją się rzeczy rewolucyjne. Popularyzato-

rzy tłumaczyli nam mętnie jakieś tam szczegółki, ale nic a nic nie spuszczały z tonu, jaki wziął wiek XIX-ty. Głosili nadal: nauka jest wszechpotężna! Wszystko w porządku! Idziemy ciągle po tej samej linii! Najbardziej zaś arogancki, natrętny i pewny siebie wszechznawca sciencji przyrodniczej, spec od popularyzatorstwa w „Wiadomościach Literackich“, Bruno Winawer, głosząc o nowych zdobyczach wiedzy ścisłej aż się zachłystywał z uciechy, że teraz już nieporadne nauki humanistyczne zostaną pograżone ostatecznie. Filozofja to gładzenie i bzdura. Sokrates był poprostu bałwanem. Tem już nikt nie będzie zaprzętał sobie głowy. Nauki przyrodnicze objęły batutę na dobre.

I gdy tak spec Winawer pokrzykiwał w „Wiadomościach“, ukazała się w polskim przekładzie książka sir James'a Jeans'a: „Nowy świat fizyki“ (*The Mysterious Universe*). Książka uczonego z prawdziwego zdarzenia, a przytem pisarza obdarzonego genialnym (nie waham się użyć tego najwyższego przymiotnika) darem popularyzatorstwa. Jako zaś motto do swej książki wziął angielski uczony fragment... platońskiego dialogu między Sokratesem (tak, „bałwanem“ Sokratesem!) a Glaukonem z VII-mej księgi „Rzeczypospolitej“.

Jeans precyzuje jasno i wyraźnie, na czem polega wielki przewrót, jaki dokonał się w naukach przyrodniczych. A przewrót ten polega ni mniej, ni więcej, tylko na obaleniu prawa przyczynowości, na którem od XVII-go wieku opierało się ugruntowywanie materialistycznego poglądu na świat, by wreszcie w wieku XIX-tym dojść do szczytu zarozumialstwa i materialistycznego bigotyizmu. Wystarczy znać przyczynę, a znać będziemy skutek, jaki ona musi wywołać. Natura idzie

jednym szlakiem, wytkniętym od początku wieków do ich końca, przez nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków. W tym bezdusznym mechanizmie, jakim zdawał się być świat według tej teorii, wszystko jest zdeterminowane, założone zgóry, uwarunkowane przyczyną. Po stanie A musi nieuniknienie nastąpić stan B. Z dziedziny mechaniki fizycznej, po odkryciu w XIX-tym wieku, że żywe komórki składają się z tych samych atomów, co materja martwa, przeniesiono prawo przyczynowości do biologii, zaczęto twierdzić, że życie także musi się okazać w swej istocie mechaniczne. Wszystko jest przecież funkcją reagowania na pewne bodźce zewnętrzne. W tem świetle wolną wolę ogłoszono za fikcję. Podważone zostały wszelkie podstawy etyki. Z takiego poglądu na świat — powiada Jeans — musiało przecież wynikać, że św. Paweł nie stał się dobrowolnie innym od Szawła, ale stał się innym poprostu samą siłą rzeczy, pod wpływem odmiennego zespołu bodźców zewnętrznych.

Gdy po spopularyzowaniu tych teoryj, ogół czekał już tylko na odnalezienie przez naukowców recept na wszystkie zjawiska w świecie żywym i martwym — wśród badaczy równocześnie nastąpił przełom. Okazało się po dokładniejszym i ściślejszem zbadaniu pewnych zjawisk, że nietylko lekkomyślnością jest przenoszenie mechanistycznych teoryj do skomplikowanych spraw życia, ale że nawet w świecie zjawisk fizycznych są pewne takie dziedziny, jak ciężenie i promieniowanie, których wszystkie próby podporządkowania prawu przyczynowości nie potrafią wytłumaczyć przekonująco.

I wreszcie powstała niemechanistyczna teoria kwantów, której podstawy dał Planck, a którą rozwinął Einstein. Dokładne zbadanie promieniotwórczości odwiodło

naukę od dumnego twierdzenia, otwierającego wiedzy nieograniczone możliwości, od twierdzenia, że po stanie A musi przyjść nieunikniony stan B. Nowa nauka twierdzi już tylko skromnie, że po stanie A może nastąpić stan B, ale równie dobrze stan C, D lub niezliczona ilość innych stanów. Nowa nauka może wprowadzić powiedzić, że po stanie A najbardziej prawdopodobny jest stan B, ale właśnie dlatego, że operuje ona kategoriami prawdopodobieństwa, nie potrafi przepowiedzieć z całą pewnością, jaki stan nastąpi po drugim.

Jeans ilustruje to szeregiem przykładów. Więc np. rozpad atomów radu. Z biegiem czasu atom radu rozpada się sam na atomy ołowiu i helu. Jeśli jednak weźmiemy pod obserwację pewną ilość radu, nie sposób przewidzieć, który z atomów rozpadnie się pierwszy. Można tylko stwierdzić, że liczba atomów radu zmniejsza się w ten sam sposób, jak liczba żołnierzy w oddziale, wystawionym na ślepy ogień karabinowy. I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Dawna nauka sądziła, że gdyby istniały doskonale przyrządy, możnaby określić z najwyższą dokładnością położenie i ruch cząstki w danym momencie. To wprowadziło właśnie do nauki determinizm. Dziś okazało się, że określenia ruchu i położenia leżą na innych płaszczyznach, nie dających się równocześnie nastawić na absolutną ostrość. Podstawa determinizmu upadła. Jeśli dziś można o determinizmie mówić, to tylko jako o pojęciu natury statystycznej. Gdy podrzuci się pięciogroszówkę, nie można być nigdy pewnym, czy wypadnie orzeł czy reszka. Jeśli jednak rzucić milion tonn pięciogroszówek, to wiemy, że 500.000 tonn upadnie na jedną, a 500.000 tonn na drugą stronę. Możliwość to uważać za dowód jednostajności natury i przypisywać to

działaniu prawa przyczynowości. W istocie jednak jest to tylko wynik matematycznych praw przypadku.

Więc wszechświat jest rządzony przez przypadek? Taki wniosek wyprowadza Jeans w swej książce? Och, nie! Bo jednak najzawilsze zjawiska dadzą się ująć matematycznie. Natura zbliża się w jakiś sposób bardziej do pojęć czystej matematyki, aniżeli do pojęć biologji, czy inżynierji. Stąd na miejsce starożytnego antropomorficznego poglądu na świat i późniejszego mechanicznego poglądu — zjawia się obecnie w nauce pogląd matematyczny.

Matematyka, ta najbardziej oderwana i abstrakcyjna dziedzina ludzkiej myśli stała się zarazem w nowoczesnej nauce pomostem pomiędzy fizyką — a metafizyką. Wszechświat przestał się objawiać uczonym w postaci wielkiej maszyny, a zaczął się objawiać w postaci **W i e l k i e j M y ś l i**. Jeans robi porównanie, że jest to jakby partja szachów, której gracze są nam niewidoczni. Gdybyśmy nie znali reguł gry, przypuszczalibyśmy, że ruchy są zupełnie przypadkowe. Matematyka staje się w odniesieniu do zjawisk wszechświata tem, czem znajomość prawideł gry w stosunku do partji szachów. Umożliwia nam zorientowanie się w grze, ale oczywiście nie może już przeniknąć myśli graczy.

Tem samem rola nauk przyrodniczych staje się nierównie skromniejsza, niż to zdawało się wiekowi XIX-temu, wierzącemu w omnipotencję wiedzy, w możliwość wykrycia wszystkich praw, rządzących mechanizmem świata. To nie jest mechanizm. Wszechświat — jak powiada Jeans, streszczając ostatnie zdobycze nauki — daje dowody istnienia **p o t ę g i w y z n a c z a j ą c e j i k o n t r o l u j ą c e j**, a mającej coś wspólnego z na-

szym umysłem w sposobie myślenia, który to sposób, w braku lepszego słowa, określamy jako matematyczny.

Równocześnie więc z olbrzymiem odrodzeniem religijności na całym świecie, także i nauki przyrodnicze doszły do założeń metafizycznych. Tak zwana „ściśła“ wiedza została zdetronizowana.

„Bałwan“ Sokrates, mówiąc: „wiem, że nic nie wiem“, jest właśnie w dzisiejszym stanie nauki niesłychanie nam bliski. Oczywiście trzeba pamiętać, że poznać niewiedzę, to znaczy mieć pojęcie wiedzy, znaczy być zdolnym do odróżnienia prawdy od fałszu. A prawdę przedewszystkiem odkrywa się w sobie. Odkrywa się w myśli własnej, będącej według porównania Jeansa jakby częstką Wielkiej Myśli, która rządzi wszechświatem. Po długim błędzeniu poprzez gąszcz zarozumiałstwa materialistycznego, nauka współczesna na drodze rozumowej dochodzi do tego samego, co w najprostszym człowieku rodzi się dreszczem objawienia: wszechświatem rządzi Bóg.

OD ACHARDA DO... HITLERA.

Już drugi raz młody pisarz francuski, Marceli Achard, wywołuje w krytyce warszawskiej gruntowny mętlik. Dwa lata temu, pierwsza grana w Warszawie komedia Acharda, „Jaś z księżycą“, spotkała się z ocenami zupełnie rozbieżnymi, ba, nawet z dezorientacją, jaki to właściwie rodzaj sceniczny. Coś podobnego powtórzyło się obecnie z okazji wystawienia w Teatrze Letnim „Mistigri“. Że tam niektórzy krytycy wzięli „Mistigri“ za... farsę, to jeszcze położyć można na karb fałszywej, wprowadzającej w błąd reżyserji. Ale że poezja tej głęboko mądrej sztuki tak urzeknie Boya, iż on, autor książki „Zmysły, zmysły“, zastrzeżać się będzie bardzo gorąco przeciwko spłaszczaniu myśli autora sprowadzaniem jej do słowa: zmysły, zaś Irzykowski, autor „Benjaminka“, zaatakuje moją recenzję z „Mistigri“ m. i. za to, żem przychwalił Achardowi niesprowadzanie problemu miłości na wąski grunt seksualizmu — to już była niespodzianka prawdziwa.

Jeśli idzie o stanowisko, zajęte przez Boya, to jest ono tak wielkim sukcesem poetyckiej sugestji Acharda, która

zdołała się zwycięsko uporać z przyrodniczym sposobem myślenia najzatwardzialszego materialisty, że trudno wprost o lepszy dowód klasy pisarskiej Acharda. Jeśli natomiast idzie o stanowisko, zajęte przez Irzykowskiego, to czuję się potroszę jego winowajcą. Poprosto sprowokowałem Irzykowskiego określeniem, że „Mistigri“ jest sztuką o irracjonalizmie miłości, polegającym na tem, że bohaterka sztuki Nell kocha bałwana Zamore'a z całą świadomością jego bałwaństwa. Kocha — bo kocha. Z tem właśnie mojem określeniem rozprawia się Irzykowski w swej polemicznej recenzji na łamach „Robotnika“.

„Choćby nawet było i tak — pisze Irzykowski — jak chce p. Piasecki, sama teza, czy idea poetycka tej sztuki dopiero wtedy mogłaby napawać nas poezją, gdyby w nas się nie budził przeciw niej bunt intelektualny, gdyby nas autor uspił jakimś narkotykiem. Tymczasem on odwołuje się do naszych zdrowych zmysłów“.

Otóż mam właśnie wrażenie, że Achard zupełnie celowo i świadomie nie używa żadnego narkotyku, aby uspić nasz intelektualizm i śmiało apeluje do naszych zdrowych zmysłów, bo te nasze zdrowe zmysły uległy w ostatnich czasach dużej zmianie, którą przedstawiciel młodego pokolenia, jakim jest autor „Mistigri“, odczuwa doskonale. Nasze zdrowe zmysły uwolniły się poprosto od choroby wyszukiwania wszędzie i zawsze żelaznej przyczynowości. Intelektualizm wczorajszy czynił z prawa przyczynowości kamień węgielny wszystkiego, co się na świecie dzieje. Intelektualizm dzisiejszy wyleczył się z tego złudzenia.

Jeans w swej przepięknej książce o „Nowym świecie fizyki“ powiada, iż dawna nauka twierdziła dumnie, że po stanie A musi przyjąć nieuchronnie stan B. Nowa

nauka, od czasów teorii Plancka, rozwiniętej przez Einsteina jest znacznie skromniejsza. Mówi tylko, że po stanie A może przyjść stan B, ale równie dobrze mogą przyjść stany C, D i nieskończona ilość innych stanów. Nauka podejmuje się tylko określić ich prawdopodobieństwo. Stany C i D byłyby według dawnych pojęć irracjonalne. Według nowej nauki t. zw. irracjonalizm staje się szczególnym wypadkiem racjonalizmu i niczem więcej.

W tym właśnie sensie użyłem określenia, że „Mistigri“ jest sztuką o irracjonalizmie miłości, co tak wzburzyło klerkowski umysł Irzykowskiego. Wzburzyło niesłusznie. Nie było w tem określeniu nic z chęci ubliżenia intelektualizmowi. Przeciwnie. Było rozszerzenie zakresu intelektualizmu i na te sprawy, które jeszcze doniedawna nie mieściły się w kryterjach zdrowego rozsądku. Więc albo się je naginało i tłumaczyło w sposób mniej, czy bardziej sztuczny, albo się negowało ich istnienie. Dziś można spokojnie powiedzieć: wiem, że takie sprawy są, że są rzeczywiste, ale nie wiem, dlaczego się rozwijają tak, a nie inaczej. Badam stan faktyczny. I tem narazie muszę się zadowolić, bo wszelkie hipotezy, jakie można postawić, nie wyczerpują całokształtu zjawiska.

Irzykowski zdaje sobie zresztą doskonale sprawę z niemożliwości całkowitego wyczerpania sprawy kryterjami racjonalistycznymi (w dawnym pojęciu racjonalistycznymi) skoro wyrzuca Achardowi, że nie podał przyczyn (hipotetycznych?) niezrozumiałej miłości bohaterów swej sztuki choćby pcto, aby „dopiero na tej podstawie powiedzieć: a jednak, a mimo to — ta miłość p o z o s t a j e n a d a l t a j e m n i c z a“. Boy w swej recenzji o „Mistigri“ zrobił to w imieniu Acharda. Próbował wytłumaczyć miłość Nell do Zamore'a a mistyką zmysłów (jed-

nak całkiem wycofać się ze zmysłów było mu ciężko!), mistyką „będącą splotem niepodobnych prawie do uchwycenia włókien duszy: i potrzeby cierpienia, i potrzeby gardzenia czy ironji, i jakiegoś instynktu opiekuńczości, i wielu innych rzeczy, które, zmieszane razem, destylują się dla tej kobietki w moment nieosiągalnego pozatem zmysłowego szczęścia“. Czy taka analiza mówi wiele ponadto, że miłość Nell do Zamore'a jest tajemnicza? Czy taka analiza jest obowiązkiem autora? Czy nie lepiej, gdy autor, zamiast hipotetyzować i z konieczności naginać swoich bohaterów do hipotez, poprostu da ich takimi, jakimi są? Czy to nie jest właśnie dlatego bardziej prawdziwe? Czy bunt intelektualizmu, jaki się zerwał w Irzykowskim na widok tej irracjonalnej miłości jest naprawdę tak silny, skoro nie potrafi nawet przezwyciężyć wyrażnie stwierdzonego w recenzji uczucia zazdrości o Nell? Bo przecież żeby stać się zazdrosnym (mnie również ta zazdrość ogarniała) trzeba było wprzód uwierzyć w prawdę miłości Nell do Zamore'a. Jeśli zaś to udało się Achardowi, to udało mu się wszystko, co chciał.

Rozważania o irracjonalizmie zaprowadziły Irzykowskiego po krótkiej drodze od komedji Acharda, aż do sprawy hitleryzmu. Zacytujmy:

„Jeszcze raz: dziwneby było, żeby właśnie Francuz teraz, celowo, programowo, nawracał do irracjonalizmu. Irracjonalizm był zwykle monopolem Niemiec, choć z zapałem naśladowano go także u nas (Młoda Polska). Hitleryzm jest takim wybuchem irracjonalności, rozpaczliwym kultem durnia (rasowego). Tym razem jest to kult robiony na pokaz dla Europy: patrzcie, do czego nas doprowadzacie! Już zwarjowaliśmy...“

Wiem z własnego doświadczenia, że recenzje teatralne pisze się często pośpiesznie, i tylko na karb tego pośpiechu kładę owo lapidarne określenie, że hitleryzm jest

kultem rasowego durnia, określenie nieliczące z klerkowstwem Irzykowskiego. Jestem przekonany, że w dłuższej i mniej pospiesznej dyskusji, Irzykowski znalazłby w tej sprawie większe skomplikowania. Więc przede wszystkim to, że jeśli się już hitleryzm bierze ze strony głoszonego przezeń hasła rasizmu, to właśnie jest to ruch nawskroś racjonalistyczny, oparty o nauki przyrodnicze, operujący całym arsenałem argumentów antropologicznych i usiłujący dowieść, że rasa nordyczna (typ antropologiczny *alfa*) jest najwartościowsza zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Tak wygląda „kult durnia“.

Osobiście uważam jednak, że racjonalistyczny rasizm przyrodniczy jest w hitleryzmie teorią dorobioną tylko poto, by pobić racjonalistycznych przeciwników ich własną bronią. Pozatem, nawewnątrz ruchu hitlerowskiego, jest teorią niepotrzebną, i jak wszystkie teorie przyrodnicze w dzisiejszym stanie wiedzy — bałamutną. Dość powiedzieć, że np. cytowane przez Czekanowskiego („Zarys antropologii Polski“) badania, przeprowadzone wśród studentów-żydów uniwersytetu lwowskiego, wykryły wśród nich pewien procent nordyków. Ale też rasizm przyrodniczy to tylko racjonalistyczna, niedoskonała przykrywka treści znacznie ważniejszej: r a s i z m u p s y c h i c z n e g o.

Ten zaś rasizm psychiczny jest zjawiskiem niewątpliwem. Komunizm próbował go sprowadzić do wspólności rasy psychicznej w klasie społecznej. Tak zwana świadomość klasowa nie jest przecież niczem innym. W praktyce nie udało się jej jednak rozciągnąć po za granice etniczne, bo ta pod-rasa spotkała się z rasą psychiczną znacznie mocniejszą, z rasą psychiczną narodu. Wątpię, aby Irzykowski mógł zakwestjonować to, co nazywamy

psychiką polską, psychiką francuską, psychiką niemiecką i t. d. Sam, choćby w recenzji z sztuki Acharda, stoi na tym gruncie mówiąc np., że „irracjonalizm był monopolem Niemiec“, to znaczy rasy psychicznej niemieckiej. I wątpię także, by Irzykowski chciał zakwestjonować, że tak stary i zwarty naród, jak naród żydowski, wytworzył rasę psychiczną niezmiernie silną i odrębną, i że w żydzie, nawet najbardziej zaasymilowanym, instynkty tej rasy psychicznej często się odzywają. Mogą być nawet źródłem tragedji dla takiej jednostki, ale to nie zmienia faktu istnienia tych odzewów.

Oto i źródło hitleryzmu. Ludzie, należący do tej samej rasy psychicznej, najlepiej się czują w społeczeństwie, które jest uzewnętrznieniem cech ich rasy, nie paczonym działalnością instynktów obcych. Można to według dawnej nomenklatury nazwać uczuciem irracjonalnem, ale ono jest, istnieje, i przez to, że istnieje, staje się faktem, z którym racjonalista (w nowem znaczeniu tego słowa) musi się liczyć.

Może być w tem nawet coś tak tajemniczego, jak w miłości Nell do Zamore'a. Wiem, że inni piękniejsi, mądrzejsi i bogatsi — ale mnie się właśnie podoba ten brzydki, mniej mądry i biedny. W tem widzę swoje szczęście. Powiadacie, że szczęściem dla mnie powinien być tamten? Cóż, kiedy właśnie nie jest. Zaczynacie przemawiać do rozumu? Twierdzicie, że trzeba poświęcić szczęście w imię prawd wyższych, obiektywnych? Że tamten obcy mi psychicznie osiągnął w danej dziedzinie wyżyny i że mnie podciągnie do nich? Chcemy do tych wyżyn dojść sami, własną pracą i trudem, bo może przecież w naszej rasie psychicznej inne wyzłobią się ścieżki

do tego samego celu. Z doświadczeń obcych chętnie skorzystamy, ale je u siebie i po swojemu przetworzymy.

Irzykowski w polemice z Boyem użył kiedyś bardzo trafnego porównania z zakresu spinaczki turystycznej. Gdyby tu chcieć użyć porównania sportowego, możnaby określić, że rzecz sprowadza się do niechęci wypożyczania do swojej drużyny obcych graczy. Takie wypożyczenie nie jest *fair*. Temwięcej, gdy chodzi o takich graczy, jak np. Einstein, czy Reinhardt.

Rasizm psychiczny, czyli nacjonalizm, opiera się na poczuciu i n n o ś c i psychicznej narodów. Ta inność jest faktem. I to faktem, który jak dotąd, nie cofał ludzkości w rozwoju. Przeciwnie. Przez współzawodnictwo różnych inności, popychał naprzód.

Mcżna być ujemnego zdania o ekscesach, jakie się wydarzyły w Niemczech podczas rewolucji hitlerowskiej (czyż są gdzie rewolucje bez ekscesów?), ale że hitleryzm jest zjawiskiem znacznie bardziej głębokiem i złożonem, niż w feljetonowem określeniu Irzykowskiego, to chyba sam Irzykowski przyzna. A niedobrze jest te rzeczy feljetonizować. To już i tak ponad miarę robią ci, którzy są osobiście zainteresowani.

OD UNIWERSALIZMU DO IMPERJALIZMU.

Z różnych stron, spoza różnych opłotków, pokonując mozolne zasieki myślowych nawyków, wygrzebując się z wilczych dołów talmudyzmu przekonaniowego, zmierzamy ku tej samej równinie nowej świadomości polskiej. Idzienny często naoslep, jakby we mgle. Błąkamy się czasem, zwodzeni drganiem igły na kompasie instynktu, odchylającej się jeszcze ku starym, wietrzejącym już złóżom magnetycznym. Ale właściwy kierunek staje się coraz czywistszy i coraz to bardziej prostują się splątane ścieżki.

Książka Jana Nepomucena Millera „Na gruzach Grenady“, jest właśnie tego najlepszym dowodem. Dalekie są mi, zarówno uczuciowo, jak i rozumowo, te opłotki, spoza który Miller rozpoczął przed kilku laty marsz na Grenadę („Zaraza w Grenadzie“, Warszawa, 1926). Dzisiejsza jego wędrówka po gruzach symbolicznych twierdz Alpuhary, jest niejednokrotnie błąkaniem się, lub nawet szukaniem wiatru w polu, zwłaszcza wówczas, gdy igła kompasu zezuje ku staremu biegunowi socjalizmu. Ale pomimo, że w książce Millera nie brak drażniących za-

czepek i wycieczek przeciwko obozowi ideowemu, do którego należą, pomimo, że aż się w niej roi od określeń i tez, przeciw którym buntuje się mój sposób myślenia — conajmniej tyle, ile punktów rozbieżnych, znaleźć w niej może każdy nacjonalista punktów stycznych. Spod naltów tradycyjnego myślenia kategorjami socjalistycznymi, spod pośpiesznie budowanych nowych konstrukcyj myślowych (na miejsce niektórych starych już zburzonych) — raz po raz obnaża się w książce Millera głos i n s t y n k t u p o l s k i e g o tak mocny, że on właściwie nadaje ton dziełu.

Zamiar podjął Miller w swej książce ambitny. Nie mniej, nie więcej, tylko stworzenie własnego systemu filozoficznego, określającego postawę wobec wszelkich zjawisk życia. System ten nazywa u n i w e r s a l i z m e m.

Potrzebę wewnętrzną, która kierowała Millerem przy wypracowywaniu tego systemu, zrozumieć łatwo, gdy się przeczyta karty jego książki, zawierające ostrą, goryczą zawodu zaprawioną krytykę socjalizmu polskiego, w którego atmosferze się wychował. Takiego typu człowiek, jak Miller (czuje się to na każdej stronie jego książki) nie umiałby żyć już nietylko bez pionu, ale bez określenia sobie tego pionu. Straciwszy wiarę w twórcze możliwości socjalizmu, musiał sprecyzować swoje credo i zaszeregować je pomiędzy izmy. To mu dopiero dało wewnętrzną spokój.

Hipoteza taka wprost się narzuca czytelnikowi „Na gruzach Grenady“. System uniwersalizmu, szeroko a miejscami przyciężko wykładany przez Millera na wstępie książki, jest dla czytelnika zupełnie nieprzydatny, a nawet zbędny przy śledzeniu dalszych wywodów autora. Autorowi jest wyraźną pomocą, czytelnikowi raczej za-

wadą. Szereg celnych uwag i analiz millerowskich na różne tematy: społeczne, polityczne i kulturalne, nie straciłby nic przy odczyszczeniu z uniwersalistycznej frazeologii. Przeciwnie. Zyskałby na jasności.

To, co Miller nazywa uniwersalizmem, jest pro prostu społecznym, zbiorowościowym, antyindywidualistycznym sposobem patrzenia na świat. Zgoda. Tak właśnie my, młode pokolenie, na świat patrzymy. W tem Miller spotka się zresztą zarówno z nacjonalizmem, jak i z komunizmem. Jedna z początkowych tez książki, że zbiorowość nie jest sumą świadomości jednostek, ale przeciwnie, świadomość zbiorowa grupy wciela się w jednostkę — nie napotka na sprzeciwy ani jednej, ani drugiej strony. Ale to dopiero kadłub zagadnienia, które ma jeszcze swoją głowę. W komunizmie jest tą głową doktryna materjalistyczna, zaś narodowy pogląd na świat jest nie do pomyslenia bez nadbudowy spirytualistycznej.

Miller zdaje sobie z tego doskonale sprawę i właśnie sądzi, że zrezygnowanie „narazie“ z dociekań nad ostatecznymi możliwościami bytu, jest największą wartością jego systemu uniwersalistycznego ujmowania zjawisk. Kilkakrotnie i z pasją deklaruje się jako wróg ujedniania zagadnień, pokpiwa sobie z „narkozy metafizyki monistycznej“, propaguje „rzetelną skromność niedomawiania ostatniego słowa“.

Metoda pluralistyczno-uniwersalistyczna, którą stosuje Miller, miałaby niezawodnie pewne wartości w dociekaniach historycznych, gdzie idzie o analizę i zrozumienie prądów już przebrzmiałych, może mieć nadto wartość dla bezpłciowo-kontemplacyjnych konstrukcyj myślowych typu klerkowskiego. Jest jednak zupełnie bezpłodna i nietwórcza dla człowieka, chcącego wywierać

wpływ na kształtowanie dzisiejszości społecznej. U Millera, na szczęście, jest ta metoda tylko namiastką porządku myślowego z samym sobą, jest papierowym izmem, jest pewnego rodzaju samooszukiwaniem się. Istotnym motorem, który kieruje Millerem, jest bowiem całkiem co innego. To „coś innego“ sprawia, że książka jego nie jest wcale mdła ani szara, jakąby musiała być książka, wyrosła z kadłubowej metody uniwersalistycznej. A tymczasem właśnie książka Millera aż dyszy pasją i wigorem, naładowana jest całą wolą twórczą, chce być czynem, a nie pięknoduchowskim gładzeniem.

Koncepcje myślowe Millera, choć przyfastrygowane przez niego do uniwersalizmu, rodzą się właściwie z walki pomiędzy starymi nawykami socjalistycznymi, zorjentowanymi ku jedynej dziś czynnej formie socjalizmu: komunizmowi, a potężnym, coraz silniej okiełznującym nawyki głosem instynktu narodowego. Jest niezmiernie charakterystyczne, jak Miller, nie kryjący się z sympatjami do rozmachu budowania komunistycznej Rosji, uzasadnia swój negatywny stosunek do komunizmu w Polsce:

„Komunizm, jako doktryna społeczna, miałby nierównie więcej zwolenników u nas, gdyby w grę nie wchodziły te tak obojętne niemal dla naszych widzów stosunki polityczne. W chwili obecnej, zdajemy sobie w pełni sprawę z tego, że zwycięstwo komunizmu w Polsce — to zabór kraju przez Rosję, to obezwładnienie samodzielnej, budowanej do życia psychiki polskiej“.
(Str. 127).

„Nasz komunizm staje się biernym i niemym odbiorcą, przyjmującym naiwnie szklane paciorki „na eksport“ jak dzikus od Europejczyka, za złoto i purpurę swego aktywizmu“.
(Str. 129).

Jest w tem już nawskroś narodowa podstawa. Jak zaś dalece gra w instynkcie Millera дума narodowa, o tem świadczy jego koncepcja polskiego imperja-

! i z m u. Kilkakrotnie boleje Miller nad tem, że Polska „przedwcześnie i leniwie zrezygnowała z imperjalizmu Śmiałych i Krzywoustych“, czy że „od w. XVI zrezygnowała z wspaniałej polityki zaborczej pierwszych Piastów“. Jakie drogi mogły doprowadzić Millera od pluralistycznego uniwersalizmu do tych zachwyty nad imperjalizmem polskim — dociec trudno. Natomiast związek z głosem duszy polskiej jest tu zupełnie jasny i zrozumiały.

Koncepcji imperjalizmu polskiego na dziś — bliżej Miller nie określa. Na wewnątrz ma to być w jego konstrukcji zmontowanie wewnętrzne narodu przez uświęcenie pracy. Dostaje się przy tej okazji ostro „szlacheckiemu pasibrzuchostwu“ i jaśniej się odsłaniają motywy, dla których w „Zarazie w Grenadzie“ tak ostro zaatakował Miller „Pana Tadeusza“ za atmosferę próżniactwa i dosytu. Ale czem ma być imperjalizm millerowski na wewnątrz? Czy nawrotem do zaborczej polityki Piastów? Na str. 115 książki, znajduje się dość nieoczekiwane i nieuzasadnione bliżej zdanie, że „indywidualna gospodarka państwowa stała się dziś niemożliwością, a granice — przesądem“, zdanie, które zdaje się przeczyć, aby Miller i na teraz pochwalał politykę zaborczości terytorjalnej. Zdanie to płynie raczej z nawyku, niż z przemyślenia, ale czyni jeszcze bardziej mglistą koncepcję imperjalizmu Millera na dziś. Imperjalizm ten jest właściwie bardziej oddaniem pewnej temperatury uczuciowej autora, niż konkretnym programem. Realizację widzi Miller już w wyczynach lotniczych Żwirki i Skarżyńskiego, ba nawet w rekordach naszych sportowców. Wygląda to na pierwszy rzut oka naiwnie, ale gdy sobie przypomnieć, co przeżywaliśmy wszyscy w dniach lotu, a potem tragicznej śmierci Żwirki, gdy uprzytomnić sobie owo prze-

dziwne, zbiorowe misterjum komunji dusz polskich nad trumnami bohaterkich lotników — to wówczas dedykowanie książki Millera Idzikowskiemu, Żwirce i Wigurze nabiera głębszego znaczenia. Polski instynkt Millera jest niezawodny w odczuciu punktów obnażeń się duszy narodu, choć jeszcze na konsekwentny, scałkowany program zdobyć się nie może.

Do spraw religii ma Miller stosunek wychowawca socjalizmu. Na katolicyzm, stąd zaś i na dzisiejszą młodzież katolicką, patrzy przez pryzmat zaszczepionej mu głęboko nienawiści do kleru. Ale że jest naturą nawskroś ucuciową, brak religii w życiu odczuwa boleśnie. Żeby ten dojmujący brak czemś zapełnić, próbuje stworzyć sobie jakąś nową, pogańską religję narodową z kultem relikwii wielkich ludzi. Jako przykad podaje wstrząs wewnętrzny, doznany przez Świętochowskiego podczas sprowadzenia do kraju zwłok Mickiewicza i wstrząs własny podczas sprowadzania zwłok Słowackiego.

Błąkami się jeszcze wszyscy, choć coraz wyraźniejsze się staje, że do jednego zmierzamy celu. Dużo jest tych zabłąkań w książce Millera, jak ich nie brak i w naszym młodym obozie, choć w innym one idą kierunku. Ale jeśli w książce przeciwnika ideowego można znaleźć obok rzeczy spornych, czy nawet wrogich dużo, bardzo dużo odczuć i przemyśleń stycznych, lub nawet wspólnych, to dowód, że nowa świadomość polska coraz się bardziej przeciera.

Dlatego przedewszystkiem „Na gruzach Grenady“ przeczytać trzeba. A książka napisana jest z taką pasją, z takim temperamentem pisarskim, że mimo pewne przeładowanie metaforycznością stylu, czyta się ją jednym tchem.

Co najteżsi ekonomiści z całego świata głowią się nad rozwiązaniem zagadnienia kryzysu gospodarczego. W Londynie obraduje międzynarodowy zjazd gospodarczy. Codzień prasa fachowa i niefachowa przynosi nowe projekty, propozycje, plany. Sprawa parytetu złota, sprawa waluty, sprawa barjer celnych, sprawa kosztów produkcji, sprawa długów, sprawa bezrobocia i tysiąc innych spraw, a na nie tysiąc środków, które spewnością pomogą. Ale już nikt w to nie werzy i nikt sobie wiele po tysiącnych projektach nie obiecuje. Rozplątywanie wężła coraz go tylko bardziej zaplątuje. Więc zaczyna się coraz szerzej upowszechniać świadomość, że tu już wszelkie półśrodki na nic, że sprawę można tylko załatwić radykalnie: rozcięciem wężła.

Ci, co długie lata wężel splątywali, nie kwapią się do tego. Chcieliby jeszcze próbować po staremu, po mądrym, a nie tak po barbarzyńsku. Ale już ich głos jest coraz słabszy i coraz niklejszy. Zaczyna natomiast wybijać się na plan pierwszy głos zwykłego, szarego człowieka. Tego, co dotąd milczał, przytłoczony uczonemi

wywodami ekonomistów, a nabrał odwagi i śmiałości, gdy fachowcy i spece w swoich mądrościach się zgubili.

Słowem: zaczynamy przychodzić do przekonania, że kiedy zawile dociekania zawodzą, to sygnał nieomylny, że trzeba rzeczy brać bardziej prosto, czyli, jak się to mówi, na zdrowy chłopski rozum. Gdy zaś uciec się do tej metody, od razu się sprawa rozjaśnia. Jakby z ciemnej, ślepej uliczki wyjść na przestronny, jasny plac. Odzyskujemy perspektywę. Potworny drapacz nieba z napisem: „Nowoczesne życie gospodarcze“ nie grąży nas już w swym cieniu. Widzimy go w całej okazałości, wspa- niałości i — grozie. Jeden rzut oka wystarczy, by wyrwać z ust okrzyk przerażenia: „Jezus Marja! Toż ten gmach stoi na trzęsawisku! Osiada się, chwieje i chyboce! Musi runąć i przysypać gruzami tych wszystkich, którzy zostali w ślepej uliczce!“

* * *

*

Życie ludzi z ludźmi, życie społeczne, dlatego tylko nie jest anarchją i rozbojem, że trzymają je w korbach zasady moralne. Wszelkie trwałe organizowanie społeczności polegać może jedynie na organizowaniu moralności społecznej. Ustrój zbiorowości tylko wówczas jest silny od wewnątrz, gdy jego pion jest pionem wyprowadzonym z duszy człowieka. Im dokładniej ten pion pokrywa się pionem moralnym, jaki każdy z nas nosi w sobie, tem ustrój lepszy, trwalszy i spoistszy. Każda zdrowa forma zbiorowości musi mieć na celu stworzenie egzekutywy dla poszanowania praw moralnych, dla obrony ich przed zamachami. To jej zadanie.

Na tej zasadzie zbudowana jest cała nasza cywilizacja. Nie znaczy to oczywiście, aby jej już udało się swe ideały zrealizować. Ale dąży do nich stale i ciągle. To świadome dążenie jest jej istotą i przenika wszelkie dziedziny życia zbiorowego.

Wszelkie — z wyjątkiem t. zw. spraw ekonomicznych. Jak i kiedy to się stało, że pewna niesłychanie doniosła dziedzina zdołała się wyłamać z pod ogólnych nakazów naszego życia zbiorowego, długo trzebaby wywozić. Odbywało się to powoli, niepostrzeżenie, aż wreszcie powstała przepaść. Przepaść, do której takeśmy nawykli, że przestaliśmy ją widzieć. Wielkokapitalistyczny ustrój zaczął się rządzić własnymi prawami, częstokroć diametralnie przeciwnymi z temi prawami, które równocześnie obowiązywały i obowiązują we wszystkich innych dziedzinach życia. Skołowani uczonemi wywodami ekonomistów, którzy świecili nam równocześnie w oczy lartarką ideałów dobrobytu, rzekomo osiągalnego tylko w atmosferze całkowitej wolności gospodarczej, daliśmy swoje *placet* na to, aby wśród nas i na naszych karkach wyrosła wszechpotężna organizacja, stosująca jako zasadę prawo wilcze.

* *

*

Gdy wielkomiejski kanciarz przybyłemu do stolicy kmiotkowi sprzeda „okazyjnie“ bezwartościowe szkiefka, wmówiwszy weń, że są to brylanty z carskiej korony — przychwycony wędruje w krótkim trybie do kryminału. Nikt niema wątpliwości, że jest to oszust i złodziej. Ale gdy właściciel terenów naftowych, przeprowadziwszy

głębokie wiercenia przekona się, że nafty na tych terenach niema, i nie powiedziawszy nic o tem, sprzeda te tereny jako naftodajne za grubą sumę następnemu — to taka transakcja nazywa się świetnie przeprowadzonym interesem.

Gdyby motorówka ratunkowa policji rzecznej, mająca za zadanie patrolować od mostu Poniatowskiego do mostu Kierbedzia, dostrzegłszy, że ktoś się topi, ratowała go tylko do mostu Kiebedzia i skoro nurt Wisły przeniosłby topiącego się poza przęsła, pozostawiła go własnemu losowi, bo poza most jej odpowiedzialność już nie sięga — nazwanoby to zbrodnią. Ale gdy kilku zamożnych panów założy przedsiębiorstwo, umówiwszy się, kto ile w to włoży i gdy to przedsiębiorstwo splajtuje, zarrwawszy szereg ludzi, na których spłacenie nie starczy kapitał zakładowy — to taka afery jest chroniona prawnie i nazywa się: spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Gdy kilku chłopców złoży swe groszowe oszczędności, aby wspólnie kupić piłkę, a dwaj, czy trzej najsilniejsi i najsprytniejsi zaanektują piłkę dla siebie, pozostałym chłopcom każąc się kontentować jej widokiem — to w taką sprawę wdają się rodzice, nie zaniedbują przetrzepać obiecującym latoroślom skórę, i smętnie kiwają głowami: co z nich wyrośnie! Gdy jednak kilku dorosłym przyjdzie pomysł założenia przedsiębiorstwa z groszowych wkładów rozagitowanych, szarych ludzi, i gdy to przedsiębiorstwo tak prowadzą, że zyski przepisują na siebie, a drobnym udziałowcom zostawiają łaskawie zaszczytne miano akcjonariuszy i figę — to taki proceder nazywa się: spółka akcyjna i jest jedną z głównych podstaw współczesnego wielkiego przemysłu.

Ojciec, który wygna z domu dzieci na głód i chłód, aby nie uszczuplać sobie wygod i dostatku, zasługuje na miano potwora. Znajomi i krewni usuwają się od niego, jak od zapowietrzonego. Pan dyrektor z kilkudziesięciotysięczną gażą, który jednym pociągnięciem pióra przeprowadza w swej firmie redukcję, wyrzucając na bruk setki robotników — pozostaje nadal człowiekiem szanowanym i poważanym.

Student, któremu nie chce się uczyć i który wklei ubogiemu koledze do indeksu swoją fotografię, aby za kilkadziesiąt złotych poszedł za niego składać egzamin — jest fałszerzem, tamten zaś drugi współnikiem fałszerstwa. Odbywanie służby wojskowej przez zastępcę również jest wzbronione i karalne. Ale jeśli jakiemuś walcowi, który odziedziczył majątek, zechce się latami wysiadywać beczynnie na Riwjerze, to może się wyręczać w gospodarstwie majątku kim innym. Nic w tem złego. Będzie się nazywał właścicielem ziemskim, a tamten drugi — administratorem. Pracować nie musi się osobiście — można przez zastępcę.

* *
*

— Marcinowa, ady pożyczcie mi trochę mąki, bo mi zabrakło. Jutro zarusieńko zrana wam oddam.

— A weźcie sobie, Józefowa. Szklanka wam wystarczy?

Wyobraźmy sobie, że nazajutrz przychodzi Józefowa oddać i powiada:

— Macie tu, Marcinowa, tę szklanekę mąki, com od was pożyczyła, a tu jeszcze szczyptę mąki za usługę.

Jakby się to Marcinowa za boki wzięła i rozwściekliła!
— Abo to ja żydówka? Abo to ja lichwiarka, żeby
profit ciągnąć z krześcijańskiej usługi?

Marcinowa nie uczyła się ekonomji. Marcinowa nie wie, że stare, średniowieczne pojęcie lichwy jest już zupełnie nienaukowe, że zastąpiło je pojęcie — godziwego procentu. Że procent pobierają już nietylko żydzi, ale wywalczyli sobie to prawo także chrześcijanie. Bo właśnie ekonomja oświeciła ich, że kapitał jest niezbędnym czynnikiem, aby powstał zysk, więc godziwą jest rzeczą pobierać od pożyczonego kapitału procenty. Lichwą nazywa się już tylko procent nadmierny.

A co to jest procent nadmierny? To procent wyższy, od procentu ustawowego. A jak się określa procent ustawowy? O, to bardzo skomplikowana historja, której już na chłopski rozum wyłożyć niesposób. Zawite potrzeby polityki dyskontowej banku emisyjnego. Od nich to zależy ustalenie granicy pomiędzy procentem godziwym, a lichwą. Granica ta jest zmienna. Jednego dnia dwanaście procent będzie lichwą, na drugi dzień ukaże się nowe rozporządzenie o wysokości stopy dyskontowej, i dwanaście procent zrobiło się procentem godziwym. Odrazu. Jednym rozporządzeniem granica została przesunięta, granica moralna — bo przecież lichwa jest czemś niemoralnem. I to tak sobie z dnia na dzień ta granica moralna się zmienia. Raz o kilka kreseczek w dół, raz o kilka kreseczek w górę. Taka jakaś dziwna, względna moralność, która zależy od potrzeb banku emisyjnego!

Nigdzie indziej takiej ruchomej skali moralności nie ma. Kradzież — to wiadomo, że kradzież. Nie ogłasza się, że od dnia 1-go lipca poniżej dwunastu złotych kraść wolno, a powyżej tej sumy idzie się za kradzież do kry-

minału. Ani tembardziej, że od 1-go lipca zabójstwo nożem długości dwunastu centymetrów jest dozwolone, a nożem większym karalne. W każdej dziedzinie wiadomo wyraźnie i niedwuznacznie: ten lub ów czyn jest niemoralny, niezależnie od stopnia. Niemoralny jest z samej swej istoty.

W „ciemnym“ średniowieczu każdy procent był uznawany za lichwę. „Mądre“ wieki nowożytne (Nowaczyński powiedziałby: nowożydne) wprowadziły podział na procent moralny i niemoralny, a stróżem i rozjemcą tej osobliwej, ruchomej moralności, uczyniły bank państwowy. Średniowiecze trzymało się zasady, że sam kapitał, kapitał bezczynny, nie przynosi zysku i niesłuszną rzeczą wydaje się pobieranie od jego wypożyczenia procentu. Wieki nowożytne odpowiedziały na to, że kapitał wraz z pracą daje zysk, a że praca bez kapitału poradzić sobie nie może, więc za jego użyteczność słuszną rzeczą wydaje się płacić. Ale ponieważ ta użyteczność jest różna w różnych wypadkach i wymierzanie jej byłoby kłopotliwe dla każdego wypadku z osobna — więc postanowiono ustalić miernik schematyczny, to zaś, że nie posiadający żadnego związku z zagadnieniem istotnej rentowności kapitału — to już bagatela. Te same siedem, dziesięć, czy dwanaście procent musi płacić ten, który stracił na sposobie użycia pożyczonego kapitału, jak i ten, który go potroił. Przecież według istniejących praw słusność, godziwość i moralność procentu zależna jest tylko od jego zgodności z obowiązującą w danej chwili stopą dyskontową... Od niczego więcej...



Trudno uwierzyć, aby ekonomiści swojemi debatami nad stopą dyskontową, parytetem złota i środkami ożywienia produkcji mogli choć odrobinkę rozplątać zasupłany przez nich samych węzeł kryzysu gospodarczego.

Rzecz ma charakter znacznie głębszy i bardziej zasadniczy. Walka o wyjście z kryzysu musi być walką o oparcie życia gospodarczego na zasadach moralności, o wtopienie go w ten sam system nakazów i obowiązków, który nami kieruje w wszystkich innych dziedzinach życia. Wilcze prawa, jakimi się kierował ustrój wielkokapitalistyczny, muszą być zastąpione przez prawa moralne. To jedyna droga.

W A L K I

Widowisko mieliśmy pierwszorzędne. Słynna walka kogutów jest pewnością wobec tego niczem. Furja zalewała mózgi, oczy łykały czerwono, piana toczyła się z warg — i groźnie trzeszczały pióra, maczane w atramencie. Protest sypał się za protestem, artykuł walił się za artykułem, ankieta goniła ankietę. Słowa grzmiały jak armaty, zdania huczały jak baterje artyleryjskie i wzbil się pod chmury wielki krzyk:

— Urra! Precz z nim! Na pohybel! Na latarnię! Won!

Wielka kruczata penclubistów, Z. A. D.-owców, pologne literacistów, wiadomościowców literackich, Słonimskich, Boyów, Kadenów. Hajże na Sopicę!

Cóż się takiego stało, u licha, że wszystkie szczupaki i karpie, a przy nich i pomniejsze płotki, pluszczące się w baseniku wzajemnej adoracji literackiej, taki nagle szum uczyniły rozgłośny?

Siedziało całe bractwo cicho, jak trusie, gdy oprychy wywlekły na glinianki jednego z pierwszych w literaturze naszej — Adolfa Nowaczyńskiego. Ani słówkeczka proteściku. Zarykiwali się ze śmiechu na bankiecie pen-

clubowym gdy sir John Galsworthy, kosztem polskiej godności, robił kiepskie dowcipy na temat dorożkarza warszawskiego. Ni pary z gęby nie puścili, gdy tenże Galsworthy, po powrocie do Anglii kropnął sobie artykuł, że korytarz pomorski powinni dostać Niemcy.

I nagle im się zebrało. Kupą, panowie, kupą, bo o nie-słychanie ważne rzeczy idzie! Literatura zagrożona!

Więc co się stało właściwie?

Pan Stanisław Michalski, dyrektor Funduszu Kultury Narodowej — powołał do życia Instytut Popierania Twórczości Literackiej.

Nie mam zamiaru kruszyć kopji w obronie p. Michalskiego. Ani on zapewne obrońców potrzebuje, bo mocno siedzi w majowym siodle, ani też mnieby to w głowie powstało. Nie jest na swem stanowisku bez winy. Nie raz i nie dwa można i trzeba było zaatakować jego autokratyczne widzimisię w różnych sprawach. Ale że atak — i to jaki atak — przyszedł właśnie wtedy, gdy p. Michalski stworzył Instytut Popierania Twórczości Literackiej — to już rzeczywiście było widowisko, godne kabaretu.

Zdawałoby się, że fakt powstania nowej instytucji powinien być raczej być powitany z radością w kołach literackich. A tu zerwała się burza protestów.

Na nic się zdały wyjaśnienia Artura Górskiego i prof. Stanisława Szobera, że Instytut nie jest jakimś nowym urzędem, ale organizacją społeczną. Kamień obraży pozostał, bo jak wiadomo, Instytut ma być subwencionowany przez Fundusz Kultury Narodowej, a to właśnie doprowadziło do białej gorączki klikę, przyzwyczajoną, że wszelkie pieniądze płynące ze skarbu państwa na literaturę, jej tylko celom powinny służyć.

A pieniążki te płyną kilkoma korytami. Osobno ciągnie się, ile się da, z Departamentu Kultury i Sztuki Ministerstwa Oświaty, osobno z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, osobno chciałoby się, także dla swoich, poćwiczyć Fundusz Kultury Narodowej.

Ten podkład dziadowania — jest właśnie najobrzydliwszy w kampanji, jaka toczyła się z zaciekłością na łamach prasy. Nie obrona zagrożonych dóbr moralnych, literatury, nie troska o jej poziom i przyszłość, ale ordynarne użeranie się o pieniądze porwało wszystkich na nogi.

Przy tej zaś okazji wypisywało się rzeczy tak uwłaczające godności stanu literackiego, tak głęboko zaprawione psychologją żebracką, tak pieśni dziadowskie z pod kościoła przypominające, że wstyd dojmujący ogarniał, gdy się to wszystko czytało.

A była to, niestety, nuta ciągle dźwięcząca w artykułach i notatkach, podpisywanych przez pierwsze w Polsce nazwiska literackie. I to takich właśnie ludzi, dla których piśmiennictwo nie jest bynajmniej macochą, ale zasobną matką, przyodziewającą jak się patrzy, na dostatnie życie dostarczającą środków, ba, na luksus nawet. Ci najgłośniej oburzali się, ci najgroźniej piorunowali i gromili Instytut, powołany przez p. Michalskiego.

„Pan Michalski przysłał nam profesorów — czytaliśmy w artykule Kadena-Bandrowskiego — którzy będą drobnymi groszkami odznaczali nasze prace. A tu tymczasem, gdy my w nędzy, przy tak skąpym warsztacie nie możemy się już utrzymać...”

A w innym miejscu:

„Współczesny młody i najmłodszy poeta polski (by nie umrzeć z głodu) pisze piosenki do kabaretów, albo właśnie — przy miera głodem”.

Otóż — czy żeby nie umrzeć z głodu — czy żeby dorobić się luksusowego samochodu? Czy w nędzy — czy też na stałych pensjach firm wydawniczych, z doskonałymi honorarjami autorskimi, z kilkudziesięciotysięcznymi tantjemami teatrów i kabaretów?

Wielki już czas skończyć z legendą o nędzy pisarskiej i gołych literatach, jeśli idzie o tych właśnie uprzywilejowanych, o tych należących do klik, a najhałaśliwiej żebrzących o wsparcie. Wystarczy przespacerować się do Ziemiańskiej i przyrzeć się doskonale zaokrąglonym rwarzom, ubraniom prosto z igły, beztroskim minom, z jakimi opowiada się najnowsze szmoncesy. Wystarczy zajrzeć do rachunków Ministerstwa Spraw Zagranicznych z sum, wydanych na „propagandę literacką“, wystarczy wynotować sobie nazwiska korzystających z stypendjów, posłyszeć o astronomicznych cyfrach tantjem wypłacanych przez teatry i teatryki, o honorarjach za artykuły, nowele, noweletki i książki.

Nie wszystkim oczywiście pisarzom współczesnym powodzi się tak bajątko. Iluż jest takich, u których bieda aż piszczy. Ale ci, niezdeprawowani nawykami brania jałmużny skąd się da, nie żebrzą, nie skamlą, nie obnoszą się ze swym prawdziwym niedostatkiem. Za dużo mają na to godności osobistej.

Jeśli Instytut Popierania Twórczości Literackiej powołany został dla niesienia pomocy w zamierzeniach wydawniczych takim właśnie pisarzom — a zapewniał o tem w odpowiedzi na ataki Artur Górski — to piękne będzie miał przed sobą zadanie. I to jest istotniejsza sprawa, niż rozdzieranie szat nad składem personalnym Instytutu, skompletowanym istotnie w sposób nienajfortunniejszy.

D O Ł O J U C Z O N Y J E !

Huczna i buńczuczna kruczata penclubistów na nieobronne bastjony Funduszu Kultury Narodowej, pomimo udziału autentycznych i możnych *colonel'ów* w opracowywaniu planu wojennego przy pół czarnej w Ziemiańskiej, wzięła wcale dokładnie w łeb i zadusiła się wyziewami własnego jadu. P. Michalski pozostał na stanowisku, nietknięty, nieruszony, mocniejszy niż przedtem, bo zbrojny w protest przeciwko atakowi, podpisany przez najprzedniejsze nazwiska nauki polskiej — zaś po harcownikach pióra, którzy walili weń pociskami gazów pachnących, pozostały stosy zadrukowanego papieru gazetowego z dokumentarycznymi wyznaniem, wystawiającami zdumiewające zaiste świadectwo poziomowi poniektórych luminarzy światka literackiego.

Wściekłość rozwiązała im języki i nieopatrznie obnażyli, co mają na wnętrzu.

Brrr!...

Nie podobna czytać tego bez wstrząsu obrzydzenia.

Ale zarazem — jakże pouczające są te wygadania się, będące samozdemaskowaniem obłądy!

— Ten Michalski, to on jest niebłaganadiożny, wysoki rządzie! — brzmiał główny argument.

Boy w „Kurjerze Porannym“:

„Pomyślcie: w obecnej chwili ostrych antagonizmów politycznych, w chwili, gdy tyle mówi się o despotyzmie, o terrorze, pan Michalski za pieniądze rządu organizuje jacejkę endecką i za pomocą subtelного statutu zastrzega jej na wiek wieków monopol popierania — publicznym głosem — twórczości literackiej“.

Słonimski w „Wiadomościach Literackich“:

„P. Michalski z całej swej mentalności, z wszystkich swoich poczynań i upodobań jest stuprocentowym endekiem. Zatrzasnął okienko i śmieje się w poplamiony atramentem kułak nie tylko ze znienawidzonych literatów, ale i ze swej wyższej władzy. Może sobie rząd zwalczać endeków. P. Michalski ich będzie popierał“.

P. Michalski spewnością się śmiał z tego podrzucania go endekom, jego, stuprocentowego jedyńkarza! I śmiał się najlepiej, bo na końcu. Nie w tem jednak rzecz — ale w metodzie utrącania, posługującej się takimi argumentami.

Tfu! Do policji politycznej, do defensywy, na kompanów Siczki, ale nie do literatury! Tam popłacają takie denuncjacyjki. Choćby nawet — fałszywe.

To jedna obrzydliwość. Plama nie do zmazania, nie do wytarcia, ohydna, wstrętna, paskudna. Tego jeszcze nigdy w Polsce nie było w dyskusji literackiej. Tego się nie zapomni.

Ale jeszcze nie było również nigdy w polskich tradycjach literackich takiej nienawiści do nauki i uczonych,

z jaką się zdemaskowali ci i owi pisarze w zaślepieniu walki polemicznej.

Na tym terenie dzierzył skolei prym Kaden-Bandrowski.

Do rady Instytutu Popierania Twórczości Literackiej powołano czterech literatów, oraz czterech badaczy literatury i języka. Wśród nich dwóch profesorów. Ta współpraca świata nauki ze światem literatury — o dziwo — rozjątrzyła przeciwników Instytutu najbardziej. Wymyślano im od gramatykarzy, z przekąsem pisano o „pp. profesorach“, aż wreszcie Kaden-Bandrowski sformułował tezę, którą da się ująć lapidarnie w dwóch słowach:

— Dołoj uczonej!

Teza dość osobliwie brzmiąca w ustach człowieka, mającego pretensję do tego, że jest współtwórcą kultury — ale niepodobna inaczej rozumieć jego słów:

„Nie pomogą tu panowie profesorowie, ani Akademia, ani p. Michalski swemi radami. Rad bowiem nie potrzeba tu żadnych. Na miły Bóg, jakież to uczony specjalista radził Mickiewiczowi pisać Dziady, któryż to zuczonych profesorów potrafi poprawiać Staffowi, czy Tetmajerowi ich wiersze, któryż to z gramatyków i jaki wpływ może wyrzucić na prozę dobrego prozatora?!“

Otóż Kaden-Bandrowski w zapale polemicznym przeczył drobny fakt — że właśnie sam Mickiewicz był... profesorem uniwersytetu i że profesorem uniwersytetu był również największy poeta polski doby poromantycznej — Jan Kasprówicz...

Zaś Boy, podkpiwujący sobie z Instytutu, w którym „pisarze byliby stale obficie rozcieńczeni badaczami i jeszcze oddani pod kuratelę pp. profesorów“ gładko przypomniał, że niedawno jeden z artykułów polemicz-

nych w sprawie Xawery Deybell podpisał, dla doczucia sobie powagi — „Dr. Tadeusz Boy-Żeleński, profesor Uniwersytetu w Poznaniu“, jako, iż kiedyś uniwersytet poznański ofiarował mu katedrę romanistyki...

Jak kiedy wygodniej...

U Boya zatem zwykły koziołek zamiłowanego ekwilibrysty, fiknięty ku ucieście gawiedzi — ale u Kadena-Bandrowskiego coś więcej — istotna, zaciepła, z głębi serca płynąca pogarda dla nauki i uczonych, idąca w parze z wvsokiem mniemaniem o sobie:

„Pisać umiemy i czytelników mamy i wiemy co pisać. Ale nie mamy za co pisać w tym biednym jeszcze kraju“.

Podobnie wysoką ocenę współczesności literackiej znajdujemy w artykule Goetla („Wiadomości Literackie“):

„A literatura? Cokolwiek sądzilibyśmy o niej, nigdy jeszcze nie była tak wspaniale rozległa, tak szeroko rozlana, tak związana z każdym przejawem bytu narodowego“.

Chwalebną rzeczą jest poczucie własnej wartości, ale jeszcze ponoć chwalebniejszą — skromność. Gdy zaś brak skromności łączy się z pogardą wszystkiego, poza własnym pępkiem — dobrych owoców wydać to nie może.

Dlatego wnioski, jakie wyciągnąć trzeba z wygadań się tych i owych naszych pisarzy w czasie polemiki o Instytut Literacki, do gorzkich skłaniają refleksyj. Przez pewien odłam naszej literatury, szczytacei się zawsze dotąd wysokoiężnością myśli i czcią dla nauki, idzie fala apoteozy nieuctwa, źródło swe biorąca z bezmyślnego samouwielbienia.

Z tym zarozumialskim obskurantyzmem trzeba będzie stoczyć walkę stanowczą. Tem bardziej stanowczą, im większe talenty pisarskie hołd składają bożkowi literatury, zagapionej tylko w siebie.

Było to w momencie największego powodzenia czerwonego dywanu-chodnika, wiodącego wśród szpaleru oleandrów i palm z Nowego Świata do jarzących się nastrojowemi lampkami sal wystawy Styków. Krytyka wyprawiała już Stykom bezlitośne cięgi w licznych recenzjach, kładąc raz przy razie, a równocześnie, gdzie się było obrócić, nawet wśród ludzi nigdy i nigdzie nie chodzących na wystawy i zupełnie nieinteresujących się malarstwem, co krok słyszało się o Stykach, o Ledzie, o portrecie Poli Negri i bajonkiem honorarjum za obraz, sprzedany do waszyngtońskiego Białego Domu.

I wtedy jakoś ukazał się kapitalny feljeton Boya: „Psychologia sukcesu“.

Boy, odkąd się zabrał do feljetowania o dziewicach konsystorskich i wybijania kapitału z piekła kobiet, odkąd stał się heroldem nowinkarstwa zapóźnionego o cały wiek, bo wywodzącego się gdzieś z pogłosów deklaracji praw człowieka i obywatela, tak jednak preparowanych, by przypadkiem z jakiejś brzeskiej okazji nie znalazły się w kolizji z radosnem ćwierkaniem ptaszków majowych,

sam odarł się z przywileju beznamiętnie rzeczowej oceny jego działalności pisarskiej. Konfratarzy i współklikowcy wynoszą go pod niebiosa z powodem i bez powodu, przeciwnicy, w ferworze polemicznych utarczek, mając przede wszystkim na względzie Boya-mędrca od siedmiu boleści, a nie Boya-świątelnego pisarza i tłumacza, którego tamten przesłonił, wałą weń jednostajnie, jak w bęben. Sam niedawno miałem okazję, z racji jego artykułu o „erze stanisławowskiej“, zalatującego nieprzyjemnie drugo-oddziałowemi argumentami politycznymi, skierować go z taką argumentacją tam, gdzie jej miejsce przyrodzone, bo w każdym razie nie w dyskusji literackiej.

Ale to zupełnie nie przeszkadza, aby stwierdziwszy tamten fakt i załatwiwszy się z nim, jak na to zasługiwał, nie zachwycić się feljtonem Boya o Stykach. To jest rodzaj, w którym Boy jest mistrzem nad mistrze: szkice z dawnych lat Krakowa, z owych czasów cyganerii, wniesionej przez Przybyszewskiego, witrażów Wyspiańskiego, wierszy Tetmajera, malunków drugiego Tetmajera, weseliska Rydla w Bronowicach, jamy michalikowej, Zielonego Baloniku, no i... wyprawy Styki na barbakan.

Z feljtonu Boya postać starego Jana Styki wyłania się wyraziściej, plastyczniej i — sympatyczniej, niż choćby z wycackanego portretu, malowanego przez syna, a na honorowem miejscu zawieszzonego na wystawie. Wyłania się pyszny typ tego, co go współtowarzysze palety stale zwali pacykarzem, a który umiał i Paryż zawojować i jedyń z Polaków trafić do królewskiej Akademji św. Łukasza w Rzymie i willę sobie na Capri z pracy pędzlem wystawić i obu synów na równie wziętych malarzy wykierować. „To był typ! — powiada Boy. — Już tacy się nie rodzą“. I zastrzega: „Niech tylko nikt nie przypu-

szcza, że Styka sobie na zimno kombinował to wszystko. Nie, on taki był, z bożej łaski“.

Uściskać chciałoby się tego Stykę z feljetonu Boya, jak miałoby się ochotę uściskać, gdyby się wśród nas zjawiał, sienkiewiczowskiego Zagłobę, z którym zresztą Boy porównuje mistrza Jana w ostatnich zdaniach swego szkicu.

Typ więc w feljetonie Boya wskrzeszony został majstersko. Może tam jeden i drugi szczegół nie ostałby się pod skalpelem ścisłych badań historycznych, może jedna i druga facecja trochę boleśnie godzi w pamięć Styki — ale roztapia się to wszystko w prawdzie sympatją podmalowanej sylwety ogólnej, w prawdzie nastroju czasów i środowiska.

Tylko niema w feljetonie Boya tego, co zapowiadał tytuł: wyjaśnienia na przykładzie Styki psychologii sukcesu. Te i owe napomknięcia o pracowni paryskiej po Puvis le Chavannes, czy o zręcznie inspirowanych notatkach w prasie i towarzyskich podbojach Styki, nie mogą wyczerpywać sprawy, ani jej nawet tłumaczyć. Niebardzo zresztą o to Boyowi chodziło — w tytule feljetonu raczej się zagalopował, w treści dał co innego, ale zrobił to fascynująco.

Próbkę psychologicznego rozwikłania problemu podjął skolei prof. Władysław Witwicki, odpowiadając na feljeton Boya broszurą p. t. „O pewnej psychologii sukcesu“.

Broszura nosi charakter polemiczny i jest skrzyżowaniem szpady z Boyem. Pojedynek dwu takich szermierzy — to niebylejaka sensacja literacka. W szrankach stanęli przeciwnicy, którzy na tym samym odcinku pracy twórczej zdobyli złote ostrogi w piśmiennictwie. Boy,

nieporównany tłumacz literatury francuskiej i Witwicki, nieporównany tłumacz Platona. Przekłady platońskie Witwickiego, podobnie jak przekłady francuskich mistrzów Boya, to dzieło najwyższym polotem twórczym owiane, które snadnie stałoby się ozdobą każdej wielkiej literatury współczesnej. Witwicki jednak, mniej może jest sławny w szerokich kołach, potroszę dlatego, że temat jego przekładów, choć wspaniale udostępniony jego właśnie tłumaczeniem, mniej jest popularny, a potroszę i z powodów, które byłyby również przyczynkiem do... psychologii sukcesu. Pokrewieństw między rodzajami literackimi, uprawianymi przez nich obu, można zresztą naliczyć więcej. Choćby wstępy do dzieł Platona Witwickiego porównać z „Ludźmi żywymi“ i wstępem do dzieł mickiewiczowskich Boya.

Toteż świetną broszurę polemiczną Witwickiego czyta się jednym tchem, podobnie, jak się czytało feljeton Boya. **Lekkość i mistrzostwo formy idzie tu w parze z maskowaniem zręcznie morderczemi sztychami.**

Broszura Witwickiego jest obroną Styków. Plantuje więc Witwicki Boya za te wszystkie wysoki w szkicowaniu sylwety starego Jana Styki, które ranią pamięć o zmarłym, przeceniając może ich bolesność, a nie doceniając, że one właśnie składały się na blask literacki feljetonu, że one właśnie sylwetę tę czyniły wyrazistą i żywą. Wytyka pewne niekonsekwencje, prostuje to i owo, rzuca nowe światło na podkreśloną przez Boya dwoistość tematycznej strony malarstwa Jana Styki, rozkraczanego pomiędzy panoramy religijno-patriotyczne i rozigrane akty greckich bachantek. To nie był chłodny obłudnik — powiada — ale taki jak był, był szczery, co zresztą i Boy przyznaje. „Bujny temperament i gorąca

wiara zarazem nie muszą się wcale ani wykluczać, ani dawać w połączeniu obłudnika“. Styka „widział siebie samego równie szczerze u stóp Marji błogosławiącej, na uczcie u króla Feaków i w orszaku króla Witolda“.

Ten rys szczerości, silniej uwydatniony, zbliża nam jeszcze Stykę, już i tak (wbrew wątpliwościom Witwickiego) sympatycznego z wizerunku Boya.

To jedna strona zagadnienia. Jan Styka, jako typ i człowiek. A teraz druga — Styka i jego synowie jako malarze.

Boy powiada krótko, że wśród malarzy uchodził Styka za pacykarza, o jego zaś „Polonji“ wyraża się jako o „straszliwym bohomazie“. Witwicki powiada o „Polonji“ — podkreślając to rozstrzelonym drukiem — że był to obraz „d o b r z e m a l o w a n y“.

Rozbieżność napozór olbrzymia — w istocie nie tak znaczna, jakby się zdawało. W szczegółach, z punktu widzenia wyliczanych przez Witwickiego kryterjów fachowych, nie była „Polonja“ namalowana źle, choć można jej zarzucić i pod tym względem usterki, np. w perspektywie. Ale mimo niezgorszej roboty malarskiej, w całości, jako koncepcja artystyczna jest „Polonja“ czemś nie do zniesienia — i jest tem nietylko dziś, ale i była wówczas, gdy powstała. Elementy czysto formalne nie tworzą jeszcze dzieła malarskiego, jak i elementy czysto stylistyczne nie tworzą literatury.

Witwicki zdaje sobie z tego chyba doskonale sprawę, choć tego dość wyraźnie nie mówi, skoro dla usprawiedliwienia koncepcji artystycznej „Polonji“ porównuje założenie tego obrazu do zadań, spełnianych dziś przez reżyserów filmowych, a panoramę Styki „Golgota“ porównuje wprost do filmów religijnych Cecila de Mille.

To porównanie jest bodaj uderzeniem w sedno psychologii sukcesu Styków, choć Witwicki rzuca je mimochodem, zaś powodzenie ostatniej wystawy próbuje uzasadnić obszernie dwoma innymi momentami: realizmem obrazów i interesującymi tematami. Dyskusja nad tem, czy realizm (rozumiany przez Witwickiego raczej jako naturalizm) istotnie jest jedyną stałą i prawdziwą wartością w malarstwie, a wszystkie inne sposoby ujmowania są przelotnymi modami, co ryzykownie przemycy Witwicki, zaprowadziłaby nas zdaleko. Utrzymać się to twierdzenie nie da — choćby nawet za Witwickim sięgać do epoki czwartorzędowej w poszukiwaniach.

Wróćmy więc tym razem do owego Cecila de Mille'a.

Rozmawiałem niedawno z pewnym fachowcem t. zw. branży filmowej. Oświecił mnie on, że w „branży“ dzieli się filmy na dwie kategorie: filmów handlowych, t. j. tych, które mają wzięcie u publiczności, bo są robione pod kątem widzenia popularnych gustów, i filmów artystycznych, które widziane są przez przedsiębiorców kiniarskich niechętnym okiem, bo muszą sobie dopiero wyrabiać publiczność. Filmy Cecila de Mille'a należą do kategorii handlowej, choć są bezwątpienia zrobione mistrzowsko i przerastają o niebo, np. polskie przeróbki filmowe „Trędowatej“ Mniszkówny, czy „Iwonki“ Germana.

Coś podobnego jest z malarstwem Styków. Że i Jan i obaj jego synowie umieją malować, to nie może ulegać wątpliwości, jeśli chce się ich oceniać bez uprzedzeń. Że przerastają o niebo Setkowiczów, Korpaków i innych popularnych fabrykantów „artystycznych“ widowek — to także pewne. Że jednak zaliczają się do malarstwa handlowego, a nie artystycznego — użyjmy tej analogii z filmu — to także niewątpliwe. Tacy już są w tem, co

stanowi duszę obrazu i co nie da się ściśle wymierzyć kryterjami perspektywy, anatomji plastycznej, światła, cieni i t. d. Czy są takimi świadomie, czy są efekciarzami z wyrachowania, czy celowo schlebiają popularnym gustom publiczności? Nie podjąłbym się dać na to odpowiedzi — a zresztą byłyby to dociekania bezprzedmiotowe.

Nawet German uważa się pewnością za szczerego i bezkompromisowego artystę pióra...

Skargi i utyskiwania na zanik czytelnictwa w Polsce stają się coraz głośniejsze. Wydawcy, niczem pod murem placzu, zaintonowali unisono i jęcządo żałośliwie elegje, w publicystyce raz po raz grzmią rozpaczliwe wołania: Cofa się kultura! Ludzie nie chcą czytać! Książki obra- stają na półkach księgarskich pajęczyną, albo wędrują do kosztów ulicznych, gdzie moknąc na deszczu i żółknąc od słońca, najczęściej — również daremnie — oczekują li- tości przechodnia. Potrzeba książki zamiera...

Kto temu winien? Na to odpowiedź jest gotowa. Oczy- wiście kryzys, który z zasady wszystkiemu jest winien, co tylko złego można pomyśleć. A pozatem — tę litanję znamy już także na pamięć — winien jest oczywiście po- wojenny czytelnik, rozdancingowany, zarażony bakcylem kina, dyskusujący o rekordach Nurmiego, słowem głupi, niekulturalny, powojenny czytelnik, który czyta conaj- wyżej nagłówki na pierwszej stronie gazety. Skolei na- stępuje motyw lirycznych wspominków dawnych, dob- rych czasów. Coś w ten sens: Przed wojną, och, panie dobrodzieju, to było zupełnie inaczej! Ukazanie się nowej

książki wybitnego pisarza, stawało się wydarzeniem dnia. Dyskutowało się o książkach po kawiarniach, fajfach i wieczorynkach, kto nie orjentował się bystro w współczesnej literaturze, znajdował się poprostu poza możliwością towarzyskiej rozmowy. Były czasy!...

Jak to tam było naprawdę w tych legendarnych, przedwojennych czasach, z oddalenia sentymentem wypromienianych, możnaby spróbować ustalić na zimno, i możeby się okazało, że nie całkiem tak, ale trochę inaczej. Mniejsza jednak z tem. Tym razem trzeba podjąć obronę czytelnika powojennego, który — prawda — lubi sobie czasem bryknąć do dancingu, i dobry film w kinie zobaczyć, i przyjrzeć się zawodom sportowym, ale znów od książki tak bardzo nie stroniłby, jak jest o to pomawiany, gdyby go systematycznie, krok za krokiem, nie zrażano do czytania.

Widok rozdzierania szat przez wydawców, bolejących nad upadkiem czytelnictwa, nie jest mnie w stanie ani wzruszyć, ani rozczulić. Przez dziesięć lat dokładali oni wszystkich starań, by polską książkę skompromitować. Byle grafoman, byle zawiedziona w miłości paniusia, która poczuła w sobie wolę bożą psucia papieru i atramentu — a już znajdowali nakładców i okazję wdzięczenia się do czytelnika swem nazwiskiem z kolorowej okładki. W dziedzinie wydawniczej przestały właściwie u nas istnieć jakiegokolwiek kryterja literackie. Przez długie, długie lata powojennej *prosperity* księgarskiej, wydawało się niemal wszystko, co zostało napisane. Rozmnożone, jak grzyby po deszczu nowe firmy wydawnicze, wprost zalewały rynek swą hurtową produkcją, aby zaspokoić głód czytelniczy, jaki powstał po okresie wojennego zastoju. Jaki tylko rękopis udało się nabyć za psie

pieniądze, co tylko udało się jeszcze taniej przetłumaczyć z obcych języków — już oblekało się w książkę.

Stare firmy wydawnicze, wśród szalejącej wokół inflacji drukowanego słowa, również straciły linję. Zrazu trzymały się swoich dawnych, pewnych, wypróbowanych autorów, ale gdy generacja przedwojennych pisarzy zaczęła się coraz bardziej kurczyć, trzebiona śmiercią — nie umiały się zorientować w masie nowych, nieznanych nazwisk. Wystarczy przejrzeć katalogi tych firm, aby stwierdzić, że obok nazwisk wybitnych pisarzy nie brak tam również nazwisk notorycznych grafomanów.

W tym chaosie czytelnik stracił zupełnie orientację. Wprzód zniechęcił się do t. zw. taniej książki masowo produkowanej przez nowe wydawnictwa. Spróbował wrócić do starych firm, i znów się poparzył. Przekonał się rychło, że firma księgarska przestała już być gwarancją poziomu literackiego książki. Więc gdzie znaleźć drogowskaz?

Krytyka...

Tak jest. Krytyka literacka to obok wydawców druga winowajczyni chaosu. Nie umiała się zdobyć na próbę hierarchji współczesnych pisarzy, ograniczyła się do bardzo może metodycznych i wnikliwych ocen poszczególnych książek, sumiennego notowania ich zalet i wad, ale w ten sposób konstruowanego, jakby każda z tych książek istniała na świecie sama jedna. Bez porównań, zestawień, układania skali. Z taką samą powagą rozprawia się o powieści czwartorzędnego producenta książek, jak o dziele czołowego pisarza. Brak zupełny choćby krótkich monograficznych opracowań twórczości poszczególnych pisarzy, któreby zwracały na nich uwagę, wyróżniały ich z szarej masy. Nie ma szkiców syntetycznych, ogar-

niających powojenne dwunastolecie polskiej literatury. Te bowiem próby charakterystyk całego okresu, które są (Kołaczkowski, doczepiona do „Literatury“ Feldmana i Grabowskiego w wydawnictwie Trzaski „Polska“), świadczą tylko, że autorzy pośpiesznych opracowań nie zadali sobie nawet sami trudu przestudjowania tematu, o którym chcą wykładać czytelnikowi.

W tych warunkach, gdy wydawcy uprawiają politykę inflacji książki, a krytyka nie umiała wytworzyć wśród zagubionych w chaosie czytelników poczucia hierarchji literackiej, trudno się dziwić, że pisarze musieli jąć się samoobrony. Nie chcąc zginąć w szarzyźnie wielości nazwisk, zaczęli się łączyć w grupy, najczęściej związane nie żadną wspólnością idei, ale prosto wspólnością interesu wzajemnej reklamy. Historia powstawania w ostatnich czasach nowych pism literackich da się sprowadzić bardzo wyraźnie do tego właśnie momentu. Każde takie pismo opiera się o grupę, czy grupkę swoich, których popiera i lansuje. Byłby to może pewien sposób dokonywania się selekcji przez grupy, gdyby równocześnie każda taka grupa nie uważała za swój elementarny obowiązek odsądzać od czci i wiary czołowych przedstawicieli grupy konkurencyjnej. Powstaje stąd sytuacja, w której jeden i ten sam pisarz jest w pewnym kole pasowany na wielkość i chlubę współczesnej literatury, a w innym kole traktowany jako dureń, błazen i szkodnik. Augurzy, w prywatnych rozmowach między sobą, nie posuwają się oczywiście do takich krańcowości sądów, otumanieni wyznawcy grupy wierzą na słowo i oczywiście utworów „błazna i durnia“ nie czytają — a szeroko publiczność, owi czytelnicy, na których zanikanie tyle jest skarg, zdezorjentowani pogłoskami diametralnie przeciwnych ocen,

wolą... pójść do kina, lub na zawody tenisowe o puchar Davisa.

Jest u nas w ostatnich czasach rzeczą niesłychanie rzadką, by jakaś wartościowa książka zdołała wypłynąć z powodzi wydawniczej, wydzwignąć się z równinnych ocen krytyki, przebić przez fronty zwalczających się grup, przełamać zasieki przemilczeń i ominąć wilcze doły lekceważenia.

Spośród trzech najwybitniejszych utworów beletrystycznych 1931-go roku, a mianowicie „Bogumiła i Barbary“ Dąbrowskiej, „Roku 1863“ Wołoszynowskiego i powieści o Szeli („Bez nieba i bez ziemi“) Szpotańskiego — tylko epopeja rodziny Niechciców Dąbrowskiej miała szczęście wytworzyć koło siebie aurę powszechnego zainteresowania i uznania. A tak mi się coś zdaje, że była to sprawa nietylko wybitnych walorów artystycznych utworu — ale bodaj przedewszystkiem monumentalnego zakresu epopei, czem powieść Dąbrowskiej odróżniła się od innych, zwróciła na siebie uwagę i wtedy dopiero podbiła opinię swą wartością literacką.

Nie można winić społeczeństwa o niechęć czytania, gdy wytworzyły się stosunki, wśród których wybitna książka potrzebuje jeszcze szczęśliwego zbiegu okoliczności, aby się o jej istnieniu powszechnie dowiedziano. Ci, którzy najwięcej narzekają na upadek czytelnictwa, a więc wydawcy, winni zaśmieszenia rynku księgarskiego i krytycy, ponoszący winę nieuporządkowania śmietnika, miast oskarżać i biadać, niech się raczej gruchną w piersi i powiedzą sobie: *Medice cura te ipsum!*

TAJEMNICA ŚMIERCI MICKIEWICZA.

Ogłoszona świeżo w „Ruchu Literackim“ (VI. 1932) nieznaną relacją płk. Bednarczyka o śmierci Adama Mickiewicza, uczyniła aktualnemi roztrząsania na ten temat. Rozpoczął, jak wiadomo, dyskusję Boy-Żeleński, ogłaszając w „Wiadomościach Literackich“ (Nr. 453) hipotezę, że Mickiewicz został otruty. Hipoteza to zresztą nie nowa, jak wynika choćby z relacji Bednarczyka, który wspomina, że „gawiedź stambulska Polaka, dr. Drozdowskiego oskarżyła o strucie Mickiewicza“. Pogłoski te powtarzały się i później. Przeciwno jednej z nich protestował Władysław Mickiewicz w liście otwartym, przypominanym teraz przez Z. Wasilewskiego („Myśl Narodowa“ Nr. 39, 1932).

Boy jednak posunął się dalej, niż dotychczasowe pogłoski, bo wyraził przypuszczenie, ubrane w formę dość kategoryczną, że Mickiewicz został struty „za sprawą jednej z wybitnych figur emigracyjnych“ i to spowodu formowania przez niego legjonu żydowskiego. Myśl tę zaś nasunęła Boyowi lektura broszury d-ra Romana Brandstaettera: „Legjon żydowski Adama Mickiewicza“.

Z dyskusji prasowej, jaka rozgorzała wokół tej sprawy, można by złożyć sporą broszurkę. Nie od rzeczy więc będzie usystematyzować najważniejsze momenty, podsumować co już zostało wyjaśnione i co pozostaje do wyjaśnienia.

CZY UMARŁ NA CHOLERĘ?

Pierwszym pytaniem, jakie trzeba sobie postawić jest, czy przyjmowana dotąd za prawdziwą wiadomość, że Mickiewicz umarł na cholere, jest dostatecznie udowodniona i udokumentowana.

Stanisław Szpotański w „Kurjerze Warszawskim“ oświadczył, że „w istnienie dokumentów otrucia Mickiewicza, ani w otruciu to nie wierzy“. Postawienie sprawy na gruncie wiary przecina oczywiście możliwość dyskusji. Znacznie ostrożniejsze i racjonalniejsze stanowisko zajął Zygmunt Wasilewski w „Myśli Narodowej“.

W dwóch kolejno artykułach wypowiedział on pogląd, że istotnie nie ma dostatecznych dowodów na to, aby twierdzić, że Mickiewicz umarł na cholere. Nie jest wykluczone, że został otruty. Są wokół śmierci Mickiewicza pewne momenty zagadkowe.

Jak się ta sprawa przedstawia?

Sekcja zwłok nie była dokonana, rzekomo na żądanie przedśmiertne samego Mickiewicza, wyrażone wobec Służalskiego i Levy'ego. Wasilewski cytuje list ówczesny Ludwika Gropplerowej, w którym znajdują się słowa:

„Wiedzieć nawet trudno, czy to rzeczywiście cholera była, bo zupełnie nie czerniał. Nadzwyczaj krótko trwała a tembardziej dziwne, że w mieście jej nie ma“.

Nie pozbawiony jest pewnej pikanterji fakt, że ów

list Gropplerowej, wydrukowany w drugim wydaniu książki Kallenbacha o Mickiewiczu, już w trzecim i czwartym wydaniu został przez autora pominięty.

Skąd się więc wzięła diagnoza, że Mickiewicz umarł na cholere?

Wiemy z relacji Bednarczyka, że pierwszy postawił ją dr. Dębicki, vel Gembicki i to na niewidzianego, bo zaledwie Bednarczyk przyszedł do niego i opowiedział mu symptoma choroby, ten zawołał odrazu: „Jest to cholera najgwałtowniejsza, na którą mąż ten zapadł i ratunku dla niego niema“. Diagnozę tę potwierdził potem po obejrzeniu chorego, a zgodził się na nią drugi lekarz, zawezwany do Mickiewicza później, mianowicie dr. Drozdowski.

Jaki był autorytet tych lekarzy?

W liście Gropplerowej czytamy o Dębickim vel Gembickim (z domu Rosenstrauch), że był to „dentysta, pedykur z Warszawy“. Szpotański dodaje o Gembickim, że „miał opinię bardzo nieszczególną, dość powiedzieć, że był podejrzewany o szpiegostwo na rzecz Rosji“. O dr. Drozdowskim pisze Gropplerowa w liście: „kaimak osielstwa medycznego, zasługujący, aby go w ilustracji przedstawić“. Ci dwaj wydali orzeczenie, że Mickiewicz umarł na cholere...

Toteż dokumenty, na jakie powołuje się dr. Brandstaetter w „Naszym Przeglądzie“ (28.VIII. 1932), a mianowicie: 1) relacja lekarza poselstwa francuskiego w Konstantynopolu o śmierci Mickiewicza na cholere; 2) relacja konsiljum lekarzy francuskich w Konstantynopolu w sprawie przedsięwzięcia środków dezynfekcyjno-zapobiegawczych na wypadek przewiezienia zwłok poety do Paryża; 3) relacja Levy'ego o trudnościach połączonych

z wydaniem pozwolenia na przewóz zwłok, ze względu na obawę zawleczenia cholery do Paryża, i t. d. — nie mają żadnego znaczenia. Są to już relacje z drugiej ręki, oparty na diagnozie tamtych lekarzy, którą przyjęto bez sprawdzenia.

DWIE FAZY CHOROBY.

Gropplerowa, wyrażając wątpliwość, czy Mickiewicz umarł na cholere, dziwi się, że cholera tak krótko trwała, i stwierdza, że w mieście cholery nie było. To samo twierdzi relacja Bolesława Sawiczewskiego, ogłoszona w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym“ (31.VIII 1932). Czytamy w niej:

„Mniemanie, jakoby Mickiewicz umarł na cholere, jest błędne, gdyż w tym czasie cholery w wojsku i w okolicy nie było, a przypuściwszy już ten fakt, zachodzi pytanie, czy jest możliwem, ażeby mógł przez 18 dni na cholere chorować?“

Między obu więc relacjami panuje zgoda co do tego, że nie było epidemji, a zasadnicza rozbieżność co do czasu trwania choroby Mickiewicza.

Czem to się tłumaczy?

Aby to zrozumieć, trzeba wyjaśnić, że choroba Mickiewicza miała dwie fazy. Rozpoczęła się jeszcze z końcem października 1855 r., później zdawało się, że Mickiewicz już wyzdrowiał, gdy 26 listopada po krótkim ataku nagle zmarł.

Początki choroby nawiązują wszystkie relacje do pobytu Mickiewicza w obozie Sadyka Paszy (Czaykowskiego) w Burgas. Według relacji Sawiczewskiego („I. K. C.“), dogodził Mickiewiczowi wikt w obozie, o *menu* istotnie fantastycznym:

„Podano przeswędzoną kiepską baraninę, niesłychanie tłu-

sto przyprawioną, następnie bigos z kapustą z dzika, dobrze wprawdzie sporządzony, ale tak tłusty, pieprzny i paprykowany, że tylko nasze młode żołądki wojskowe mogły go zaledwie strawić. Bigos polany jeszcze tamtejszem mocnem winem, mógł łatwo zaszkodzić starszemu i delikatnemu organizmowi Mickiewicza. Nazajutrz wstał Adam z bólem głowy i narzekał na niestrawność, jak mówił „jakgdyby mu kamień leżał w żołądku“.

Nazajutrz, według opisu Sawiczewskiego odbyło się śniadanie, na którym:

„dominowała wódka, a z przekąsek głównie „pasterna“, t. j. mięso kozie, suszone oliwki marynowane, jakaś ryba suszona i t. p. O godz. 6 wieczorem podano znów obiad, rozpoczęty wódką i barszczem tak kwaśnym, że wargi Mickiewicza — jak pisze Sawiczewski — pobieleły. Skarżył się więc: „A to barszcz kwaśny!“ W barszczu były różne kawałki mięsa, przeważnie tłustej baraniny, a w braku kielbasy, stare włoskie salami, lecz tak niedobre, że ja nie jadłem. Następnie kotlety baranie i bigos odgrzewany z dnia poprzedniego, potem pieczeń barania, wreszcie jakieś ciastka, które robiły efekt gliny, w końcu podano winogrona“.

Na drugi dzień Mickiewicz obóz opuścił, ciężko chory. Pisze Sawiczewski:

„Po kilkunastu dniach doszła nas smutna wiadomość, że wieszcz nasz już nie żyje. Wszyscy podzielaliśmy jednomyślnie zdanie, że Sadyk Pasza Mickiewiczowi dogodził temi niestrawnemi potrawami, gdyż — o ile wiedzieliśmy — Mickiewicz miał słaby żołądek“.

Sam Czaykowski, którego musiały te słuchy dojść, w pamiętnikach swoich (cytowanych przez St. Łukasika, „Wiad. Lit.“ Nr. 455) inaczej sprawę przedstawia:

„Adam Mickiewicz czuł już lekkie niedomaganie, i jego towarzysz i przyjaciel Służalski, chcąc przerwać radykalnie chorobę, kazał usmażyć mu tłustą kaczkę w sosie kiszzonej kapusty, a jako napój podano mu flaszkę starego miodu. Po zjedzeniu i wypiciu tego bohaterskiego lekarstwa, które Służalski nazywał kozackiem lekarstwem, nastąpił piorunujący atak cholery, który

zakończył się po kilku godzinach śmiercią naszego poety narodowego, wieczystej chwały narodu“...

Ale w rzeczywistości, ani tłusta kaczką, ani zepsuta kiełbasa nie przyprawiły Mickiewicza o tę chorobę, z której zmarł. Po powrocie z obozu w Burgas zachorował Mickiewicz na czerwonkę, o czym wiemy z listu dra Drozdowskiego do Zwierkowskiego (21.XII. 1855) nieopublikowanym dotąd w obecnej dyskusji. Brzmi on:

„Z Burgas jak powrócił był zawsze smutnym... był także chorym, nawet i mocno, bo miał dysenterję, która jego nadzwyczajnie osłabiła — mieszkał u mnie jeszcze po powrocie przez dni 15, był zupełnie zdrow, chodził już na piechotę do Beszycharz, potem znaleźli, że mieszkanie u mnie było za szczupłe, bo w istocie dla jednego było dostateczne, ale nie dla trzech. Wzięli mieszkanie w nędznym bardzo miejscu i odległym, stołowali się w jakichś tam gargotach. Mówiłem Służalskiemu i temu żydowi, który był z nim, że to mieszkanie b. niezdrowe, ale Służalski mi powiedział, że p. Adam to mieszkanie bardzo lubi i inszego niechce...“.

Więc wyzdrowiał, a potem nagle powtórnie zachorował. Donosi o tem dr. Drozdowski w liście do Hotelu Lambert (29.XI. 1855):

„Adam Mickiewicz skończył życie 26-go o godz. 9-tej wieczorem; zasnął o godzinie 6 ranoj na cholere — mnie dano znać o godzinie 7 wieczorem i jakem przybył, już znalazłem bez żadnej nadziei...“.

Ta nagła cholera, która zjawia się jakby recydywa... czerwonki, wygląda dziwnie.

Ale na wszystkie te tematy w sposób miarodajny mogą się wypowiedzieć tylko lekarze.

Redakcji „ABC“ (4.IX. 1932) udało się zdobyć taką opinię lekarską, którą przytaczam poniżej w dosłownem brzmieniu. Opinia ta pochodziła według zapewnień redakcji od „jednego z wybitnych lekarzy warszawskich,

który zastrzegł sobie narazie ujawnianie swego nazwiska“ i została spisana przez p. P. G.:

OPINJA LEKARZA.

„— Znam dość dokładnie sprawę, o której pan mówi — odparł lekarz po wyjaśnieniu celu naszej wizyty — będą mimo to zadawał panu pytania.

— Obym mógł panu doktorowi na wszystko odpowiedzieć!

— Ustalmy wpieryw fakty najważniejsze. Kiedy Mickiewicz zachorował?

— To wiemy dokładnie. Zasłabł nagle 26 listopada 1855 r. około godz. 6 rano, w nadwyraz skromnem i niehigienicznem mieszkaniu, które zajmował wraz ze Służalskim i Levy'm.

— O której godzinie zakończył życie?

— Stało się to o trzy kwadranse na 9 wieczór tegoż dnia.

— Czyli, że śmierć nastąpiła prawie po 15 godzinach. Jakie były pierwsze objawy choroby? — zbierał dalej anamnezę lekarz.

— Około 6 rano dostał Mickiewicz napadu młodości i wymiotów. Począł się później ubierać. Czuł się jednak zbyt osłabiony i pozostał w łóżku.

— Już ten pierwszy bardzo ważny objaw chorobowy — przerwał doktor — zanalizować możemy dwojako: Jeżeli przyjmemy, iż ma się tu do czynienia z otruciem, przyczem bierzemy pod uwagę (z przyczyn, o których powiem później) jedynie tylko możliwość zatrucia arsenikiem, to przedewszystkiem musimy stwierdzić, że zbrodnicze podanie trucizny nie mogło nastąpić ubiegłego wieczoru, tylko rano 26 listopada. Odpadną więc domysły niektórych osób o otruciu Mickiewicza w czasie obiadu lub śniadania w dniu poprzedzającym zgon. Objawy zatrucia występują bowiem w ciągu 1 do 3 godzin po zażyciu arsenu, przyczem wystarczy dawka jednej lub dwóch dziesiątych grama. Wniosek stąd wypływa taki: jeżeli Mickiewicza otruto, to musiano dokonać tego w domu, czyli sprawcą mógł być tylko Levy lub Służalski.

— Służalski — poprawiłem. — Jakże jednak mogło się to stać?

— Poprostu — odparł doktor. — Arsenik, jak może panu wiadomo, niema ani smaku, ani zapachu, mógł być podany np. w szklance wody. Zażyty zaś naczczo, na pusty żołądek, wywołuje objawy zatrucia już po kilku minutach. Mickiewicz mógł więc po przebudzeniu wypić podaną mu, lub przygotowaną uprzednio szklankę wody z trucizną. Niebawem nastąpiły nudności i bóle żołądka. Typowe objawy otrucia arsenikiem, lecz zarazem typowe objawy cholery. Brak tylko do wyraźnego obrazu klinicznego, występującego przy zatrucia arsenikiem jednego objawu, t. j. uczucia palenia lub drapania w przelyku i gardzieli. Być może jednak, że relacje nam tego nie przekazały. Cóż się stało następnie?

— Około 10 rano przyszedł do Mickiewicza płk. Bednarczyk. Zastał poetę w łóżku osłabionego i znużonego, rozmawiającego zrazu z podpłk. Kuczyńskim. Później poeta usnął. O godz. 11.30 wyszli z domu wszyscy z wyjątkiem płk. Bednarczyka.

— Znam jego relację — przerwał doktor — i wydaje mi się nieco podejrzanę to kilkakrotne uspakajanie Służalskiego, że Mickiewiczowi nic nie będzie i że nieraz już tak zapadał. Cóż dalej?

— Następnie Bednarczyk opisuje scenę nagłego i zupełnego osłabienia poety o godz. 12. Ciałem swem już nie władał, omdlał. Stwierdza, że był zimny jak lód. Bednarczyk zaczyna go ratować. Rumianek. Wreszcie wybiega po doktora i wraca z nim o 2-giej.

— Tak. To było wiadome. Lecz rozpatrzmy teraz drugą ewentualność. Przyjmijmy, że to była cholera azjatycka. Okres jej wylegania — mówił doktor — trwa krótko: kilka godzin lub 1 do 2 dni. Choroba zaczyna się bólami brzucha, biegunką i podwyższeniem temperatury. Występują też wymioty. W dalszym przebiegu stan chorego bywa nadzwyczaj ciężki, wypróżnienia stają się, co jest charakterystyczne, podobne do odwaru ryżowego i bezwonne. Chory ma silne bóle głowy, męczące go silne pragnienie, skóra jest sucha, głos matowy ochryply, brzuch wciągnięty i twardy, ciepłota ciała opada. Śmierć następuje wskutek osłabienia serca, przy równoczesnej zwiększającej się sinicy. Zwracam teraz panu uwagę, że obraz kliniczny zatrucia arsenikiem niezmiernie przypomina cholere azjatycką. Również w zatruciu arsenikiem występuje wraz z silnymi bólami żołądka, rozwolnie-

nie oraz zjawiają się stolce o podobnym charakterystycznym wyglądzie odwaru ryżowego. Występuje również silne pragnienie, bóle głowy, skóra pokrywa się potem zupełnie jak w cholery. Pojawia się również sinica twarzy i kończyn. Śmierć następuje w ciągu kilku lub kilkunastu godzin, wśród objawów zapadu. Obserwując objawy zachodzące u Mickiewicza mogli byli — jak sądzę — obecni znajomi oraz wezwani lekarze nabrać zupełnego przekonania, że zachodzi wypadek cholery. Muszę zgóry dodać, iż nawet gdyby zrobiono po śmierci Mickiewicza sekcję, to w ówczesnym stanie medycyny, wynik sekcji mógłby właśnie przy zatruciu arsenikiem potwierdzić domniemania o cholery azjatyckiej, gdyż np. treść jelit w tem zatruciu może być zupełnie podobna do treści przy cholery. Tylko badanie bakterjologiczne, które dopiero w 30 lat po zgonie Mickiewicza rozpoczął stosować Koch, po odkryciu przez siebie wibrjona cholery, mogło być stwierdzić spewnością cholery. Jak również jedynie badanie chemiczne upewniłoby nas o otruciu arsenikiem. Sekcji, jak wiadomo, nie dokonano.

— Jakież więc wnioszek?

— Dzisiaj nie można orzec decydująco na podstawie tych skąpych relacji, czy to był arsenik, czy cholera. Można się tylko skłaniać do pewnych przypuszczeń. Znane mi opinie lekarzy polskich Gembickiego i Drozdowskiego, jakoteż relacja francuskiego są z naszego punktu widzenia bezwartościowe. Nigdy bowiem nie zdołają przekonać lekarza o tem, że to był wypadek cholery. Jak również absolutnie nie mogą być uważane jako dowody cholery np. nakazy lekarzy w sprawie zastosowania pewnych środków dezynfekcyjnych i ostrożności przy przewożeniu zwłok poety do Paryża.

— Czyli, że twierdzenia tych wszystkich, którzy gotowi dzisiaj przysiąc, iż to była cholera nie mają żadnej podstawy naukowej, opierają się jedynie na tradycji.

— Oczywiście! W pewnej mierze osobiście byłbym skłonny nawet opowiedzieć się, niestety, za otruciem, do czego naprowadza fakt, iż wtenczas w Konstantynopolu wypadków cholery rzekomo nie było. Ogromną wagę przywiązuję do relacji Bednarczyka. Relacje zaś „przyjaciół“, którzy opuścili ciężko chorego Mickiewicza i przyszli dopiero o 5 wieczorem, uważam za

bezwartościowe. Mickiewicz był już nieprzytomny. Rozpoczęła się agonja. Medycyna dzisiaj — kończył doktor — nie wypowie tutaj ostatniego słowa.“

Tyle opinja lekarska.

CZY ZOSTAŁ OTRUTY?

Skoro dowody, że Mickiewicz umarł na cholereę nie są ani wystarczające, ani przekonywujące, może się zrodzić przypuszczenie, że został otruty. Czy są na to jakieś dowody?

Boy-Żeleński, postawiwszy swą hipotezę, tak ją uzasadnił:

„Otóż, — wiadomo mi jest poufnie, że w jednej z wielkich bibliotek prywatnych w kraju znajdują się — otoczone tajemnicą — dokumenty na to, że w istocie Mickiewicz umarł otruty za sprawą jednej z wybitnych figur emigracyjnych, a to z powodu, że jakoby wpłatał się w sprawę, która „okryłaby hańbą i jego samego i Polskę“.

Stanisław Szpotański na łamach „Kurjera Warszawskiego“ i „ABC“ zawołał wówczas: Żądamy dokumentów!

Odpowiedź Boya-Żeleńskiego, jaka się pojawiła w numerze 455 „Wiadomości Literackich“ wykazała zupełny brak poczucia odpowiedzialności publicysty, który wystąpił z tak ciężkiem oskarżeniem. Można było przypuszczać, że Boy posiada notatki z jakichś dokumentów, może dokumentów o podejrzaney wartości, ale bądź co bądź dokumentów. Tymczasem zaś...

Oto co miał Boy do odpowiedzenia:

„Rok temu mniej więcej, był u mnie w przejeździe dawny mój znajomy i przyjaciel, człowiek godny zaufania. Rozmawialiśmy o tem i owem, m. in. o temacie, który tak często mnie zajmował, o naszym przeinaczaniu historii, o obawie przed spojzeniem w twarz prawdzie. Na to rozmówca mój — w formie

przykładu — rzekł: „Jakto! przecież właściciel biblioteki w Medyce (wymieniam ją, bo nie żądano odemnie sekretu, przyp. mój) mówił mi, tak jak ja tu, mówię do ciebie, że ma w bibliotece dowody, świadczące, że Mickiewicz umarł otruty spowodu, iż wplątał się w sprawę, która okryłaby hańbą jego i Polskę“. (Ostatnie słowa podałem w artykule moim w cudzysłowie, cytując w skrócie słowa mego informatora). Redaktor „Wiadomości Literackich“, któremu powtórzyłem tę rozmowę, napisał do właściciela biblioteki w Medyce, p. Michała Pawlikowskiego, zapytaniem, czy istotnie jest w posiadaniu ważnych dokumentów dotyczących się śmierci Mickiewicza. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Nie jest łatwo, okazuje się, dotrzeć do dokumentu!“

A dalej:

„W kilka dni po ukazaniu się mego artykułu wrócił z letniska mój znajomy literat i opowiedział mi co następuje. Poznał tam na wyuczach młodego historyka, pracującego nad tą właśnie epoką, epoką Napoleona III; w związku ze swą pracą, badał ów historyk w archiwum Biblioteki Czartoryskich w Krakowie dokumenty, dotyczące legjonu żydowskiego. Przeczytałszy mój artykuł w „Wiadomościach Literackich“, powiedział do owego literata: „Ten Boy ma niesłychany węch, że zgaduje rzeczy, które wtajemniczeni historycy dawno wiedzą. Słyszałem o tej hipotezie śmierci Mickiewicza, i wydaje mi się bardzo prawdopodobna“.

„Dawno wiedzą“... Nie mówiłem?

W parę dni potem, młody historyk (nazwisko jego ujawnię, skoro wyrazi na to zgodę) powrócił do tematu i rzekł: „Wie pan, swoją drogą, my, historycy, mamy dobrą policję! Ledwie ukazał się artykuł Boya a już dostałem list z Krakowa od mego przyjaciela też historyka, z którym równocześnie przeglądałem dokumenty w Bibliotece Czartoryskich. Ten mój przyjaciel przeglądał zielone teczki, których nie pokazuje się literatom, tylko zaufanym historykom. Teczki te opatrzone są zastrzeżeniami, aby ich nie pokazywać niewtajemniczonym. Otóż, przyjaciel mój donosi mi, że teczka, którą przeglądał, zawiera dokumenty, dotyczące właśnie tej sprawy i stwierdzające bez żadnej wątpliwości, że tak jest jak Boy napisał. Do tego stopnia, że ustalona jest wysokość sumy, jaką wykonawca dostał za otrucie Mickiewicza.“

Mickiewicz miał być wówczas chory na lekką cholerynę, z której skorzystano aby upozorować zamach“.

Jak dotąd, jest to tylko powtarzanie plotek, co słusznie przygwoździł Stanisław Szpotański w „Kurjerze Warszawskim“. Ale bądź co bądź dla wyjaśnienia sprawy konieczne są oświadczenia p. Michała Pawlikowskiego oraz Biblioteki Czartoryskich. I profesora Wilhelma Bruchnalskiego, bowiem w „I. K. C.“ (31.VIII. 1932) pojawił się list inż. Jana Ostrowskiego, w którym pisze on, że przed dwoma laty prof. Bruchnalski, zagabnięty przez niego o hipotezę otrucia Mickiewicza, miał odpowiedzieć:

„...to już sprawa przesądzona. Wiadomo bowiem, że Mickiewicza otruto ze względów politycznych“.

JEŚLI OTRUTY: TO PRZEZ KOGO?

Boy-Zeleński, postawiwszy tezę otrucia Mickiewicza dodał, że miało się to stać za sprawą „wybitnej figury emigracyjnej“ na tle tworzenia przez Mickiewicza legjonu żydowskiego. To oczywiście był punkt ciężkości artykułu, zamieszczonego w „Wiadomościach Literackich“. Stylizacja artykułu, jak to słusznie zauważył Szpotański, była tego rodzaju, że rzucała podejrzenie na kogoś z otoczenia gen. Władysława Zamoyskiego.

Na jak kruchych podstawach była zbudowana ta hipoteza, świadczy najlepiej, że nawet żyd dr. Brandstaetter, delikatnie przeciw niej zaoponował w „Naszym Przeglądzie“. Boy, nie znając dokładnie sprawy, przeceenił znaczenie legjonu żydowskiego. Dr. Brandstaetter powiada, że sprawa bynajmniej nie była wśród żydów popularna. „Formacja owa — pisze — upadła nietylko z przyczyn technicznych, ale również spowodu braku

zrozumienia dla idei narodowej w społeczeństwie żydowskim na półwyspie bałkańskim“. Zaś jeśli o Polaków idzie, to nietyle oburzali się, że Mickiewicz „okryje hańbą siebie i Polskę“, ile pokpiwali sobie z rzeczy. Nawet sam Czaykowski w swym pamiętniku pisze: „Może to byłoby lepiej dla kozaków, mieliby kredyt i mogliby hulać na borg u swoich towarzyszy broni“...

Nie dość na tem. Dr. Brandstaetter ogłosił specjalny artykuł („Nasz Przegląd“, 3.IX 1932), omawiający stosunek gen. Zamoyskiego do legjonu żydowskiego, w którym stwierdza na zasadzie dokumentów, że stosunek ten był przychylny. Tak więc o hipotezie Boya otrucia Mickiewicza za sprawą Zamoyskiego, można powiedzieć słowami Boya, że „leży na pysk“...

Toteż znacznie bardziej trzyma się kupy — choć jest tylko chwytem polemicznym — przeciwstawiona Bcyowi hipoteza Zygmunta Wasilewskiego. Jeśli Mickiewicz został otruty — powiada Wasilewski — to już znacznie bardziej jest prawdopodobne, że otruli go... żydzi. Oto wywód:

„Rola żyda Levy'ego jest bardzo wyraźna. Relacje jego i jego towarzysza „bibuły“ Służalskiego okazały się fałszywe. Na widok skutków trucizny usunął się z domu, aby nie było pomocy ratowniczej. Gdy wrócił, Mickiewicz jeszcze żył dzięki zabiegom Bednarczyka. Mickiewicz był nieprzytomny. Nie mógł go prosić, jak świadczył potem Levy, żeby nie robiono potem sekcji (list Gropplerowej). Poprostu Levy nie chciał dopuścić do sekcji. Pośpiesznie z Służalskim zarządzili balsamowanie i pakę z ciałem zabezpieczyli. A jakie przytem zdenerwowanie! Jaka podejrzana egzaltacja nad zwłokami! Wszyscy kochali Mickiewicza, ale skądże czułość tego żyda z Metz? Gdyby Mickiewicz umarł na cholere, Levy nie całowałby trupa...

Nie utrzymujemy kategorycznie, że Levy był tym zbrodniarzem, który otrul Mickiewicza, bo nie wiemy nawet, czy było

otrucie. „Znowuż to są tylko domysły — powiemy słowami Boya — zapewne“... Ale chcemy p. Żeleńskiemu pokazać, jak łatwo kierunek podejrzeń zwrócić w inną stronę, w stronę, od której on sam i wogóle żydzi radziby podejrzenia odwrócić“.

Są to oczywiście argumenty, padające w ogniu polemiki, która została przez Boya sprowadzona na teren polityki. Samą rzecz, być może, zdołają oświetlić nieco dokumenty, o ile one rzeczywiście istnieją.

DOKUMENTY.

Szybko okazało się, że — nie istnieją. Redakcja „ABC“ zwróciła się do wszystkich, ku którym wiodły tropy Boya, i w numerze z dn. 9.IX. 1932 ogłosiła odpowiedzi.

Wprzód więc odpowiedź Michała Pawlikowskiego:

„Dostawszy dziś dopiero po powrocie z podróży do rąk nr. 38 „Wiadomości Literackich“ z artykułem p. Boya-Żeleńskiego p. t. „Kto żąda prawdy“, oświadczam, że w archiwum medycykiem żadnych dokumentów tyjących się śmierci Mickiewicza nie ma i nigdy nie było. Być może — i chciałbym w to wierzyć — iż sprawa polega tylko na nieporozumieniu. Nie wiem, kogo p. Żeleński ma na myśli, mówiąc o przyjacielu swym, który jakoby odemnie słyszał o znajdujących się w Medyce dokumentach rzekomego otrucia Mickiewicza przez emigranta-Polaka. Nie mogłem nikogo o tem, jako o rzeczy niezgodnej z prawdą, informować. Mogłem natomiast mówić o innych, znajdujących się w archiwum medycykiem dokumentach, Mickiewicza dotyczących, o których zresztą już, nikomu na ucho, ale otwarcie przy okazji powiedziano w artykule ś. p. Maryli Wolskiej („Ujejski o Ksawerze Deibel“ w „Myśli Narodowej“ z 19.I. 1930). — Ponieważ zaś plotka o śmierci Mickiewicza znana była, jak wielu innym, także i u nas, zupełnie było możliwe, że rozmowa o Mickiewiczu i tej plotki dotknęła. Mógł zatem rozmówca p. Żeleńskiego jedno z drugim pomieszać, i w dobrej wierze p. Żeleńskiemu rzecz,

niedostatecznie zrozumianą i sprawdzoną, powtórzyć, nie licząc się z buduarową metodą naukową p. Żeleńskiego. W tym wypadku i ja musiałbym uderzyć się w piersi, iż niedość wyraźnie i ostrożnie wogóle te sprawy poruszałem, zapominając o rozpanoszeniu się w Polsce tych metod i związaną z nimi ścisłością.

Ponieważ jednak — strzel w łeb — takiej rozmowy sobie nie przypominam, skłonny jestem do zupełnie innych wniosków i innej kwalifikacji rewelacyj p. Żeleńskiego. Uprawnia mnie do tego — aby nie szukać dalej — co drugie zdanie w jego artykule. P. Żeleński pisze: „Redaktor „Wiadomości Literackich“, któremu powtórzyłem tę rozmowę, napisał do p. Michała Pawlikowskiego z zapytaniem, czy istotnie jest w posiadaniu ważnych dokumentów, tyjących się śmierci Mickiewicza. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi“. Otóż nieprawdą jest, aby p. Grydzewski zapytywał mnie o dokumenty, tyjące się śmierci Mickiewicza. List p. Grydzewskiego brzmi jak następuje: „Mówiono mi, że w posiadaniu Sz. Pana znajdują się ciekawe dokumenty, dotyczące pobytu Mickiewicza w Konstantynopolu. Gdyby nadawały się do ogłoszenia i gdyby Sz. Pan chciał je ogłosić, byłbym szczęśliwy etc..“ Nawiasem dodam, że list ten, noszący datę 24 czerwca 1931 r., doszedł mnie dopiero w połowie listopada tegoż roku, po mym powrocie z zagranicy, i dlatego tylko nań nie odpisałem — zwłaszcza, że nie miałem nic pozytywnego do odpowiedzenia, zbyt zaś dużo zaległej korespondencji. Gdybym był wiedział, że chodzi o sprawę otrucia Mickiewicza, niewątpliwie odpisałbym mimo to, że takich dokumentów nie posiadam. P. Żeleński jednak, zasłaniając się przekręconym faktem, że ktoś mnie już o to daremnie interpelował, nie uważał nawet jako autor za odpowiednie, przed puszczeniem w świat swojej pantoflowej wiadomości, bezpośrednio zapytać mnie jak rzeczy stoją.

Aby przypieczętować fakt, iż metodka p. Żeleńskiego nie ogranicza się do odosobnionego szczegółu stwierdzam, iż „uczony“ ten w tymże artykule pozwala sobie na ordynarną potwarz demagogicznych brukowców, iż stronnictwo organu, w którym p. Szpotański zamieścił swój artykuł, „gloryfikowało mord prezydenta Narutowicza“. Ponieważ nad tem oszczerstwem, którego p. Żeleński niczem poprzeć nie potrafi, historia przejdzie

do porządku dziennego, możemy się przeto i my nie zajmować więcej sposobami naukowemi p. Żeleńskiego.

Michał Pawlikowski.

Medyka, 7.IX. 1932.

Dyrektor Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie, dr. Marjan Kukiel, nadesłał odpowiedź taką:

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Otrzymuję zapytanie Pańskie w kwestji rzekomego otrucia Mickiewicza i dokumentów, tyjących się tej sprawy, znajdujących się jakoby w Bibliotece XX. Czartoryskich.

Oświadczenie moje w tej sprawie złożyłem jako dyrektor Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie wspólnie z konserwatorem Muzeum, dr. Stefanem Komornickim, w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym“ nr. 46, w odpowiedzi na artykuł tego pisma; przesłaliśmy je również „Wiadomościom Literackim“. Mogę obecnie uzupełnić tylko treść tego oświadczenia:

P. Boy-Żeleński dowiedział się od niewymienionego literata, ten zaś od niewiadomego młodego historyka, a tamtem od swego przyjaciela, że w Bibliotece XX. Czartoryskich są „zielone teczki“, których... „nie pokazuje się literatom, tylko zaufanym historykom“ i że „teczka, którą (ten przyjaciel) przeglądał, zawiera dokumenty dotyczące właśnie tej sprawy“ z ustaleniem nawet „wysokości sumy, jaką wykonawca dostał za otrucie Mickiewicza“.

Cała ta wiadomość jest niezgodna z prawdą.

Niema w Muzeum XX. Czartoryskich (którego działem jest biblioteka ze zbiorem rękopisów), żadnych „teczek zielonych“ ani innej barwy, któreby nie były dostępne dla każdego uczonogo, bez wyjątku i zastrzeżeń.

Jest tam natomiast ogromne archiwum polityczne księcia Adama Czartoryskiego, a w niem potężny zwód „Depesz wschodnich“, wśród nich zaś wielotomowy dział „Guerre de Crimée“ — wszystko to od wielu lat dostępne i znane historykom. Nie potrzebuję dodawać, że niema tam śladu tego, o czem pisze p. Boy-Żeleński.

Jest w Krakowie nienależące do Muzeum prywatne Archiwum Domowe XX. Czartoryskich, zbiór korespondencyj i dokumen-

tów rodzinnych. Miałem możność stwierdzić, wspólnie z drem Komornickim, że niema w tym zbiorze nic, coby w jakikolwiek sposób popierało anonimową „informację“, na którą powołuje się p. Bov-Żeleński.

Krytykę samej hipotezy, na takich opartej przesłankach, pozostawiam historykom, bardziej obeznanym z przedmiotem. Sam mogę tylko wyrazić ubolewanie spowodu szerszenia plótek o tem, co mieści jakaś biblijoteka, bez sprawdzenia zasłyszanej pogłoski na miejscu, a z posądzeniem zgóry tych, którzy biblijoteką tą zarządzają, o intencję zatajenia prawdy.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Dr. Marjan Kukiel.

Kraków, 6 września, 1932 r.

Wreszcie na list do prof. W. Bruchnalskiego odpowiedział jego małżonka:

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W zastępstwie mego chorego męża, który obecnie nie jest w stanie pisać, pozwalam sobie odpowiedzieć na list Jego z dn. 1.IX. b. r. w sprawie rzekomego otrucia Mickiewicza co następuje:

Oto przez zastępstwo mego męża i z jego informacji pomieszczony został w lwowskiej „Gazecie Porannej“ (z dnia 2 września r. b.) artykuł pod tytułem „Czy Mickiewicza otruto?“ Pozatem co w tej sprawie tamże ogłoszono nic więcej powiedzieć mąż mój nie może, dziwi go tylko pytanie, *cui bono* byłoby otrucie Mickiewicza w Konstantynopolu w 1855 r.? Byłaby to wyjątkowa zbrodnia w życiu polskiem, zbrodnia przeciwna poczuciu polskiemu. Teraz nam nic nie pozostaje, jak czekać na dowody przez p. Boya zaczerpnięte z tajemniczych kajetów biblijotek polskich. Do tego numeru lwowskiej „Gazety Porannej“ pozwalam sobie odesłać Pana Redaktora.

Z wysokiem poważaniem zostaję

Marja Bruchnalska.

Lwów, 5.IX. 1932.

Oświadczenie prof. Bruchnalskiego w lwowskiej „Gazecie Porannej“ brzmiało jak następuje:

„O śmierci Mickiewicza, jakoby nie nastąpiła spowodu cho-

lery, słyszałem już dawno. Mianowicie ś. p. prof. Józef Soleski, z którym żyłem w bliższych stosunkach, opowiedział mi, że jeden z lekarzy ordynujących kiedyś w Konstantynopolu (bywał on później nieraz we Lwowie) — gdy przysłała rozmowa między nimi o Mickiewiczu, miał mu powiedzieć: „Jeśli sądzicie, że Mickiewicz umarł spowodu cholery, to jesteście w błędzie, jak bowiem opowiadano w Konstantynopolu, Mickiewicz zginął otruty“.

„Wówczas, a było to około r. 1885, nie rozpatrywałem bliżej wartości tej informacji, bo ów lekarz miał być w niedługim czasie we Lwowie. Niestety, tutaj nie pojawił się on później, tak przynajmniej wypadło z innych informacji prof. Soleskiego. Bardzo żałuję, że nazwisko lekarza wypadło mi z pamięci.

Dzisiaj, po tylu latach, nie mogę ręczyć, czym powtórzył słowa ś. p. Soleskiego dokładnie, myślę jednak, że tak. Nigdy zresztą nie rozповідаłem o tem nikomu, poza b. nielicznymi wyjątkami, gdyż uważałem całą sprawę za niesprawdzoną.

Dopiero obecnie, spowodu artykułów, twierdzących wręcz, że Mickiewicz nie zmarł na cholere, przypomniałem sobie rzecz całą. Szczególnie zaś artykuł anonima Zeta, pomieszczony w „I. K. C.“ skłania mię do tego. Mianowicie ustęp w nim zawarty, jakobym ja w rozmowie z p. inż. Janem Ostrowskim miał się wyrazić, że wersja o otruciu Mickiewicza nie jest dobrze znana historykom literatury, (szczególnie którym?) według dzisiejszego mojego poczucia niezupełnie wiernie została oddana, a w szczególności nie mogłem się wyrazić pod żadnym warunkiem, że „jest to sprawa przesądzona, wiadomo bowiem, że Mickiewicz otruto ze względów politycznych“.

Przyznanie moje co do oceny słów p. Ostrowskiego nabrało we mnie tem większej pewności, że nigdy i w żadnych okolicznościach o rzeczach wymagających potwierzenia, nie byłem i nie byłbym w stanie wyrazić się, że są „przesądzone“.

Tak więc wszystkie „tropy“ nie zawiodły do celu. Przeciwnie. Wykazały, że dokumenty, których istnienie podejrzewał Boy, nie istnieją.

SENSACJA TRUCICIELSKA.

W dyskusji prasowej, jaka rozgorzała wokół podniesionej przez Boya-Żeleńskiego hipotezy o otruciu Mickiewicza, panuje nieopisany zamęt, który ogromnie utrudnia dojście do jakichkolwiek wniosków. Wytworzenie tego zamętu było zresztą główną bodaj intencją boyowskiego artykułu.

Wystąpić z sensacyjną hipotezą, tem sensacyjniejszą, że niepopartą odrazu dowodami, ale okrywającą rzekome istnienie tych dowodów płaszczykiem tajemniczości, napuścić na siebie ludzi, żeby się o to żarli, narobić mątu i hałasu, samemu zaś wycofać się na stanowisko obserwatora, rejestrującego z zadowoleniem w wycinkach, dostarczanych przez Informację Prasową Polską, ile to razy gazety z całej Polski odmieniają we wszystkich przypadkach nazwisko Boy w zestawieniu z wielkiem nazwiskiem Mickiewicza — to metoda nie pierwszy raz przez Boya stosowana.

Toteż, jeśli nie chce się być ową przysłowiową wodą, zręcznie przez tłumacza „Traktatu o metodzie“, skierowaną na młyn jego nieprzeciętnych zdolności reklamo-

wych — trzeba bardzo starannie rozróżnić w dyskusji sprawę Boya od samej sprawy rzekomego otrucia Mickiewicza.

Na zasadzie dwóch artykułów Boya łatwo można udowodnić, że w gruncie rzeczy, czy tam Mickiewicz został otruty, czy istotnie umarł na cholere, to Boyowi jest naidokładniej obojętne. Bo, czyż można sobie wyobrazić, że gdyby ta kwestja naprawdę go pasionowała, porzuciłby na powtórzeniu mętnej pogłoski, iż gdzieś tam istnieją jakieś dokumenty? Że nie starałby się naprawdę do nich dotrzeć, przestudjować związaną ze sprawą literaturę, zgłębić rzecz, zgruntować, i dopiero wtedy wystąpić z rewelacją?

Tu tymczasem nic podobnego.

W postępowaniu Boya jest coś z mentalności redaktora brukowego pisma, który najbardziej się boi sprawdzenia sensacyjnej wiadomości przed jej ogłoszeniem. Przy sprawdzeniu może się sensacja wścieknąć, a nie chodzi przecież o rzecz, tylko o sensację. Przyślą potem sprostowanie? To się sprostowanie umieści petitem wśród ogłoszeń, ale co było huku i hałasu, to było.

Kiedy się obserwuje działalność Boya, rozwijającą się ostatnimi laty na terenie życia literackiego, odnosi się wrażenie, że ten człowiek rozminął się z powołaniem. Byłby nieporównanym redaktorem sensacyjnego dziennika, a został literatem, bo zdarzyło się przytem, że ma wspianiały talent literacki. Całym jednak typem swojej umysłowości związany jest z tamtą dziedziną. Kipi w nim pasja sensacji, ma niepospolity węch w dobieraniu tematów, które „chwytają“, a przytem brak wszelkich skrupułów co do hierarchji tematów i wplywu, jaki może ich nieodpowiedzialne poruszanie wywierać.

Natura ciągnie wilka do lasu. Niełatwo w sobie zwalczyć dryg reportera, choćby się nawet było prezydentem do państwowej nagrody literackiej. „Wiadomości Literackie”, w których on ostatnio pracuje i na których kierunku decydująco zawazył, doczekają się już od J. N. Millera trzajnej oceny, że stały się czemś w rodzaju konkurencji dla „Lajnego Detektywa”. Moznaby zaś do tego dodać, że przybudowka tychże „Wiadomości” p. t. „Życie świadome”, staje się walną konkurencją rubryki „Intymne rozmowy z czytelnikami w cztery oczy” ostatniorzędnege warszawskiege piśm.dła brukowege.

Zrobić sensację — bez oglądania się, że jest coś oburzającego w sensacyjnym krzyku nad grobem Mickiewicza — oto siła pędna, która zdaje się kierować Boyem. Przy tej zaś sposobności znalazł się upust dla dwóch ubocznych kompleksów boyowskich.

Jeden z tych kompleksów to głucha, zaciekła zajadła nienawiść do uczonych i „profesorów”. Pewną wskazówką co do psychologicznego podłoża tego kompleksu może być choćby studjum Boya p. t. „Śmiech” zamieszczone niedawno w „Wiadomościach Literackich”.

Jest to coś boleśnie mętnego i upokarzającego. Świetny stylista, tęgi esseista i wężliwy sensacjonista puścić się na rozprawkę naukową, odsłaniając najistotniejszy detekt swego bujnego skądinąd talentu. Boże zachowaj! Toż ten człowiek nie potrafi nawet zreferować definicij i zapatrywać innych autorów! Nieporadność zaś własnych sformułowań, nieumiejętność ścisłego wyrażania myśli, zabłąkanie się w gąszczu słów, maskowane starym *truc*ciem epatowania emancypowanych żydówek używaniem nieprzyzwoitych wyrażen („Koleżanko Rozenberżanko...”) — czyni wrażenie wręcz żalodne. Brak nauko-

wej dyscypliny — to pięta achilesowa Boya. Stąd może owa podświadoma niechęć do świata nauki.

Więc gdy nadarza się okazja, by powtórzyć plotkę, że w jakichś tam zielonych teczkach znajdują się zakonspirowane przez profesorów dokumenty — Boy już tego nie popuści. Hajże na Soplicę! Ukrywacie przed nami dokumenty, fałszujecie prawdę, wykrzywiacie historję! Te praktyki są powszechne! Oto wasz świat nauk humanistycznych! (Bo nauki przyrodnicze — Freud i Magnus Hirszfeld! — nadal cieszą się estymą ekslekarza).

Coś tam Boy słyszał, ale nie dosłyszał, w którym kościele dzwonią. Nietrudno odnaleźć źródło tej plotki o konspirowaniu dokumentów. Fakty niedopuszczania do pewnych materiałów, odnalezionych w archiwach, istotnie zdarzają się, i to dość często. Tylko że przyczyny szukać należy nietylko w zbrodniczej chęci ukrywania prawdy — ile w niechwalebnej wprawdzie, ale bardzo ludzkiej zazdrości. „Odnalazłem, więc sam opracuję, a nikogo nie dopuszczę“. Czasem życia na to nie starczy, i dopiero śmierć starego zazdrośnika z profesorskiej katedry otwiera młodym uczonym dostęp do zablokowanych źródeł. Oczywiście, że jeśli to przykroić w kształt tajemnic wiedzy ezoterycznej, z rozmysłem tajonej przez uczonych, sprawa wygląda znacznie sensacyjniej i bardziej pasuje do boyowskiej naukofobji.

Druga pieczeń, jaką miał okazję upiec Boy przy ogłoszeniu swej sensacji trucicielskiej, obraca się na różnie politycznym. Gdy się tkwi w atmosferze żydofilstwa nie od rzeczy się zastąpić aż... Mickiewiczem. A Mickiewicz tworzył nawet legion żydowski, aha! Nie dość na tem — za to go właśnie antysemita otruli!

Że cała ta hipoteza o antysemitycznych trucicielach Mickiewicza prysła jak bańka mydlana w świetle faktów historycznych — to już powszechnie wiadomo. Również wiadomo, co sądzić o samym legjonie. Polacy pokpiwali sobie z niego, miarkując się tylko respektem dla dawnej glorii pisarskiej Mickiewicza, który w ostatnim okresie swego życia, zwichnięty przez Towiańskiego, łączył mętny mistycyzm z najnaiwniejszymi koncepcjami politycznymi. Toć przecież stworzenie legjonu żydowskiego, poza podłożem wynaturzonego mesjanizmu, opierało się na tezie Mickiewicza, że „jeśli wkładając do Polski, zdołamy żydowskim naszym pułkiem pociągnąć za sobą żydów jednej bóżnicy, chłopcy wątpić nie będą o powodzeniu, bo znając przezorność Izraelitów, powiedzą sobie: pewne musi być powodzenie, skoro żydzi łączą się z powstańcami“. Jakże stąd już niedaleko do kumoszki, która kupuje los loteryjny w spółce z żydem, bo żydzi mają w loterii szczęście...

Nie zostało więc nic z hipotezy Boya, i mitem okazały się dokumenty, które miały ją potwierdzić. Wszyscy po kolei, którzy mieli coś o tych dokumentach wiedzieć, złożyli oświadczenia negatywne i dołożyli jeszcze Boyowi do słuchu. On się tem pewnością nie martwi, bo huk narobił. Ale oczywiście sama sprawa dylematu, czy Mickiewicz został otruty, czy umarł śmiercią naturalną, nie posunie się przez to ani o krok naprzód.

A tymczasem dylemat ten — nie nowy zresztą — wyłonił się i dzięki hukowi, jaki się wokół niego wytworzył — ludzi zajmuje. Trzeba więc powiedzieć, jakie są szanse rozwiązania. Otóż — szanse są żadne. Nie ma sposobów na to, aby móc ustalić, że Mickiewicz umarł

na cholere, i nie moze byc zadnych pewnych dowodow, ze zostal otruty.

Watpliwosci, czy umarl na cholere, miano juz zaraz po smierci. Wyrazila te watpliwosc w jednym ze swych listow Gropplerowa. Ba, nawet sam Armand Levy pisal w swym dzienniku (cyt. Wl. Mickiewicz w „Zywocie Adama Mickiewicza“ tom IV, str. 452 — 53):

„Czy to byla cholera? Kto to wiedziec moze na pewno. Nie bylo sladu zczernienia twarzy, co jak mowia, bywa w podobnych wypadkach, ani po smierci, ani przedtem. Zadnej zmiany oddechu, nawet podczas konania. Ni sladu rozkladu, nawet po uplywie 24 godzin. Jeden z lekarzy oswiadczył na poltoiej godziny przed smiercia, ze zupeinie nie ma cholery, inny do konca twierdzil, ze to nie jest cholera“.

Wiec nawet lekarze, obecni przy lozu chorego, watpili. Trudno coprawda byloby sobie inaczej tłumaczyc niezwykly zupeinie fakt balsamowania zwlok czlowieka zmarlego na cholere. Ale stwierdzic napewno jak bylo? W wywiadzie z lekarzem, jaki sie pojawil w „ADC literacko-artystycznym“, wypowiedziane zostalo zdanie, ze przy owczesnym stanie wiedzy, nawet sekcja zwlok nie bylaby w stanie cholery stwierdzic.

Nagle, po kilkugodzinnej chorobie smierc Mickiewicza, wywolala onrazu pogloski o otruciu. Wladyslaw Mickiewicz notuje w swych „Pamiętnikach“ (tom I, str. 230):

„Emigranci niejednokrotnie wyznawali mi, ze posiadaja z tych, czy innych zrodel najdokladniejsze szczegoly otrucia mego ojca, ktore to otrucie jedni przypisywali Austrii, inni zas jego polskim przeciwnikom politycznym“.

Syn musial te pogloski dokladnie badac, jezdzil przeciez nawet w kilka lat pozniej do Konstantynopola i mial, poki rzecz byla swieza, lepsze mozliwosci dojscia

prawdy. Niczego pewnego nie doszedł, skoro ogłosił protest przeciwko pogłoskom o otruciu.

Mogłyby się teraz znaleźć „pewne“ dokumenty? Jakże? Spowiedź zbrodniarza? Gdyby nawet taka się znalazła, jakie są dane, że nie byłaby ona dziełem człowieka niespełna zmysłów? Przecież i w sądzie zeznanie zbrodniarza nie wystarcza; może się ktoś przyznać do zbrodni niepopelnionej; rzecz muszą potwierdzić świadkowie. A może dokumenty, że ktoś tam tyle a tyle dostał za otrucie Mickiewicza, jak to Boy przypuszczał? Wolne żarty! W związku z tem dostałem list od jednego z historyków, który mi pisze: „Czy nie zwróciłby Pan uwagi, że gdyby jakiś zbrodniarz nasylał na Mickiewicza „nieznanych sprawców“, to nie zawierałby z nimi pisemnej umowy, ani nie przechowywał ich kwitu za otrzymane honorarium? Niech Boy zapyta się, gdzie należy, jak się postępuje w takich wypadkach“.

Tak więc sprawa, na co umarł Mickiewicz, pozostanie na zawsze tajemnicą. Nic tu żadne dokumenty wniesć nie mogą. Stracony trud ich szukania.

A teraz: czy istotnie wykrycie, jak to było, posiada takie zasadnicze znaczenie? Czy świadomość, że Mickiewicz umarł napewno na cholere, lub został napewno otruty, wpłynąć może na nasze odczuwanie piękna „Pana Tadeusza“ i głębi myśli „Dziadów“?

Boy podjął wielką kampanję odbronzowywania Mickiewicza. W praktyce sprowadza się to do grzebania w szczegółach biografji mickiewiczowskiej. Czy jest to kierunek sensowny? Czy nie zawiera sam w sobie zasadniczych elementów tego, co składa się na istotne pojęcie bronzownictwa, czyli podnoszenia wielkości człowieka, skoro każdy szczegółik jego życia ma posiadać tak wiel-

kie znaczenie, a równocześnie odwracanie uwagi od wielkości jego dzieła?

Możnaby o tem dyskutować, gdyby istniała potrzeba odnoszenia się serjo do boyowskich kampanij. Ale ta nie istnieje. Czuje się w nich na sto mil, że chodzi przede wszystkim o sensację. No, a temat do sensacji zawsze łatwiej znaleźć w biografji, niż w dziełach...

W związku z dyskusją prasową o przyczynach śmierci Adama Mickiewicza, doszła do dużego rozgłosu książczyna, która inaczej byłaby niewątpliwie mało komu znana: Dr. R. Brandstaettera „Legjon żydowski Adama Mickiewicza“. Autor, w lot zwietrzywszy okazję, jął rozpychać po prasie swe artykuły, występując z miną nauczyciela, fachowca i specja. On najlepiej wie jak i co było, bo właśnie świeżo do swej książki przestudjował materiały historyczne. Zaczął więc na lewo i prawo nauczać, objaśniać i karcić, nie wyłączając Boya, z którego lekkiej ręki stał się głośny, a którego swą broszurą bądź co bądź zainspirował i wpakował w ciężką kabałę.

W ogniu walki, toczącej się na froncie bezpośrednich starć publicystów i pisarzy, mentorski ton dra Brandstaettera, który kompetował o stanowisko przyglądającego się z boku sędziego-rozjemcy, uchodził mu jakoś na sucho. Nie miano się czasu zająć sprawdzeniem legitymacji monografisty legjonu żydowskiego, traktowano go zrazu niemal serjo, ba, nawet sugestje jego broszurki przedostawały się bez skontrolowania do argumentacji obu walczących stron.

Dziś, kiedy już walka przycichła, czas najwyższy

zająć się tą brandstaetterowską broszurką, która tyle narobiła zamieszania. Rzecz to o pozorach pracy naukowej: cytaty, wyjątki z dokumentów, odsyiacze. Forma zewnętrzna łatwo w błąd wprowadzająca. W treści zaś coś bezprzykładnie i kompromitująco tendencyjnego.

Metoda naukowa autora jest prosta i nieskomplikowana. Polega ona na opatrzeniu wszystkich postaci żydowskich przymiotnikami nadwyraz pochlebnymi, podczas gdy równocześnie postaci polskie otrzymują przymiotniki „rugatiene”. Tak więc Armand Levy to „zapalony marzyciel”, „człowiek o krystalicznie czystym charakterze”, o „wielkiem wykształceniu i wysokiej kulturze serca”. Porucznik Moszek Horenstein zjawia się z reguły jako „dzielny” i również „krystalicznie czysty charakter” (jak widać, pomysłowość określnikowa p. Brandstaettera nie jest zbyt bogata — „krystaliczność” powtarza się). W przeciwieństwie do tego Czaykowski — to „słaby charakter” i człowiek „skłonny do awanturniczości” (tyle, że mu łaskawie „gorące serce” przyznane), a już np. płk. Bednarczyk, to poprostu „miernota moralna”, „intrygant”, „warchoł i ateryzista”, „człowiek robiący ciemne machinacje”.

P. Brandstaetter nie kłopotuje się wiele uzasadnieniem tych swoich opinij. Podaje je czytelnikom bądź to na wiarę, bądź też uzasadnia je jednostronnym doborem cytat z listów i dokumentów. Starannie wymieni każde pochlebne słowo, jakie napisał o Levym Władysław Mickiewicz w swych „Pamiętnikach”. Równocześnie dyskretnie przemilczy szczegóły atery, w jaką wplątany był Levy po śmierci Adama Mickiewicza i zaniedba podać cytat z zarzutów, jakie mu stawiano. Sylwetkę płk. Bednarczyka, którego Mickiewicz, wysoko cenił i uważał

za jedyne go odpowiedniego człowieka do poprowadzenia Legionu żydowskiego, o którym z pełnem uznaniem wyrażał się ostrożny w sądach o ludziach Agaton Giller — p. Brandstaetter kreśli na zasadzie listów Ludwiki Śniadeckiej, osoby, jak widać z każdego słowa jej listów, odnoszącej się z uczuciową niechęcią do Bednarczyka. Ba, nawet tak poważnego zarzutu, jak zarzut, że Bednarczyk nie był pułkownikiem armii tureckiej, nie sprawdzi w dokumentach Porty, ale uzna za wystarczającą babską plotkę, zawartą w liście. Być może, że tak nawet było. Ale historyk, który rzecz w nie sprawdzi w jedynie miarodajnych źródłach, wygląda zgoła niepoważnie.

Jedynym konkretnym zarzutem, jaki włożyć można z książki p. Brandstaettera przeciwko Bednarczykowi — to że Bednarczyk donominał się o pieniądze za sprawowanie swych funkcji, domagał się w sposób ostry i stanowczy. Gdy to samo zdarzyło się Horensteinowi któremu bankier Camondo cofnął subwencję, p. Brandstaetter nie widział w tem nic zdrożnego. Horensteinowi było wolno, Bednarczykowi nie. A jak się zdaie, Bednarczyk znajdował się już w sytuacji bardzo ciężkiej. Zrozpaczony zaczął potem pić. I to oczywiście p. Brandstaetter odrazu podchwyci.

Źródło niechęci p. Brandstaettera do Bednarczyka staje się jasne po przeczytaniu listu Ludwiki Śniadeckiej do Levy'ego z dnia 14 stycznia 1856 roku.

Śniadecka zajmowała w sprawie Legionu żydowskiego stanowisko dziwne, które czeka na wyjaśnienie przez historyków. Była sojuszniczka wszystkich pomysłów Levy'ego, pracowała w tym kierunku, zresztą bez skutku,

nad urobieniem swego męża (Czaykowskiego — Sadyka Paszy), i można przypuszczać, raczej się przychyliła do tej koncepcji legjonu, którą miał Levy, niż do tej, którą miał Mickiewicz i którą przekazał Bednarczykowi. Dla Mickiewicza Legjon żydowski miał być przedewszystkiem atutem w sprawie polskiej. Pojęte to było zresztą bardzo naiwnie. („Jeżeli wkraczając do Polski zdołamy żydowskim naszym pułkiem pociągnąć za sobą Żydów jednej bóżnicy, chłopci wątpić nie będą w powodzenie, bo znając przezorność Izraelitów powiedzą sobie: pewnem musi być powodzenie, skoro Żydzi łączą się z powstaniem“ — oto własne słowa Mickiewicza). Levy'emu marzył się raczej — podbój Palestyny, werbowanie do pułku Żydów nietylko polskich, ale i tureckich, czy nawet hiszpańskich. Bednarczyk, który po śmierci Mickiewicza znalazł się bez oparcia o jego autorytet, słyszeć o tem nie chciał, ale walka była trudna. Levy miał sprzymierzeńca w Śniadeckiej, jedynej (poza Mickiewiczem) osobie polskiej narodowości, o której p. Brandstaetter wyraża się w swej broszurce z uznaniem.

Owóż Śniadecka pisała do Levy'ego dosłownie:

„(Bednarczyk)... robi plany według swego widzimisie, wybiera już sobie oficerów i wyrzucał mi, że pokazałam panu kartkę Sadyka, dotyczącą go, że to go zdaje całkiem na pańską łaskę — (a tego właśnie chciałam), że pan chce obrócić sprawę na korzyść waszych, że onby ją chciał obrócić na korzyść Polski“.

Sprawa staje się jasna. Śniadecka dodaje jeszcze słowa: „To panu wytłumaczy, jak on rozumie sprawę i ideę naszego drogiego Poety“. Ma być w tem ironja, ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że właśnie Bednarczyk dobrze rozumiał. Dlatego konspiracja Levy — Śniadecka bała się go i uważała za człowieka kłopotliwego. Ileż

potem niepokoju w listach Sniadeckiej, gdy Bednarczyk wzbrania się wydać dokumenty i listy, jakie posiada!

W tem oświetleniu sylwetka Levy'ego rysuje się zupełnie inaczej, niż ją przedstawił p. Brandstaetter, a za nim Boy w swym pierwszym artykule. Sylwetka to bardzo ciekawa i charakterystyczna.

Armand Levy ma w sobie tylko część krwi żydowskiej (już jego dziadek wychrzczył się i pojął za żonę katoliczkę), a przecież stara rasa gra w nim najmocniej. W trzecim pokoleniu zasymilowany, obracający się w towarzystwie francuskim i polskim, plątający się w kole ówczesnej paryskiej elity umysłowej, przeżarty jest cały wielkimi ambicjami już nie finansowemi (majątek zostawiony przez ojca dawał mu niezależność), ale politycznemi.

Nie bardzo może się zdecydować na narodowość, do jakiej się ma przypisać. Z urodzenia obywatel francuski, to cięży ku Włochom, to ku Polsce, to ku Rumunji. W jednym z listów z Konstantynopola kpi sobie z niego Zwierkowski:

„uczy się dzień i noc po turecku, grecku i polsku... Tylko mnie się widzi, że kto trzy zające naraz ściga, to żadnego nie utroczy“.

W karierze Levy'ego, objającego się bez przydziału po paryskich brukach, zachodzi zwrot zasadniczy, gdy Mickiewicz proponuje mu stanowisko sekretarza w podróży do Konstantynopola. Podróż zrazu nie zapowiada się frapująco, bo Mickiewicz jedzie tylko w misji pogodzenia gen. Zamoyskiego z Sadykiem Paszą Czaykowskim, ale kto wie, co się może zdarzyć.

To „coś“ zdarza się w obozie Sadyka Paszy w Burgas: myśl sformowania legjonu żydowskiego. Kto na tę

myśl wpadł pierwszy, trudno zbadać. Sam Levy przedstawia rzecz za każdym razem inaczej. W cytowanym przez dra Brandstaettera liście Levv'ego do Bednarczyka brzmi to tak:

„Natchnął go (Mickiewicza) widok żołnierzy żydowskich, służących pod chorągwią kozaków ottomańskich. Przy pierwszych słowach, które powiedziałem, Mickiewicz, Sadyk i ja poznaliśmy, że równocześnie doszliśmy do tej samej myśli“.

W każdym razie „pierwsze słowa“ powiedział Levy. W „Dzienniku“ (cytowanym przez Wł. Mickiewicza w „Żywocie A. M.“) ogranicza już Levy pomysł tylko do siebie i Mickiewicza, o Czajkowskim pisząc, że „basza polski temu przyklasnął“.

Teraz zaczyna się dla Levy'ego okres wielkiej działalności. Odrazu się decyduje: jest żydem, głównym organizatorem legjonu żydowskiego. Nieznany szerzej pan Armand Levy staje się odrazu ważną figurą. Składa i podpisuje wraz z Mickiewiczem noty do Wysokiej Poroty, konferuje z bankierem Camondo i z imć Landauem, wysłannikiem samego Rotschilda.

Robi to wszystko Levy z bohaterским patosem. W czasie pobytu w Burgas zgłosił się jako ochotnik do wojsk Sadyka-Paszv i jest tym czynem niezmiernie przejęty.

„Przed mówieniem o jakimkolwiek projekcie — pisał do Bednarczyka — wstąpiłem do 1-go pułku kozaków ottomańskich, idąc za tradycją polską, która głosi, że każde dobrze zapowiadające się przedsięwzięcie, powinno rozpocząć się od ofiary“.

Ofiara nie było znowu taka wielka, bo pobyt w obozie trwał wszystkiego kilka dni, i zaraz potem Levy, zaopatrzony w listy od Sadyka, pojechał robić do Konstantynopola wielką politykę. Ale i ten krótki pobyt w obozie uważał za męczeństwo. Pokpiwa sobie z niego w liście Zwierkowski:

„Koczujące życie, namioty, brak łóżka, cacek Paryża, tak go przygnębiły, że się już na męczennika kwalifikuje“.

Tą swoją ofiarą i męczennictwem świeci potem Levy przy każdej okazji. Bohatersko wydzwania przed Fuad Paszą słowa: „jestem ochotnikiem 1-go pułku kozaków ottomańskich, sądzę bowiem, że w naszym, tak ciężkim dla nas, czasie nie wolno radzić o dobrej sprawie, jeżeli samemu się nic nie działa“. Nawet nie waha się dalszej rozmowie z Fuadem określić skromnie to swoje ochotnictwo jako „doniosły akt“.

Mimo „doniosłego aktu“ sprawa uzyskania firmanu na formowanie legionu żydowskiego szła opornie. Być nawet może, że się do niej Levy zniechęcił, tem więcej, iż jego zapatrywania na zadania legionu, jak to wynika z późniejszej korespondencji z Śniadecką, różne były od mickiewiczowskiej koncepcji wsparcia legionem powstania w Polsce. Do otwartej różnicy zdań zdaie się nie doszło — bądź co bądź, wszystko co robił Levy, mógł przecież tylko robić przez autorytet Mickiewicza.

Nagle Mickiewicz umiera. Levy, już teraz sam, jako samozwańczy spadkobierca Mickiewicza, wystosowuje listy do Rustem Beya i Nuredina Beva, w których poleca im sprawę legionu żydowskiego, komunikując, że musi wyjechać do Francji dla towarzyszenia zwłokom „swe-go przyjaciela“ Adama Mickiewicza.

Tu, we Francji, ma miejsce sprawa, na której ślady nie udało mi się natrafić w żadnej monografii o Mickiewiczu, ani w „Pamiętnikach“ Władysława Mickiewicza, który zresztą pozostawał pod silnym wpływem Leviego. Sprawa, którą w paryskim muzeum mickiewiczowskim

i w archiwach raperswilskich powinni wyjaśnić bezstronni historycy.

P. Brandstaetter przedstawia rzecz niezwykle lakonicznie:

„Przybycie Levy'ego do stolicy tureckiej opóźniało się; brał bowiem udział w przygotowaniach do pogrzebu Mickiewicza. Nadomiar złego Levy wmieszał się lekkomyślnie w przykrą aferę z rodziną Mickiewiczów i jej opiekunami. Sprawa była bardzo poważna; Mickiewiczowie bowiem grozili Levy'emu procesem z powodu nadużycia prawa opiekuństwa; antagoniści zaś jego Służalski i Zwierkowski rozszerzali pogłoski, jakoby miał zamiar moralnie wykorzystać młodego Wł. Mickiewicza, celem osiągnięcia własnych (politycznych!) korzyści“.

Historyk, który załatwia się z tego rodzaju sprawą przez stawianie ironicznych wykrzykników, i który umie tylko opatrzyć zarzut nadużycia prawa opiekuna przymiotnikiem „rzekomego“, który nie zdobędzie się na żaden argument i nie przytoczy ani jednej cytaty z oskarżeń Zwierkowskiego i Służalskiego, choćby po to, żeby je zbić — dyskwalifikuje ostatecznie swą „metodę“.

Sprawa legjonu żydowskiego Mickiewicza czeka zatem na swego historyka.

Zaś co do p. Brandstaettera, to nic dziwnego, że po postawieniu przez Boya hipotezy o otruciu Mickiewicza za sprawą antysemitów, stał się najzarliwszym obrońcą tezy, że Mickiewicz umarł na cholere. Wiedział dobrze, że jeśliby ktoś chciał się bawić w stawianie hipotez otrucia, to najpoważniej taka hipoteza mogłaby się zwrócić przeciw Levy'emu. Użył zresztą tego chwytu polemicznego Zygmunt Wasilewski, nie zdając sobie nawet w całej rozciągłości sprawy, ile mógłby mieć na poparcie argumentów.

Stawianie hipotez jest oczywiście rzeczą zawodną i śliską. Dobrze to w ogniu polemiki, ale nie tam, gdzie chodzi o istotne wyświetlenie prawdy. Więc tylko jako konkluzja postulat: niech się do opracowania historii legjonu żydowskiego weźmie polski historyk.

Za najwybitniejsze dzieło literatury polskiej w ostatnim trzyleciu, *jury* państwowej nagrody literackiej 1932 uznało utwór Wacława Berenta p. t. „Wywłaszczenie muz“. Rzec nie ukazała się dotąd w wydaniu książkowym. Drukowana była częściami w „Pamiętniku Warszawskim“ i w „Tygodniku Ilustrowanym“. Wszyscy sędziowie dali więc swą uchwałą dowód skrzętnego czytania czasopism. Tak nie opuścić żadnego z numerów, w których na przestrzeni paru lat drukowane były części berentowego utworu — to już systematyczność nielada. Przypuśćmy nawet, że ci członkowie *jury*, którzy przyszedli na posiedzenie z kandydaturą Berenta, zebrali jakoś po mozolnych poszukiwaniach archiwalnych całość „Wywłaszczenia muz“ i przeczytali ją specjalnie przed posiedzeniem. Ale już zupełnie imponującym objawem jest, że i ci członkowie *jury*, którzy dopiero w ostatniej chwili, po odrzuceniu zgłoszonych przez nich kandydatur, opowiedzieli się za Berentem, znali również całość „Wywłaszczenia muz“. Nie wiedząc, że się im to może kiedyś przydać, kompletowali snać zapobiegliwie wszy-

stkie numery „Pamiętnika“ i „Tygodnika“, no i widocznie przestudjowali je na wszelki wypadek przed posiedzeniem.

To się nazywa sędziowska sumienność!

Co do mnie, to choć zawodowo zajmuję się temi sprawami, znalazłbym się w wielkim kłopotcie, gdyby mi tak niespodziewanie kazano się wypowiedzieć, czy „Wywłaszczenie muz“ jest najwybitniejszym dziełem literatury polskiej w ostatnim trzyleciu. Szereg fragmentów utworu Berenta czytałem, ale nie jestem pewny, czy któregoś nie przegapiłem, a przytem fragmenciki te ukazywały się w tak znacznych odstępach czasu, że na całość nie mam poglądu ustalonego. Pogląd ten wyrobię sobie, gdy przeczytam rzecz w wydaniu książkowym. Z ułamkowych wrażeń, jakie mam obecnie, nie sądzę jednak, by „Wywłaszczenie muz“ miało być istotnie tem najwybitniejszym dziełem ostatnich lat naszej literatury, za jakie je uznano, odznaczając nagrodą.

Owóż wydaje mi się, że i wysocy sędziowie, przyznając tegoroczną nagrodę, mieli na myśli nietyłe wyróżnienie „Wywłaszczenia muz“, ile wyróżnienie Berenta. Ta niezdrowa praktyka już się utarła. Przecież przed kilku laty Goetel dostał nagrodę za najśłabszą rzecz, jaką wogóle napisał. Nie chodziło oczywiście o nagrodzenie „Serca łodów“, ale o nagrodzenie Goetla. Książka była tylko pozorem.

Nagroda państwowa traktowana w ten sposób staje się czemś zupełnie martwym, staje się czemś, co nadmiar bałamuci opinję i wprowadza zamieszanie w koła czytelników. W ogromnie szeroko rozrodzonej współczesnej twórczości literackiej, przeciętnemu czytelnikowi zorjentować się jest dość trudno. Nagroda państwowa, przy-

znawana w zasadzie za książkę, mogłaby się stać drogowskazem. Tak, jak jest obecnie, że nagroda przyznawana za książkę to parawanik nagradzania całokształtu twórczości nawet takich pisarzy, którzy jak np. Berent posiadają już inne nagrody za całokształt twórczości — drogowskaz ten jest drogowskazem fałszywym.

Czem wytłumaczyć sobie, że *jury* nagrody państwowej tak bardzo unikało dyskusji o żywej twórczości współczesnej, i z skwapliwością zastanawiało się nad kandydaturami dostojnych, schodzących już z pola senatorów piśmiennictwa, a nawet nauki? Czemu to wymieniane przez opinię publiczną utwory żywe, dzisiejsze, te o których istotnie się mówi w kołach czytelniczych, a więc np. Struga „Żółty krzyż“, Wołoszynowskiego „Rok 1863“, Choromańskiego „Zazdrość i medycyna“, Kruczkowskiego „Kordjan i cham“ nie były nawet wspomniane na obradach *jury*, a „Noce i dnie“ Dąbrowskiej zbyto określeniem, że całość nie ukazała się jeszcze w druku, gdy równocześnie nagrodzono niewydany w książce i znany tylko z fragmentów utwór Berenta?

Mam wrażenie, że przyczyn tego dopatrywać się trzeba w samej konstrukcji *jury*, skompletowanego z pisarzy. W skład *jury* wchodzi ludzie bezpośrednio zaangażowani w walkach literackich, następujący sobie często na nagiotki, dziś sędziowie nagrody, a jutro kandydaci do niej. Łatwiej im pogodzić się na kandydaturę jakiegoś bezspornego autorytetu, choćby za utwór słaby, niż wybierać z pośród rówieśników i konkurentów. Jest to bardzo ludzkie i konstatuje to bez żółci. Ale dobre to nie jest. Rzecz charakterystyczna, że od kilku lat wybór pada albo na kogoś odosobnionego, zaszytego na wsi, niezaangażowanego bezpośrednio w walkach, jak np. Sza-

niawski, albo też na przedstawiciele starszej generacji, jak Rostworowski czy Berent. Rostworowskiemu, czy Berentowi nagroda nie przydaje blasku i sławy. Więcej znaczy być Rostworowskim, czy Berentem, niż być laureatem nagrody państwowej. Inne znaczenie posiada nagroda dla młodego, wybijającego się pisarza. To już zrównanie go z innymi laureatami, albo wyniesienie ponad tych, którzy dotąd laureatami nie są. I jedno i drugie często idzie nie w smak członkom *jury*.

Jak rzecz możnaby zreformować? Myślę, że w ten sposób, by w skład *jury* wchodziłi raczej krytycy i poloniści, niż powieściopisarze i poeci. Myślę również, że postawiony przez St. Szpotańskiego wniosek o publiczne obrady *jury* przyczyniłby się znacznie do podniesienia poziomu obrad i oczyszczenia atmosfery.

Bo atmosfera wokół obrad *jury* jest już ostatnio bardzo niezdrowa. Posiedzenie staje się właściwie czczą formalnością, a przynajmniej na czczą formalność wygląda, skoro np. naczelnik wydziału sztuki, dwaj przez niego mianowani delegaci i blisko ministerstwa stojący delegat jednego ze związków (Kaden-Bandrowski), wysuwają w przedziwnej harmonii poglądów estetycznych tę samą kandydaturę. Trzej pozostali delegaci związków czuć się muszą w takiej sytuacji jak figuranci bez znaczenia. Pozostaje im albo z dobrego serca przyłączyć się do gotowej większości, albo z charakterem trwać przy swojej, beznadziejnej kandydaturze.

Gdy sobie uprzytomnić, że równocześnie statut państwowej nagrody muzycznej został zmieniony w tym sensie, iż powiększono liczbę delegatów ministerstwa do trzech, a nadto wprowadzono dwóch delegatów państwowego konserwatorjum — to trzeba stwierdzić, że nagro-

dy państwowe przekształcają się właściwie w stypendja państwowe, różniące się od innych stypendjów tylko wysokością sumy i ceremonjałem wyznaczania stypendysty.

Toteż coraz bardziej palącą kwestją staje się utworzenie nagród niezależnych. Kryzys jest, to prawda. Ale jeszcze nie brak w Polsce ludzi, którzy mogliby sobie pozwolić na ufundowanie polskiej nagrody Goncourtów.

Jakie właściwie są warunki pracy literackiej w Polsce?

Gdyby sądzić z ankiety, przeprowadzonej niedawno przez Związek Zawodowy Literatów i ujętej w cyfry statystyczne, to trzeba by stwierdzić, że fatalne. Większość literatów dosłownie głoduje, honorarja autorskie są niskie, pomoc państwowa znikoma, mało który pisarz może zarobić na życie piórem, niemal wszystkich dotyka brak środków na wyjazdy zagraniczne i zakup niezbędnych książek. Obraz całości ponury, ale jak każdy obraz odtwarzany przy pomocy cyfr statystycznych, tylko do pewnego stopnia prawdziwy. Zwłaszcza, gdy idzie o tak skomplikowaną i trudno wymierną dziedzinę, jak dziedzina twórczości, cyfry, dające analizę ilościową, a nie jakościową, są szczególnie zawodne i zdolne do sfalszowania rzeczywistości.

Jest rzeczą jasną, że w ankiecie, na którą dało odpowiedź kilkaset osób, znalazło się wiele, bardzo wiele osób takich, których przynależność do literatury jest czysto formalna; polega na wydaniu jakiejś książki, czy książek. Ciężkie warunki materialne mogą więc w więk-

szości wypadków wypływać nietylę z ogólnej nędzy literackiej, ile raczej z życiowej pomyłki danego pisarza, który nie mając dostatecznego talentu, nie może się wybić i do śmierci wieść będzie żywot szarego pionka, marnie opłacanego, a przez to zgorzkniałego i jęczącego. W ankiecie nie brakło również odpowiedzi literatów młodych i wybijających się. Trudno wymagać, by zawód literacki miał korzystać z jakichś szczególnych przywilejów i nie podlegał ogólnej regule, że dopiero trzeba się czemś wykazać, aby zająć należyte stanowisko społeczne i zdobyć odpowiadające mu warunki materialne.

Wreszcie sprawa zasadnicza: każdy, kto idzie w Polsce na drogę literacką, powinien zdać sobie sprawę, że nie jest ta droga wysłana różami i nie prowadzi przez okolice mlekiem i miodem płynące. W sprawach materialnych rządzi życiem twarde prawo podaży i popytu. Pojemność naszego rynku odbiorców książek jest mała. Polski język nie jest językiem międzynarodowym, jak dotąd nie zdołał nawet przekroczyć granic innych krajów słowiańskich. Polska książka może liczyć tylko na polskiego czytelnika. Czytelnictwo zaś u nas — w kraju walczącym dopiero z analfabetyzmem — nie jest, i przez dłuższy jeszcze czas nie będzie silnie rozwinięte. Dlatego też pisarz polski średniej miary nie może i nie powinien liczyć na to, że praca literacka da mu pełne utrzymanie, a już ani marzyć może o takich warunkach materialnych, w jakich żyje średni pisarz angielski, francuski, czy niemiecki. Ci z pośród naszych pisarzy, którzy tej oczywistej prawdy nie zrozumieli i po jakimś pierwszym powodzeniu literackim porzucili dotychczasowy zawód, dający podstawę utrzymania, łudząc się, że będą „żyć z literatury“, skazali się na konieczność mechanicznej

produkcji tytu a tytu powieści, nowel i artykułów na rok, co w wyniku musi przynieść wyjałowienie talentu, a i tak niezawsze daje oczekiwane dochody.

Wykreślona polskimi warunkami sytuacja materialna pisarza ulec może zmianie tylko w jednym wypadku: gdy mu się uda przejść swą twórczością poprzez polskie opłotki i w przekładach wyjść na szeroki świat. Mowa tu oczywiście nie o tłumaczeniach, forsowanych i opłacanych przez różne urzędy t. zw. propagandy, ale o przekładach prawdziwych, umotywowanych istotnem zainteresowaniem zagranicy. To jednak jest już udziałem albo pisarzy istotnie wielkich, jak Sienkiewicz, albo pisarzy umiających w danym momencie odkryć sekret poczytności międzynarodowej. I pierwsi i drudzy na kamieniu się nie rodzą. W chwili obecnej — na większą skalę — jeden Ossendowski może się poszczycić wśród polskich pisarzy odkryciem sekretu poczytności na świecie. Ostatnio zaś zaczyna wchodzić na rynek międzynarodowy Goetel. To wszystko.

Czy fakt, że pisarz polski, który może liczyć tylko na polskiego czytelnika, nie jest w stanie zdobyć w pracy literackiej wystarczającej podstawy materialnej, należy uznać za tragedję? Czy istotnie trzeba ronić łzy nad niedolą polskiego literata, który w porównaniu ze swym kolegą francuskim, czy angielskim tej samej klasy, ma tak znaczny *handicap* materialny na swoją niekorzyść?

Nie wydaje mi się.

Nie mówi tu przezemnie ani okrucieństwo, ani zawiść (Niemcy określają to lepiej: *Schadenfreude*) krytyka w stosunku do t. zw. pisarzy twórczych. Położenie materialne polskich krytyków jest znacznie gorsze i jeszcze bardziej beznadziejne, niż beletrystów. Poprostu myślę,

że każda tragedia, której przyczynę sobie uświadomić, przestaje być tragedją, a staje się uświadomieniem twardej konieczności. Zaś w każdej twardej konieczności nie ma sensu dopatrywać się samych złych stron. Pożyteczniej jest spróbować dostrzec w niej strony dobre.

Gdy więc zdać sobie jasno sprawę, że literat polski, aby żyć, musi mieć jakieś dodatkowe zajęcie zarobkowe, lub nawet dochód z pracy literackiej traktować jako dodatkowy, a głównej podstawy materialnej szukać gdzieindziej — to już jest zrobiony wielki krok naprzód. Ileż przez to uniknie się rozczarowań, zawodów, szarpaniny, a w konsekwencji upokarzających biadoleń i pretensyj do świata i ludzi! Ale to dopiero negatywna strona zagadnienia. Jest zaś jeszcze ważniejsza: pozytywna:

Z okresu młodopolskiej, spóźnionej cyganerii pozostały u nas do dziś dość osobliwe poglądy na istotę twórczości literackiej. W poglądach tych zawód pisarza polega raczej na szukaniu natchnienia, walkonieniu się po kawiarniach i knajpach, (t. zw. konieczność atmosfery literackiej), niż na ciężkiej, systematycznej pracy i studjach. Taka praca przygotowawcza, jaka jest regułą przy pisaniu książki dla pisarza na zachodzie Europy, u nas należy do rzadkości. Toteż literat na Zachodzie, przez niezależność materialną osiąga możliwość pracy i studjów, u nas zaś najczęściej, tych właśnie, którzy zdobyli pewien stopień zamożności, częściej widuje się przy kawiarnianych stolikach literackich, niż w bibliotekach. Co zaś najgorsze, że tak zwani zawodowi literaci, z lubością zasklepiają się u nas w kółkach wzajemnej adoracji i... zawiści, rychło tracą kontakt z życiem, zacieśniają horyzont do spraw, które są modne i wysoko notowane na giełdzie kawiarnianej, przemysłiwują raczej

o tem, jak przeskoczyć lub obezwładnić rywali literackich, niż szukają podniety twórczej w życiu.

Konieczność jakiejś pracy zarobkowej poza literaturą, jest w polskich warunkach znakomitem *antidotum* na omraczanie talentów zaduchem atmosfery cygańsko-literackiej. Ta praca, ten zawód pozaliteracki, dają pisarzowi kontakt z rzeczywistością, teren spostrzeżeń obyczajowych, wgląd w życie. Utyskiwania, że praca zawodowa uniemożliwia pracę literacką, są grubo przesadzone. Kasprowiczowi nie przeszkadzało, że był profesorem uniwersytetu, Rittnerowi radcostwo ministerialne nie spętało skrzydeł, a Reymont lata swego urzędnicowania na kolei przetopił właśnie w literaturę. Czy to więc będzie dziennikarstwo, naibliżej łączące się z literaturą, a dające bardzo szeroki kontakt z codziennością życia, czy jakikolwiek inny zawód, choćby odległy od piśmiennictwa, o tragedji mówić niesposób. Uciążliwości pozaliterackiej pracy zawodowej mają dla literata także i swoje dobre strony.

Nie znaczy to wcale, aby stwierdzenie takiego stanu rzeczy miało prowadzić do wniosku, że wszelka pomoc zewnętrzna jest dla literatury zbędna. Wprost przeciwnie. Bardzo skromne warunki, w jakich muszą żyć polscy pisarze, nakładają na państwo trudny i wymagający subtelnego traktowania obowiązek pomocy materialnej, umożliwiającej autorom urzeczywistnianie zamierzeń literackich, przekraczających ich środki finansowe, ułatwień w wyjazdach zagranicznych, studjach, zbieraniu materiałów, wydawaniu książek. Wbrew ciągłym biadaniom i skargom, robi się u nas pod tym względem bardzo dużo. Ale już inna kwestja, czy robi się dobrze.

Mecenasostwo państwowe, z natury rzeczy jest biurokratyczne. Aby korzystać z jego dobrodziejstw, trzeba składać podania, wystawać w przedpokojach ministerjalnych, wiedzieć jak, któredy i z czyją protekcją dochodzi się do celu. Rzadko kiedy inicjatywa wychodzi z urzędu. Taki pan referent, czy naczelnik od tych spraw, siedzi sobie przy biurku i załatwia kawalki. Co mu na biurku położą, to rozpatrzy, zaopiniuje, uzgodni, przedłoży do decyzji z wnioskiem odmownym, lub przychylnym. W wyszukiwanie talentów, ani odkrywanie istotnych potrzeb nie bawi się.

Rzecz jasna, że w tych warunkach, z pomocy państwa korzystają częściej zapobiegliwi, niż istotnie zasługujący na poparcie. Nie każdy umie wydeptywać zapomogi, skamlać o subwencje i przekonywać pana referenta o swej potrzebie. Toteż podczas gdy szeroki ogół literacki mało odczuwa pomoc państwową, wytworzyła się specjalna kasta zawodowych stypendystów i subwencjonistów, którzy znają na wylot wszystkie chody, i umieją, nawet w dzisiejszych ciężkich czasach, wydobywać od rządu wcale pokażne sumy. Poznać ich można po tem, że oni właśnie najgłośniej krzyczą o biedzie literackiej.

Zwłaszcza pewna grupa pisarzy, kręcących się blisko wielkiego ołtarza, doszła do mistrzostwa w tych zabiegach. Sporo możnaby wyliczyć takich, którzy prosto z tego żyją. Czy wpływa to dobrze na ich twórczość? Bardzo rozmaicie. Ale jedno jest pewne, że owe subwencje i zapomogi literackie stały się ostatnio czynnikiem politycznego uzależniania świata literackiego od rządu. Kto raz się przyzwyczaił do łatwego chleba stypendjów, temu już zrezygnować z beneficjów ministerjalnych trud-

no. W dzisiejszej strukturze pociąga to już za sobą pewne obowiązki: trzeba być, w razie czego, grzecznym.

Doszlśmy do najważniejszego punktu zagadnienia: Literatura „greczna“ i postawiona na baczność nigdzie nie była twórcza. I to jest największe niebezpieczeństwo obecnego systemu.



90
 11389/9876
 S P I S R Z E C Z Y.

	Str.
Od autora	5
DZISIEJSZOŚĆ LITERACKA	7
Narodziny nowego stylu	9
Wielka krzywda	16
„Tak się mówi, ale tak się nie pisze“	22
O roku ów	29
Teraźniejszość w historii	35
Mocny człowiek	40
Epopcja rodziny Niechciców	46
O „Zazdrości i medycynie“	59
Ikkes i Sotjon	65
Goetel o Indjach	72
Powrót do rzeczywistości	80
Bonzownictwo	84
Poezja maski: Staff	91
PION	99
Mecenas Skiwski	101
Zuzie maszerują	108
Szpila w zielony balonik	114
Nowy, wspaniały świat	119
Wiemy, że nic nie wiemy	127
Od Acharda do... Hitlera	134
Od uniwersalizmu do imperjalizmu	141
Na chłopski rozum	147
WALKI	155
Dziadowanie	157
Dołoj uczonyje!	161
Bój o Styków	165
Inflacja książki	172
Tajemnica śmierci Mickiewicza	177
Sensacja trucicielska	195
Ochotnik Levy	203
Martwa nagroda	212
Sprawy przyziemne	217

ROJ NOWA SERJA

Zadaniem tej serii jest oprzeć książkę na nowych podstawach kalkulacji, dając książkę pełnowartościową i starannie wydaną po cenie dostępnej dla wszystkich. Szczególny nacisk położony będzie na twórczość polską, na dzieła podróżnicze, na literaturę pogodną i egzotyczną, na wysoką wartość literacką utworów i ich możliwie szeroki zasięg.

<i>Adams</i>	<i>Nichols</i>
<i>Aveline</i>	<i>Nowaczyński</i>
<i>Curwood</i>	<i>Piasecki</i>
<i>Duvernois</i>	<i>Przedmieście</i>
<i>Gojawiczyńska</i>	<i>Roth</i>
<i>Golding</i>	<i>Szpyrkówna</i>
<i>Grabski</i>	<i>Sobański</i>
<i>Hughes</i>	<i>Walpole</i>
<i>Locke</i>	<i>Wast</i>
<i>Meissner</i>	<i>Zweig Stefan</i>
<i>Mostowicz</i>	

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEK
100083

Biblioteka WSP Kielce



0162773

